

ROZPOLITYKOWANA TEMIDA

Drugi rokosz sędziów
ślepych na jedno oko



TYGODNIK LISICKIEGO

DO
CENA 7,90 zł (w tym 8% VAT)
RZECZY

NR 50/352 9-15 GRUDNIA 2019

Czy sprawa abp. Paetza
będzie badana po jego śmierci?
- zastanawia się Semka

**NIESPOŻYTA
WOLA WALKI
ROBERTA
KUBICY**



Jak szybko ubywa
Rosjan w Rosji

ŚLEDZTWO „DO RZECZY”

Sekret papieża Franciszka

KIM BYŁA KOMUNISTYCZNA MENTORKA PRZYSZŁEGO BISKUPA RZYMU



Esther Ballestrino de Careaga

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829



9 772299 850000

Nakład: 71 tys. egzemplarzy

eprasa.pl f06fba98bb



OSTATNIA PROSTA LOTERII ORLEN

Jeden z **88** samochodów
może być Twój!



Okres sprzedaży promocyjnej uprawniający do otrzymania zdrapki: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapiek na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Organizator: Unique One Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orlen.pl



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

O pożytkach płynących z broni atomowej

Informacja o tym, że podczas pobytu w Japonii papież Franciszek potępił posiadanie i produkcję broni atomowej, nie odbiła się w Polsce wielkim echem. Inaczej było we Włoszech, gdzie mocne papieskie słowa krytyki trafiły na czołówki gazet. Przypomnę, że po wizycie w Hiroszynie Ojciec Święty powiedział: „Tam potwierdziłem, że wykorzystywanie broni nuklearnej jest niemoralne, i to musi znaleźć się w Katechizmie

i posiadanie broni nuklearnej” jest niemoralne?

Prawdą jest, że dzięki pojawieniu się broni nuklearnej, czy to się komuś podoba, czy nie, od 1945 r. aż do dziś udało się uniknąć globalnego konfliktu zbrojnego. Prawdziwych wojen jest coraz mniej, zwykle wybuchają one na krańcach cywilizowanego świata. Nawet gdy wreszcie do nich dochodzi, tak jak na Ukrainie, mają ograniczony charakter, a liczba ich ofiar jest niewspółmiernie mniejsza niż w konfliktach, do których dochodziło do połowy XX w. Jak zauważył pewien uchodzący za guru współczesny filozof – to jego spostrzeżenie akurat jest trafne – jest bardziej prawdopodobne, że współczesny człowiek Zachodu umrze z przejeżdżenia niż jako ofiara wojny. Otóż powodem takiego stanu rzeczy jest właśnie wyprodukowanie, istnienie i groźba użycia przez mocarstwa broni nuklearnej.

Tak, wbrew opinii papieża, to istnienie solidnych arsenałów atomowych dało 70 lat powszechnego niemal pokoju. Dzieje się tak nie dlatego, że ludzkość zmądrzała, i nie dlatego, że my, współcześni, jesteśmy bardziej wrażliwi, moralni i mniej skłonni do zbrodni, zabijania i podboju niż nasi przodkowie. Prawdziwą przyczyną obecnego długotrwałego pokoju jest wzajemne szachowanie się przez wielkie mocarstwa. Najważniejsi gracze są przekonani, że w sytuacji bezpośredniego zagrożenia ich przeciwnik użyje środków ostatecznych – czyli właśnie broni atomowej – i dlatego powstrzymują się przed wojną. Tak, wiedza

ta nie jest miła dla uszu utopistów. Nie jest łatwo pogodzić się z taką wizją człowieka, zgodnie z którą najlepszym sposobem powstrzymania go od napaści jest strach. Nie zmienia to jednak faktu, że tak właśnie jest.

Więcej. Można śmiało założyć, że proponowana przez Franciszka recepta – powszechne rozbrojenie i rezygnacja z posiadania broni atomowej – mogłaby sprowadzić na świat dramatyczne nieszczęścia. Po pierwsze, doprowadziłaby do gwałtownego zachwiania obecnej równowagi. Świat bez broni atomowej byłby nieporównywalnie mniej stabilny i bezpieczny niż ten, w którym obecnie żyjemy. W takim świecie ewentualna agresja i dążenie do rozprawy siłowej nie niosłyby bowiem w sobie prawdziwego ryzyka. Tylko obawa przed gorszym nieszczęściem trzyma w ryzach ludzką chęć dominacji, podboju i żądzę panowania nad innymi.

Jak wszystko, co ludzkie, tak i system równowagi oparty na posiadaniu przez mocarstwa broni atomowej nie jest doskonały. Zawsze, teoretycznie, może pojawić się sytuacja, w której dostanie się ona w ręce fanatyków lub szaleńców. Jednak do tej pory tak się nie zdarzyło. Obawa przed konsekwencjami możliwej zagłady jest tak wielka, że pęta skutecznie ideologów i radykałów.

Wynika z tego nie tylko, że „przechowywanie broni atomowej” jest czymś moralnym, lecz także to, że pomysł wpisania zakazu jej przechowywania do katechizmu można uznać za co najmniej ekstrawagancki. ©©

RYSUNEK TYGODNIA

Czytałeś?
Sierp
poszukuje
młota!



Kościół katolicki, nie tylko wykorzystywanie, lecz także posiadanie, ponieważ wypadek lub szaleństwo jakiegoś przywódcy może zniszczyć ludzkość”. Rzeczywiście, trudno przejść nad tymi słowami obojętnie. Pierwsze i najważniejsze pytanie brzmi: Czy faktycznie „wykorzystywanie

TEMAT TYGODNIA

20 TOMASZ ROWIŃSKI

WSZYSTKIE IDEOLOGIE FRANCISZKA

Dokąd papież prowadzi Kościół?



KRAJ

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

DRUGI ETAP ROKOSZU

Stary układ „bujaj łodzią”

28 WOJCIECH WYBRANOWSKI

GDY SĘDZIOWIE SZLI NA WOJNĘ...

30 KAMILA BARANOWSKA

CO WYGRAŁ JAŚKOWIAK

32 PIOTR SEMKA

DŁUGI CIEŃ STARYCH GRZECHÓW

36 ŁUKASZ ZBORALSKI

ŚWIETNI POLSCY UCZNIOWIE

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

SWATKA MATKI BOŻEJ

KULTURA

42 WIESŁAW CHEŁMIŃSKI

POD ZNAKIEM SNOPKA

Świat polskich Wazów w Zamku Królewskim

45 PIOTR GOCIEK

PRZED PIERWSZĄ GWIAZDKĄ

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 ROZMOWA

Z WŁADYSŁAWEM KOSINIAKIEM-KAMYSZEM

KONSTYTUCJA WYMAGA JUŻ ZMIAN

Ruch ludowy zawsze był wolnorynkowy

58 MAREK JUREK

PRZEKAZAĆ OBOWIĄZEK PRZEKAZU

60 ŁUKASZ WARZECHA

REWOLUCJA THUNBERG

HISTORIA



62 PIOTR LITKA

SPRAWIEDLIWOŚĆ PO 40 LATACH

Represje w stanie wojennym zbrodnią przeciw ludzkości

66 PIOTR SEMKA

REPUBLIKA (PRAWIE) Z NICZEGO

ŚWIAT

70 JACEK PRZYBYLSKI

JAK ISLAMISTA OSZUKAŁ SYSTEM

Życie Polaka w niebezpieczeństwie

74 ROZMOWA Z JOSÉ JAVIEREM ESPARZĄ

KOMUNIZM DZIAŁA JAK PSYCHOTROPY

76 WITOLD REPETOWICZ

DERUSYFIKACJA ROSJI

78 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

UCZMY SIĘ OD IZRAELA

EKONOMIA

82 TOMASZ CUKIERNIK

(NIE)BEZPIECZNA TECHNOLOGIA?

5G – szansa na rozwój czy zagrożenie dla zdrowia?

SPORT

88 ŁUKASZ MAJCHRZYK

KOLEJKA PO KUBICĘ

Polak wybiera nowy zespół

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ

CHOROBY RZADKIE

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (12), KOWALCZUK (14), GMYZ, GOCIEK (18), ZALEWSKI, WOLSKI (57), ZYCHOWICZ, KOPER (65), WARZECHA (73), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (94), CENCKIEWICZ (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), ŁYSIAK (99)



Rozwijaj biznes razem z nami

Zapoznaj się z ofertą
długoterminowego
najmu łóż VIP
na PGE Narodowym

www.biznes.pgenarodowy.pl | skybox@2012plus.pl

2 maja	Finał Pucharu Polski
16 maja	2020 PZM Warsaw FIM Speedway Grand Prix of Poland
czerwiec	Mecz towarzyski reprezentacji Polski*
5 lipca	Koncert Iron Maiden Legacy Of The Beast Tour
17 lipca	Koncert Rammstein
25 lipca	Koncert Sting: My Songs
sierpień	Wydarzenie rozrywkowe*
22 sierpnia	Koncert Andrea Bocelli
wrzesień	Wydarzenie rozrywkowe*
26 września	Roztańczony PGE Narodowy

*terminy wydarzeń mogą ulec zmianie

Drodzy Czytelnicy,

e-maile do redakcji prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Arka ludożerców”, Waldemar Łysiak, „DRz” 47/2019

Szanowny Pan Waldemar Łysiak, Redakcja „Do Rzeczy”!

Czytając, zawsze z zainteresowaniem, pańskie felietony w tygodniku „Do Rzeczy”, znalazłem tekst „Arka ludożerców”, odnoszący się do sławnego obrazu Theodore’a Gericaulta „Tratwa Meduzy”. Jeśli wolno, to chciałbym uzupełnić pański fachowo i frapująco napisany komentarz do dzieła francuskiego artysty. Zresztą to uzupełnienie ma charakter raczej drugorzędny, ingredientny wobec Pana tekstu. Rzecz dotyczy okładki albumu muzycznego „Rum, Sodomy & the Lash” świetnego skądinąd folk-rockowego zespołu irlandzkiego The Pogues. Obraz na niej przedstawiony jest dokładną parafrazą „Tratwy Meduzy”, a jedynie wybrane twarze ludzi znajdujących się na tratwie (czyli na oryginale) zastąpiono obliczami siedmiu muzyków irlandzko-londyńskiej formacji.

Pisząc po raz pierwszy do tygodnika „Do Rzeczy”, jest mi miło, że właśnie do Pana.

Pozostaję w głębokim poważaniu
Andrzej Śródka

„Cenzorzy biznesu”, Tomasz Cukiernik, „DRz” 48/2019

Szanowna Redakcjo, coraz częściej słyszymy (czytamy) o przykładach ingerencji zachodnich koncernów w polskie tradycje czy postawy, które nie wpisują się w „tolerancyjne” wartości z Brukseli: logo korporacji na marszach promujących – pod hasłem „równości” – dewiacje seksualne, informacje o zakładach produkcyjnych zwalniających osoby za cytowanie Biblii, „neutralną” ofertę bożonarodzeniową („święta zimowe”, ozdoby bez krzyża) itp. W „Do Rzeczy” pojawił się artykuł „Cenzorzy biznesu” opisujący praktyki jednej z platform płatności elektronicznych [...].

Przykładów jest mnóstwo. Najlepszą, jeśli nie jedyną, obroną jest mądry i konsekwentny wybór firm, z których usług korzystamy. Nie zawsze jest taka możliwość, ale tam, gdzie można, zrezygnowałem z firm, które jawnie uprawiają hipokryzję i „selektywną” tolerancję.

Dodatkowo, dzięki lekturze Państwa artykułu, zaprenumerowałem serwisy wydawnictw, których kłopoty zostały opisane: Fundacji Magna Polonia oraz Capital Book.

[...] nie można nikomu zabronić głoszenia poglądów czy reprezentowania postaw, z którymi się nie zgadzamy. Ale możemy pokazać, że u nas takie postawy po prostu się nie opłacają biznesowo ani politycznie. Do czego serdecznie zachęcam.

Z pozdrowieniami i życzeniami radosnych świąt
Bożego Narodzenia
Sebastian Kulik

„Pasjonaci kontra krawaciarze”, Wiesław Chełminiak, „DRz” 48/2019

W numerze 48. „Do Rzeczy” Wiesław Chełminiak w recenzji filmu „Le Mans ’66” pisze: „Skoro rzeczywistość skrzeczy, to wróćmy do wspaniałej przeszłości”. To „pospolitość skrzeczy”, a nie „rzeczywistość skrzeczy”. Jest to cytat z „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego!

Dobiesław Jędrzejczyk

Od autora

Przyjmuję słowa krytyki z pokorą, lecz do winy się nie poczuwam. W którym miejscu powołałem się na Wyspiańskiego? Przyznaję się natomiast do próby, być może nieudolnej, spolonizowania zwrotu „reality bites”, czyli „rzeczywistość kęsa”. Nie śmiem się porównywać do Wieszcza, ale rezerwuję sobie prawo do słownych igraszek, mając zarazem świadomość, że wszystko, co powiem i napiszę, zawsze może okazać się cytatem.

Z poważaniem
W.Ch.

Od redakcji

Jednocześnie redakcja chciałaby zauważyć, że fraza zdaniowa „rzeczywistość skrzeczy” utworzona z przekształcenia cytatu „[...] a tu pospolitość skrzeczy” z dramatu Stanisława Wyspiańskiego „Wesele” (Poeta do Gospodarza, akt I, scena 24) jest już notowana w „Wielkim słowniku języka polskiego” budowanym na podstawie tekstów gromadzonych w Narodowym Korpusie Języka Polskiego. Fraza ta jest używana „w sytuacji podkreślenia wyraźnej różnicy między oczekiwaniami, stereotypami i marzeniami a tym, co istnieje obiektywnie”.

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jackie Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociek**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłowski**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Sławomir Cendziewicz**, **Wiesław Chełminiak**,
Dominika Coś (*Brusela*), **Krzysztof Czaibanski**, **Piotr Gursztyn**,
Maria Kądzelska, **Katarzyna**, **Jack Komuda**, **Sławomir Koper**,
Piotr Kowalczyk (*Rzym*), **Jakub Kowalski**, **Grzegorz Kucharczyk**,
Tomasz Lenczewski, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrowski**, **Marcin Makowski**,
Monika Małkowska, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**,
Filip Memches, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**,
Katarzyna Pinkosz, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**,
Stefan Sękowski, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**,
Tomasz P. Terlikowski, **Błażej Torzański**, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**,
Marcin Wolski, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksandrowicz**, **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jackie Nadrański, **Anna Sobieska-Wójciszewska**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotodopisy: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marek Dobosz**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystofa**
Okładka: **Alessandra Benedetti/Corbis/Getty Images**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Prokorski**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 71 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Eventualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wzywa taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

**PRENUMERATA
2020 w cenie 2019**

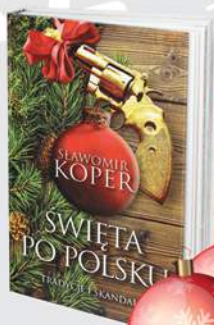
TYGODNIK LISKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ
W APLIKACJI

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER
„ŚWIĘTA PO POLSKU
- TRADYCJE
I SKANDALE”



~~619~~ zł

238,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ – 381 zł

OFERTA ŚWIĄTECZNA

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA
ORAZ DOSTĘP DO
E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

JAN I MAŁGORZATA
ŻARYN
„ROK 1939.
OD BEZTROSKI
DO TRAGEDII”



~~350~~ zł

138,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ – 218 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Nowe szaty Tuska, nowe szaty Schetyny

Nowa wersja Tuska. Już nie patron całej opozycji, ale chadek i ostry krytyk lewicy – pisze wyraziście opozycyjny portal OKO.press. Trudno nie zauważyć w tym nuty nieprzyjemnego zdziwienia. To reakcja na wywiad Donalda Tuska dla TVN z 2 maja br., w którym były szef Rady Europejskiej zapowiedział patronat nad budową w Polsce nowej chadecji.

Trudno dziwić się pewnemu osłupieniu zażartych przeciwników „kacyzmu” z portalu OKO.press. Przecież jeszcze niedawno Tusk nie mówił wcale o chadecji, tylko forsował jednolity front całej opozycji przeciw Jarosławowi Kaczyńskiemu. Ba, wykład Tuska w Łodzi 3 maja tego roku poprzedzał wojowniczo antykościelny speech Leszka Jażdżewskiego z „Liberté!”.

Teraz nagle wszystko się cudownie odmieniło i Donald Tusk został chadekiem. W normalnej atmosferze politycznej można

by nad tym wzruszyć ramionami i zakładać, że tak gwałtowna wolta wystawi gdańskiego liberała na śmieszność. Ale Tusk już wiele razy pokazał, że bywa jak słynny bajkowy szczurołap. Niejednokrotnie już sięgał po swój polityczny flet i pociągał za sobą tłumy ludzi zahipnotyzowane graną przez siebie melodią.

To, że wybrał akurat model chadecki, daje do myślenia. Najwyraźniej uznał, że w Polsce elektorat katolicki to wciąż większość. A skoro nie można go zdominować, to trzeba go uwieść. Niedysiejszy człowiek deklarujący ateizm chce udawać katolika? A kto mu zabroni? Zawsze znajdują się postępowi biskupi i księża, którzy pobłogosławiają słynnego gdańszczanina za taką woltę. Zresztą sam Tusk w dziejach swojej formacji – Platformy Obywatelskiej – ma już epizod dni refleksji platformersów w klasztorze pod Krakowem. Nowy kostium Tusk nakłada bez specjalnych emocji.

W tym samym czasie, gdy Tusk ujawnił swoją nieznana dotąd fascynację myślą chadecką, Grzegorz Schetyna dba o pchnięcie partii w odwrotnym, lewackim kierunku. Jeszcze dwa miesiące temu krzywił się na SLD i kaperował Pawła Kowala na listy PO.

Teraz to Schetyna stoi za wyłonieniem na potrzeby prezydenckich prawyborów w PO progresywnego prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka do walki z Małgorzatą Kidawą-Błońską. Najnowsza plotka głosi, że prawdziwym zadaniem, które Schetyna postawił przed Jaśkowiakiem, jest zdobycie popularności w prawyborczej rywalizacji, choć ze świadomością, że kandydatem prezydenckim nie zostanie.

Oba zwroty – ten Tuska i ten Schetyny – mają jedną cechę: czysty koniunkturalizm. Wynikają z taktycznego kaprysu liderów, a nie jakiejś głębokiej zmiany myślenia. Pytanie, czy Polacy to zauważą na czas? © ©

SZCZYRK W ŻAŁOBIE

Potężny wybuch gazu zrównał z ziemią trzykondygnacyjny dom, w którym mieszkała wielopokoleniowa rodzina. Znajdujący się w środku ludzie nie mieli najmniejszych szans na przeżycie. Wśród ośmiu ofiar jest czworo dzieci, najmłodszy Staś miał zaledwie trzy latka. Wiele wskazuje na to, że gaz do budynku przedostał się instalacjami i kanałami po uszkodzeniu przez budowlanców pobliskiego gazociągu. Prokuratura w Bielsku-Białej prowadzi śledztwo w sprawie spowodowania zdarzenia, które zagraża życiu i zdrowiu wielu osób, a następstwem tego czynu jest śmierć wielu osób. (jap) © ©



FOT. ANDRZEJ GRUCIEL/PAP

**PRENUMERATA
2020 w cenie 2019**

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA „DO RZECZY”
I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

**DO
RZECZY**

**HISTORIA
DO RZECZY**

W PREZENCIE
KSIĄŻKA

ANDRZEJ FEDOROWICZ
„DRUGA RZECZPOSPOLITA
W 100 PRZEDMIOTACH”



~~730~~ zł

281,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ – 455 zł

OFERTA ŚWIĄTECZNA

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA „DO RZECZY”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE
KSIĄŻKI

FEDERICO VARESE
„ŻYCIE MAFII”

JACQUES PERETTI
„ZAKULISOWE UMOWY,
KTÓRE ZMIENIŁY ŚWIAT”



**DO
RZECZY**

~~377~~ zł

139,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ – 238 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Premier Morawiecki: udaremniliśmy największy przemyt od co najmniej 30 lat



FOT. WOJCIECH OLUŚNICKI/PAP

Jak poinformował w czwartek premier Mateusz Morawiecki, chodzi o przemyt ok. 2 ton kokainy z Kolumbii o wartości blisko 2 mld zł. – Uratowaliśmy od łez, tragedii, złamanych życiorysów nie tylko Polaków, lecz także wielu Europejczyków – podkreślał szef polskiego rządu.

2,2 mld zł

TYLE NA CZARNYM RYNKU BYŁY WARTE SKONFISKOWANE NARKOTYKI

Tak wielki sukces to zasługa Centralnego Biura Śledczego Policji oraz Krajowej Administracji Skarbowej. Nielegalna fabryka i magazyn narkotyków działały na terenie województwa wielkopolskiego. Funkcjonariusze polskich służb jednocześnie zamknęli nielegalną fabrykę i przejęli ogromne ilości nielegalnego towaru w bazie kontenerowej w Gdyni.

Do sukcesu w gdyńskim porcie przyczyniły się zarówno nowoczesne urządzenia skanujące, jak i przeszkoleny do wykrywania środków odurzających pies służbowy. Połączenie psa i technologii pozwoliło wykazać, że w 74 workach z kredą (na 1600) znajduje się 1850 kg wysokiej jakości kokainy. Ilość zabezpieczonego narkotyku przekłada się na niemal 7,5 mln działek dilerkich.

Narkotyki pochodziły z Kolumbii. Międzynarodowa grupa przestępcza składała się zaś z czterech Kolumbijczyków, co najmniej dwóch Polaków oraz Irańczyka. Mężczyźni usłyszeli zarzuty udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, przemytu oraz produkcji narkotyków znacznej ilości. Grozi im za to kara co najmniej trzech lat więzienia. ©© (jap)

SUKCES POLSKI NA LONDŃSKIM SZCZYCIE NATO

Prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan ostatecznie zgodził się na poparcie NATO-wskich planów obrony krajów bałtyckich i Polski. Decyzja zapadła w trakcie zakończonego właśnie szczytu NATO w Londynie, zorganizowanego w 70. rocznicę powstania Sojuszu.

Władze w Ankarze jeszcze przed rozpoczęciem szczytu zapowiadały, że nie podpiszą strategii dla Europy Wschodniej, jeśli sojusznicy z NATO nie uznają syryjskich Kurdów za terrorystów. Weto Erdoğan oznaczałoby, że aktualizacja planów obronnych dla Polski i państw bałtyckich zostałaby odrzucona w całości. W zażegnaniu kryzysu pomogło m.in. spotkanie prezydentów Andrzeja Dudy i Recepta Erdoğan.

„Potwierdzamy trwałą więź transatlantycką między Europą i Ameryką Północną, przestrzegając

nie celów i zasad Karty Narodów Zjednoczonych oraz nasze uroczyste zobowiązanie zapisane w art. 5 traktatu waszyngtońskiego, że atak na jednego sojusznika będzie uważany za atak na nas wszystkich” – napisali w deklaracji przywódcy państw NATO, krytykując jednocześnie coraz bardziej agresywne działania Rosji.

Sekretarz generalny sojuszu Jens Stoltenberg podkreślał, że chociaż NATO wierzy w dialog z Rosją, która jest jego największym sąsiadem, to Sojusz Północnoatlantycki nie będzie obojętny na rozmieszczenie przez Rosję nowych rakiet średniego zasięgu, które stanowią znaczne zagrożenie dla bezpieczeństwa euroatlantyckiego.

Jednocześnie sojusznicy przygotowują się na nowe zagrożenia: rosnące w siłę Chiny, a także coraz większe ryzyko wojny w kosmosie. (jap) ©©

DEMOKRACI OSKARŻĄ TRUMPA

– Stawką jest nasza demokracja, a prezydent nie pozostawia nam wyboru, jak tylko działać – oświadczyła w zeszłym tygodniu Nancy Pelosi, przewodnicząca Izby Reprezentantów oraz liderka Partii Demokratycznej. I zapowiedziała głosowanie ws. impeachmentu prezydenta Donalda Trumpa. Niższa izba amerykańskiego parlamentu najprawdopodobniej przegłosuje postawienie prezydenta w stan oskarżenia jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia. Ostateczna decyzja w sprawie losu Donalda Trumpa należy jednak do Senatu, w którym większość mają członkowie Partii Republikańskiej. Prezydent ufa więc, że z łatwością wygra głosowanie i nie będzie musiał wyprowadzać się z Białego Domu. (jap) ©©

Tworzymy funkcjonalne miasta

Funkcjonalne miasta - to znaczy jakie? Takie, które służą mieszkańcom: spajają lokalne społeczności, ułatwiają im życie i tworzą przyjazną atmosferę. Od ponad 20 lat powstawanie funkcjonalnych miast wspiera Bank Gospodarstwa Krajowego, państwowy bank rozwoju.

Z ruiny w nowoczesność

Projekty, w które angażuje się BGK, mają na celu przede wszystkim społeczną i gospodarczą aktywizację zdegradowanych obszarów miejskich. Przykładem może być gdańska ulica Reduta Wyskok. Wsparcie udzielone przez Bank Gospodarstwa Krajowego pozwoliło na przebudowę niszczonej kamienicy w nowoczesny biurowiec. Jego przemiana jest częścią planu zrewitalizowania Dolnego Miasta w Gdańsku. Samo zwiększenie estetyki przestrzeni miejskiej i odnowienie historycznej zabudowy przyciągnie turystów, którzy dziś to miejsce omijają szerokim łukiem. O poprawie funkcjonalności miasta świadczy również przeznaczenie tego budynku. Swoje siedziby będą tam miały m.in. Centrum Pracy Socjalnej Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie i Centrum Integracji Społecznej i Środowiskowego Domu Samopomocy.



Ta inwestycja znacznie ułatwi mieszkańcom Dolnego Miasta dostęp do pomocy społecznej.

Tylko w 2018 r. projekty realizowane przez Fundusz Termomodernizacji i Remontów pozwoliły Polakom zaoszczędzić 1 mld zł

Termomodernizacja na miliardowe oszczędności

Poprawa warunków mieszkaniowych Polaków to jeden z głównych celów BGK. Bank realizuje go zarządzając od 20 lat Funduszem Termomodernizacji i Remontów. Jako polski bank rozwoju BGK wspiera polski biznes i polskie rodziny. Aż 97 proc. składanych wniosków dotyczy budynków wielo- i jednorodzinnych. Tylko w 2018 r. zrealizowane projekty pozwoliły Polakom zaoszczędzić 1 mld zł wydawanych na energię, a przez ostatnie 10 lat kwota ta wyniosła aż 6,7 mld zł. Warto dodać, że termomodernizacja jest równie istotna w kontekście ochrony środowiska i ekologii. Czyste powietrze przyczynia się do poprawy zdrowia również wśród osób, które nie są bezpośrednimi beneficjentami programu.

Mateusz Sobczak



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Banaś i rozlane mleko

Nawet najuważniejsi obserwatorzy sceny politycznej pogubili się już w serialu, którym stało się nakłanianie szefa NIK do dymisji przez ten sam PiS, który go tym szefem zrobił. Z jednej strony – atmosfera niejasnych podejrzeń, zarzuty nie do końca konkretne, ale stwarzające wrażenie jakichś bliżej nieokreślonych nadużyć. Z drugiej

że prezes NIK dał się im prywatnie przekonać i już był gotów dla dobrej formacji odejść „po dobroci”, ale „zaciął się” po tym, jak tę poufną umowę upubliczniono i bez żadnych dowodów czy konkretnych zarzutów zrobiono z niego w oczach opinii publicznej aferzystę.

Tak naprawdę niczego pewnego tu nie wiemy, ale gołym okiem widać jedno: wewnętrzną walkę w obozie władzy, na różnych poziomach. **Po pierwsze**, na poziomie służb specjalnych: jedna z tych służb ewidentnie Banasia „kryje”, druga stara się go pogrążyć, prokurując przecieki do mediów.

Po drugie, na poziomie frakcji w partii. Ktoś musiał zdecydować o tym, żeby zanim prezes NIK złoży ustaloną w prywatnej rozmowie z Komendantem dymisję, upublicznić tę rozmowę i medialnie ustawić sprawę. **Po trzecie wreszcie**, w szerokiej „otulinie” PiS. Podczas

gdy jedni z żelaznych dotychczas kibiców PiS składają się ku narracji, że Banaś okazał się czarną owcą, wkraść się w łaski rządzącej formacji oszustwem i podstępem, inni oburzają się, że zasłużonego działacza podziemia, człowieka niezłomnego w walce z mafią wyłudzącą VAT, niszczy się pod pretekstem mało istotnego „hotelu na godziny” urzędzonego w należącej do niego kamienicy. Jeśli samo podejrzenie, bez dowodów i konkretów, wystarcza – ośmielają się nawet mówić – to i Jarosław Kaczyński powinien podać się do dymisji po otrąbieniu przez media „afery Srebrnej”.

Meritum sprawy przestało już być istotne. Ważniejszy stał się przekaz, że PiS pękł, że „żre się” między sobą. To przekaz, którego wyborca wyjątkowo nie lubi. Niestety, poszedł już w lud i cofnąć się go nie da. ©©

**Gołym okiem widać jedno:
wewnętrzną walkę w obozie władzy,
na różnych poziomach**

– stanowczość, z którą Marian Banaś odmawia złożenia dymisji nawet po tym, jak publicznie zażądali tego od niego premier i prezes PiS. Czy raczej: zwłaszcza po tym. Wiarygodne bowiem wydają się doniesienia,



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Czas walki

Zaczyna się piękny czas Adwentu, ważne dla katolików i ewangelików oczekiwanie na ponowne przyjście na świat Jezusa Chrystusa. Dosłownie w przededniu „Gazeta Wyborcza” drukuje obszerny wywiad z 14-letnim chłopcem, który w swojej szkole ściągnął ze ściany klasy krzyż. Dziennikarka z pełną powagą cytuje słowa dziecka, które mówi, że chciałoby, by „więcej krajów stawało się kompletnie świeckimi”. Można by to skwitować śmiechem, żartem, że jaka redakcja, taka Greta Thunberg, gdyby nie kilka faktów.

W tym samym czasie rządząca stolicą Platforma Obywatelska za

aprobatą dziennikarzy „GW” nie zgadza się na organizację tradycyjnego wigilijnego opłątka podczas spotkania rady miasta, a na wniosek radnej Agaty Diduszko urzędnicy usuwają krzyż z urzędu stanu cywilnego na Białoleśce. Jeden z prawicowych radnych nazwał to walką z Kościołem taką jak za PRL. Przesadził? Bynajmniej.

Dokładnie 35 lat temu PRL-owskie władze zażądały usunięcia krzyży ze szkół. We Włoszczowie przeciwko zarządzeniu strajkiem zaprotestowała młodzież szkolna wsparta przez bohaterskiego kapłana ks. Marka Łabudę, później pobitego przez „nieznanych sprawców”. Dzisiaj, gdy

trwa ten neomarksistowski marsz przez instytucje, gdy katolicy są znów spychani do swoistych gett, głos sprzeciwu Kościoła słychać nader słabo. Milknie w łoskocie bitewnych bębnow lewicowych liberałów. Może i byłby donośniejszy, gdyby nie to, że niepokorni kapłani, tacy jak ks. Małkowski, ks. Łabuda, ks. Isakowicz-Zaleski czy ks. Wachowiak, bywa, że są uciszani, zsyłani do puszczy czy domów księży emerytów.

Książd biskup Frankowski jakiś czas temu zauważył, że „nadszedł czas walki” w obronie wartości. Wydaje się jednak, że wciąż w gotowości, pod bronią stoi tylko tęcza armia. ©©

Kierunek: dobra energia

Energia jest tym, co napędza rzeczywistość.
Wprawia w ruch najśmielsze pomysły,
ale też ułatwia codzienne obowiązki.



Dzięki innowacyjnym rozwiązaniom
takim jak stacje ładowania i samochody
elektryczne realnie wpływamy na to,
jak będzie wyglądała przyszłość.



Energa

Partner Główny
Strażnika Pamięci



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O kretynach

Pani Liliana Segre, Włoszka żydowskiego pochodzenia, w wieku 13 lat w 1944 r. wraz z rodziną została wywieziona do Auschwitz. Jako jedyna przeżyła. Dopiero w latach 90. zgodziła się opowiedzieć o przeżytym horrorze przed kamerami i udzielić wywiadu rzeki, który poruszył Italię. Do dziś pani Segre bierze udział w spotkaniach poświęconych Holocaustowi i odwiedza szkoły. Robi to wszystko z ogromną klasą i godnością.

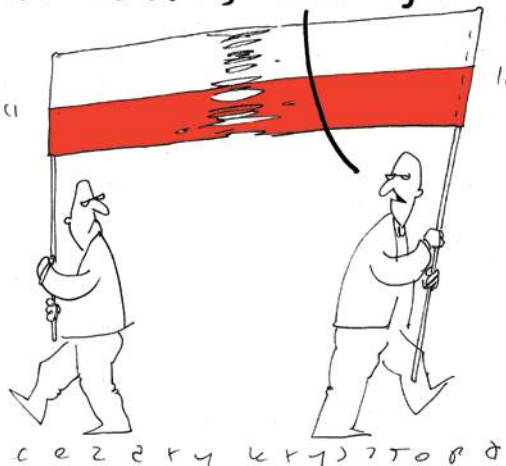
przyznania pani Segre honorowego obywatelstwa, posiadająca większość w radzie miejskiej Liga w swej niezmierzonej głupocie propozycję odrzuciła, tłumacząc, że kobieta niczego dla miasta Biella nie zrobiła, a lewica chce jej osobę wykorzystać politycznie. Fala oburzenia przetoczyła się przez całą Italię i wszystkie włoskie media. W końcu burmistrz Claudio Corradino przyznał: „Zachowałem się jak kretyn. Przepraszam”.

Równocześnie wle włoskich miast, m.in. Turyn, przyznało pani Segre honorowe obywatelstwo. Jednak w Bassano del Grappa prawicowi radni zaproponowali, by identycznego zaszczytu dostąpiła Egea Haffner. Jako jedyna z całej rodziny przeżyła całość etniczną, której ofiarą z rąk siepaczy Józefa Broza-Tito i włoskich komunistów padło kilkanaście tysięcy Włochów w Dalmacji i Istrii, które po II wojnie stały się częścią Jugosławii. Zdjęcie sześciolatniej deportowanej Egei z walizeczką w ręku i kartką z napisem: „Wygnała” stało się we Włoszech symbolem tej zbrodni. Na to dictum lewicowi radni opuścili salę obrad. Oświadczyli, że zbrodni nazistów nie można stawiać na równi ze zbrodniami komunistów.

Różnice między obu skandalami są dwie: burmistrz Bielli wie, że jest kretynem, a lewicowi radni Bassano del Grappa nie zdają sobie z tego sprawy. O pierwszym kretynstwie włoskie media informują, a o drugim nie. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Kochać Polskę, ale ciebie
nie uwidzę bardziej!



Tłumaczy równocześnie, jak ważne są w życiu tolerancja, przyjaźń i wzajemny szacunek. Prezydent Sergio Mattarella mianował ją w ubiegłym roku dożywotnią senatorką Republiki Włoskiej.

Gdy lewicowi radni Bielli (Piemont) zgłosili wniosek



MIEDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Święto normalności

Czym dla Państwa jest normalność? Bez względu na odpowiedź proponuję zapoznać się z ciekawą definicją. „W końcu normalność zawitała do Rady Warszawy. Nie będzie tradycyjnego opłatka z udziałem duchownych w przerwie sesji rady miasta” – napisał dziennikarz „Wyborczej” Wojciech Karpieszuk. „Bardzo dobrze! Gratuluję radzie Warszawy. Można zorganizować sympatycznego śledzika, gdzie wszyscy się spotkają końcoworocznie bez całego religijnego bagażu, dla coraz większej liczby mieszkańców Warszawy wykluczającego” – odpowiedział na jego tweet z entuzjazmem Jakub Majmurek z „Krytyki Politycznej”.

Znaleźli się jednak malkontenci. „A jak znosicie świąteczne ozdoby na ulicach? Czy to nie wyklucza bardziej niż opłatek w urzędzie? Za rok miasto powinno z nich zrezygnować” – zapytała Katarzyna. „Ozdoby od dawna nie mają religijnego charakteru, ot, dekoracja jakoś rozjaśniająca ciemny grudzień. Opłatek to co innego” – stwierdził Majmurek.

I tutaj do dyskusji włączyła się tzw. moja osoba.

„Coca-Cola też powinna zrezygnować z wykluczającego wizerunku Świętego Mikołaja?” – rzuciłem prowokacyjnie. „Santa Claus z reklamy to postać świeckiej popkultury, nie święty Kościół. Coca-Cola to prywatna korporacja. Nie rozumiem większości, która z okazji święta, którego duch polega na celebrowaniu międzyludzkich więzi, upiera się przy wykluczającej tożsamościowo manifestacji. Serio” – odparł redaktor.

„Smutny świat nas czeka. Serio” – pozwoliłem sobie na chwilę pesymizmu. „Dla nas smutny i przytłaczający jest obecny. Czujemy się w nim źle. Posuńcie się trochę z własną wrażliwością, to zmieścimy się wszyscy” – zaproponował jednak Jakub. „A jak taka sytuacja Ci się widzi?” – zapytałem, wklejając zdjęcie flag LGBT powieszonych w UM Krakowa przez lokalną aktywistkę.

„To jest właśnie obraz otwartości i inkluzji.

Powiedzenie: także osoby o innej orientacji i ich sojusznicy i sojuszniczki są tu mile widziane, są pełnoprawnymi obywatelami. W tej sytuacji oczekuję takich gestów – one nikogo nie wykluczają” – podkreślił Majmurek. „Aha, czyli krzyż w Urzędzie Miasta to symbol ekskluzywizmu i wykluczenia, sprawiający, że czujesz się źle i smutno, ale tęczowe flagi w tym samym budynku to symbol inkluzji i otwartości?” – odparłem. I wyszło, że mniej więcej tak. Taka to oto normalność. ©©



GSK jest wiodącym inwestorem w polskim przemyśle farmaceutycznym, dostarczającym ponad **300 leków, szczepionek i produktów ochrony zdrowia** polskim pacjentom od 1998 r.



2 mld zł zainwestowane przez 20 lat



Wielowymiarowe inwestycje

w produkcję (fabryka leków w Poznaniu), w dystrybucję leków i szczepionek (centrum logistyczno-dystrybucyjne w Gądkach), informatyzację procesów związanych z lekami i szczepionkami (Centrum Usług Biznesowych GSK IT), inne centra kompetencji oraz badania kliniczne



Okolo **2000 pracowników**, z czego większość zatrudniona jest w poznańskiej fabryce leków i GSK IT



Blisko **250 mln zł** to wpływy z podatków CIT, PIT, VAT oraz składek ZUS (dane za rok 2017)



5 centrów kompetencji zajmujących się IT, finansami, nadzorem nad bezpieczeństwem farmakoterapii, projektami marketingowymi i medycznymi oraz kwestiami regulacyjnymi



Wiarygodny i solidny partner biznesowy - GSK współpracuje z ok. **2,4 tys. dostawców i partnerów handlowych**



50 badań klinicznych w 2017 r. w 8 obszarach terapeutycznych o wartości **ponad 12 mln zł**

GSK jest wiodącym inwestorem w polskim przemyśle farmaceutycznym, dostarczającym ponad **300 leków, szczepionek i produktów ochrony zdrowia** polskim pacjentom. W ciągu ostatnich 20 lat firma **zainwestowała w Polskę 2 mld zł**. Spółka zmodernizowała i rozbudowała fabrykę leków w Poznaniu, wdrażając do produkcji ponad **80 transferów** z globalnego portfela produktów GSK, a w 2017 r. uruchomiono produkcję kolejnych innowacyjnych, chronionych patentem leków stosowanych w leczeniu zakażeń HIV. Każdego dnia w wielkopolskim zakładzie wytwarzanych jest **8,5 miliona tabletek i 1,3 miliona kapsułek**. Większość z nich trafia na eksport na ponad **130 rynków**. W Polsce funkcjonują **2 centra** logistyczno-dystrybucyjne realizujące rocznie ok. **760 tys.** dostaw leków, szczepionek i produktów ochrony zdrowia GSK na rynki europejskie i wschodnie. GSK zbudowała także **5 centrów kompetencji** i prowadzi **50 badań klinicznych**. Firma zatrudnia w Polsce ok. **2000 osób**.

BOHATERSTWO DNIA CODZIENNEGO

Aktor młodego pokolenia Adam Zdrójkowski opowiedział „Faktowi” o swoich doświadczeniach związanych z prowadzeniem własnej knajpy. Mówi, że zupełnie nie zna się na tym, jak wszystko wygląda od strony formalnej, ale od tego ma współnika. – Jeśli chodzi o faktury i rzeczy związane z papierologią, które też trzeba oczywiście podczas prowadzenia baru robić, mam współnika Rafała, którego pozdrawiam serdecznie. On siedzi i pyka na kompie – wyznaje nastolatka. Narzeka też na niedogodności, które wiążą się z prowadzeniem baru w centrum stolicy. Otóż – o zgrozo! – każdy z gości chciałby się napić z właścicielem. – Jakbym ja codziennie miał się z kimś tam napić, kto mi proponuje, tobym już był alkoholikiem. Na szczęście tak nie jest, ponieważ najczęściej, gdy przyjeżdżam do swojego baru, jestem samochodem, więc mam okazję pokazać kluczyki, powiedzieć: „No niestety, dzisiaj nie” – mówi dumnie w rozmowie z tabloidem. Nie ma jak prawdziwy bohater!

KOJĄCA CISZA

Piosenkarka Margaret poinformowała swoich fanów, że ostatni rok był dla niej ciężki, także zdrowotnie, i teraz musi odpocząć. Podjęła decyzję, że mocno ogranicza swoją celebrycką aktywność. To oznacza zaś, że będzie jej mniej. – Niestety ostatni rok okazał się bardziej kosztowny dla mojego zdrowia, niż sama dopuszczałam to w swojej głowie. Zewnętrzny głos rozsądku wydał mi jednak jednoznaczne polecenie – kategoryczna i natychmiastowa przerwa od spraw zawodowych. W związku z tym nie mam wyboru i wyciszam się na jakiś czas, także tu, w Internecie – czytamy w oświadczeniu piosenkarki. I teraz mamy dylemat. Normalnie w takich sytuacjach życzy się szybkiego powrotu do zdrowia, ale to wyciszenie aktywności medialnej Margaret jest tak kuszącą propozycją, że... no właśnie. I stąd nasz dylemat.

BYĆ LEGENDĄ

Przy okazji wygranej Viki Gabor w dziecięcej Eurowizji show-biznes przypomniał sobie o poprzedniej wygranej tegoż konkursu, czyli Roksanie Węgiel. Jedna z telewizji poświęciła jej cały reportaż o kulisach sławy, pytając także jej rodziców, nauczycieli i znajomych. – Zrobiliśmy konkurs karaoke, gdzie wszystkie dzieci mają okazję zaśpiewania. Wzięła udział raz i tak, jak zaczęła, to nie mogła skończyć – wspomina trener dżudo Roksany. Jej mama uważa, że jej córka od małego miała zadatki na gwiazdę. – Była bardzo



FOT. PAMEL GROMADA

żywiłowym dzieckiem od maleriści. Chciała być wszędzie. Ona miała potrzebę zaistnienia i bycia w centrum uwagi. Patrzcie na mnie! To ja! – opowiada. Tata zaś dodaje, że kiedyś zapytał córkę o to, czy chciałaby być sławna. – Raz powiedziała, jak zadałem pytanie, czy chce być sławna, powiedziała, że ona chce być legendą, jak Freddie Mercury – stwierdził. Na razie legendarna robi się skromność nastolatki. Od czegoś trzeba zacząć!

WOLNE BRZUCHY!

Magda Mołek walczy z pojawiającymi się wśród internautów spekulacjami na temat swojego brzucha. – Gdy tydzień temu poprowadziłam finał „Top Model”, posypały się komentarze dotyczące mojego brzucha – zaczęła swój wywód na Instagramie.

– Nie pierwszy raz, bo już kiedyś czytałam tutaj pytania o ciążę albo o „coś do ukrycia” albo „coś do powiedzenia”. Pytająca/y nie był zainteresowany moją odpowiedzią, a przeczenie zbywał/a hasłem „No dobra, dobra, i tak zobaczymy”. W kwestii rozmiarów brzucha, dawno już pożegnałam swój perfekcjonizm, bo przez lata przyprawiał mnie – nomen omen – o jego ból – wyznała. I postanowiła zrobić akcję „Wolne brzuchy”! – Wiem, że w czasach, gdy sprzedaje się wszystko, co płaskie (brzuchy szczególnie), mój okazuje się być odstępstwem od... czasów? Pomyślałam więc, że „wolne brzuchy” są jak wolne sądy – niezbędne dla sprawiedliwości i równości społecznej. Pozdrawiam Was, dziewczyny, którym zdarzyło się słyszeć głupie uwagi, bądź zauważać badawcze spojrzenia! Nie dajmy się zwariować! Uwolnijmy energię z brzuchów! Dajmy im żyć! Być zmiennymi! Kobieta zmienna jest? Brzuch też – zakończyła. Przypominamy, że o wiele ciekawsze niż to, co dzieje się z brzuchem Magdy Mołek, jest to, co dzieje się z jej głową.



FOT. RADOSŁAW NAWROCKI / FORUM

TELEFONY, TELEFONY

Zadzwoił do nas sam Jarosław Jakimowicz. Ubawił nas bardzo, bo miał ogromne pretensje, że ośmielamy się o nim pisać w satyrycznej rubryce. Krzyczał i wściekał się, że robimy mu ogromną krzywdę. Domyslały się, że chodzi o krzywdę wizerunkową. I spieszymy z zapewnieniem, że akurat w tej materii nikt nie robi mu większej krzywdy niż on sam. Co życiowie pozostawiamy do przemyślenia. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, uspokajamy, nie podjęliśmy jeszcze decyzji co do startu w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Jednak szanując reguły demokracji i zasady współżycia w grupie, postanowiliśmy wziąć udział w prawyborach w naszym korpo, które mają wyłonić kandydata naszego modnego kolektywu na najwyższy urząd w tym kraju.

Niestety okazało się, iż żaden z członków i żadna z członkiń kolektywu nie ma ukończonych 35 lat, a więc w tym kraju – kraju

Zastanawiamy się więc, które międzynarodowe organizacje powiadomić o dyskryminacji ze względu na wiek. Nie może tak być, iż dostęp do urzędów nie zależy od kompetencji, te przecież mamy niepodważalne, zdobyte dzięki pracy z klientem, ale od takich czynników, na które nikt nie ma wpływu – jak wiek. Powinniśmy wyrównywać szanse osób niedoposażonych wiekowo i zapewnić im możliwość zostania prezydentem, iż urząd prawem, nie towarem!!!

osobie, do której je kierujemy, jakiego jesteśmy wyznania, i podkreślając nasz szacunek do instytucji świeckiego państwa.

**W obecnych czasach,
nie wypada
używać terminu
„winter holidays”**

Rządowi chyba skończył się tusz do drukarki, iż ministra Emilewicz ogłosiła, iż rząd nie będzie wprowadzał więcej programów polegających na dawaniu ludziom pieniędzy.

Chyba wiecie, co taka zmiana perspektywy oznacza? Naszym zdaniem inflacja w tym kraju wybiła już poza skalę, tylko rząd to skrętnie ukrywa. Przecho-dzimy więc na model gospodarki barterowej.

Zamiast kolejnego „500+” rząd będzie więc bezpośrednio dystrybuował wódkę, tanie wino i papierosy wprost do swoich wyborców z niewielkich ośrodków, ci zaś będą płacić dziesięcinę ze swoich plonów, iżby ten rząd wyżywić. Zobaczycie, iż tak będzie. ©©

2 HoToWnig? Dobre!!



Uprzejmie przypominamy, iż w obecnych czasach, a mamy już 2019 r., nie wypada używać terminu „winter holidays”. Terminem neutralnym światopoglądowo będzie teraz „season’s greetings”.

Po pierwsze – „winter” stygmatyzuje obecną porę/porę roku jako zimę/zimą, podczas gdy w dobie globalnego ocieplenia i zmian klimatu zima/zim mogą czuć się transsezonowi i mieć poczucie płynnej tożsamości.

Dlatego użycie terminu „season” sprawia, iż pora/pór roku pozostaje niedookreślona/niedookreślony i jest to słuszne.

Z kolei eliminacja terminu „holidays” to jednocześnie eliminacja słowa niepokojąco podobnego do „holy”, oznaczającego coś lub kogoś świętego. Tutaj mamy zwyczajne „greetings”, a więc neutralne pozdrowienia, niesugerujące

zdominowanym przez patriarchat i rządzonym przez starszych, białych, heteroseksualnych mężczyzn – nie może wziąć na siebie odpowiedzialności i roli przywódczej.

**f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ
Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
FB.COM/MWIZWO**

REKLAMA



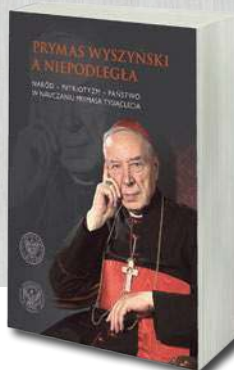
Instytut Pamięci Narodowej
zaprasza na dyskusję wokół książki

**Prymas Wyszyński
a Niepodległa.**

Naród – patriotyzm – państwo
w nauczaniu Prymasa Tysiąclecia

11

**GRUDNIA (środa)
godz. 17:30**



Udział wezmą:

dr Ewa K. Czaczowska
Uniwersytet Kardynała Stefana
Wyszyńskiego
redaktor tomu

dr Rafał Łatka
Instytut Pamięci Narodowej
redaktor tomu

Moderacja:

**ks. dr hab. Dominik
Zamiatła**
Uniwersytet Kardynała Stefana
Wyszyńskiego

Organizatorzy:



Patroni medialni:



Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN
im. Janusza Kurtyki, ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa

Zaczynamy od tego, co najważniejsze, czyli od pieniędzy. Elka Bieńkowska, ministrzyca Tuska, uważała – jak pamiętacie – że za 6 tys. pracuje tylko bandyta albo złodziej. Poseł Marcin Kulasek z SLD ogłosił tymczasem, że i za 9 tys. utrzymać się nie sposób. Zarobki Polaków rosną. I ambicje również. Jak tu krytykować PiS?

Za słowa Kulaska przeprosiła rzeczniczka SLD Anna Maria Żukowska. Słowami: „Przepraszam wyborczynie i wyborców Lewicy, że taka wypowiedź się pojawiła. Nie powinna mieć ona miejsca”. Przypominając nam tym samym, że trzeba stosować feminatywy. Co niniejszym obiecujemy robić, ale tylko wtedy, gdy będziemy mieć fajny pomysł.

Zdradzimy od razu, że pomysłów nam nie brakuje. Na przykład: kandydatka na prezydencję. Ładne, prawda? Prezydentka brzmi jak nazwa ciastka z kremem albo skórzanej teczki, no a po prostu „prezydent” też być nie może.

Zatem: Małgorzata Kidawa-Błońska, kandydatka na prezydencję. Tak to będzie brzmiało. I kto wie, może będzie jeszcze jedna pani występująca w tej roli, bo czerwone wiewiórki przebakują, że ani Zandberg, ani Biedroń, tylko kobieta. Niektóre wiewiórki nawet powtarzają cicho: „Monika Jaruzelska, Monika Jaruzelska”. Piękne prezydenckie nazwisko, więc czemu nie? Wątpimy też trochę, bo przypominamy, że to kandydatka jak na dzisiejszą lewicę zbyt konserwatywna.

Przypominamy, że najbardziej znanym dotąd politykiem, który chciał, zmieniając Polskę, zmienić też Kościół, był Bolesław Bierut

dwaj panowie **g**

Skoro już o niby-konserwatywnych kandydatach. Szymon Hołownia wydaje książkę, która przypadkowo ukazuje się cztery dni po książce Złego Donalda z Zagrzebia. Jej tytuł to „Teraz albo nigdy”, choć wydawnictwo preferuje pisownię „TERAZ albo NIGDY”. Odpowiadamy: nigdy.

Książka Szymona pełna jest głębokich, celnych spostrzeżeń. Na przykład: „Gołym okiem widzę, że jest źle. To nie znaczy jednak, że jest beznadziejnie”. Albo: „Co zrobić, żeby było dobrze? Co najmniej tyle czasu, ile poświęcamy na walkę ze złem, poświęcić na wspieranie dobra”. Przypomniały nam się w związku z tym najlepsze czasy publicystycznych dokonania Tomasa Lisa. W czasach, gdy pisał rozmaite „Co z tą Polską”, ładował do nich podobne dyrdymały.

Jedna rzecz jest jednak naprawdę niepokojąca. Otóż Szymon wznosi w swej książce na-



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

stępujące hasło: „Chcemy lepszej Polski, lepszego Kościoła? Samo się, proszę państwa, nie zrobi”. Dyskretnie przypominamy, że najbardziej znanym dotąd politykiem, który chciał, zmieniając Polskę, zmienić też Kościół, był Bolesław Bierut. No, może też Gomułka.

Żal nam trochę Grzegorza Skorpiona Schetyny. Pamiętacie, jak kiedyś powiedział w wywiadzie dla „Do Rzeczy”, że PeŁo jest potrzebna konserwatywna kotwica? Zjechali go wtedy wszyscy jak burą sukę. A teraz wychodzi Zły Donald z Zagrzebia i mówi mniej więcej to samo. I wszyscy cmokają z zachwytem: „Jaki mądry, jaki przewidujący”.

Od razu wyjaśniamy. 1 grudnia Zły Donald przestał być „z Brukseli”, gdyż skończył kadencję przewodniczącego Rady Europejskiej, króla i cesarza Europy. Musimy więc jakoś inaczej go określać, dla odróżnienia od Dobrego Donalda z Waszyngtonu. Skoro Tuska wybrano na szefa Europejskiej Partii Ludowej na zjeździe w Zagrzebiu, to został Złym Donaldem z Zagrzebia. Proste.

Odpowiadamy na liczne pytania: „A dlaczego nie po prostu z Sopotu”? Mili państwo, bądźmy poważni, ksywka „Zły Donald z Sopotu” nie jest godna tak ważnej osoby jak były król Europy i jej cesarz. Poza tym zanedo przypomina nam czasy, kiedy na wakacjach kolonistom zdarzało się nad morzem kupić przeterminowaną gumę do żucia.

Niektórzy zdziwili się, dlaczego w swym manifestie nowego umiarkowanego konserwatyzmu, który ma odsunąć PiS od władzy, Zły Donald przywołał Leppera, którego nazwisko mówi dziś wielu wyborcom tyle co zeszłoroczny śnieg. Jak nam wyjaśniła wiewiórka z okolic pro-Tuskowej frakcji Eine Totalopposition, Donald ma przyciągać wyborców średnio starszych i starszych. Najmłodszych ma zabrać PiS--owi Konfederacja. Taki podobno jest plan.

Żeby było jasne – zarówno wiewiórki z lewicy, jak i wiewiórki z PeŁo zgodnie twierdzą, że Zły Donald z Zagrzebia postawił już krzyżyk na Platformie

Wypredań aut oł upadłych autokrytów



i będzie budował nowe centrum. Już się nie możemy doczekać.

Tymczasem walka o przywództwo w PeŁo zapowiada się pasjonująco. Sami twardzi zawodnicy. Na przykład Bogdan Zdrojewski, któremu nie przeszkadza nowy program opozycji wykrzyczany przez Frasyniuka, czyli „Je...ć pisióra!”. Nie rozumiemy oburzenia części komentatorów, którzy przypominają, że Zdrojewski był ministrem kultury. No był, ale najpierw miał być ministrem obrony dopóty, dopóki mu Tusk nie zakazał. A sami wiecie, jakim językiem posługuje się wojsko.

Tymczasem w kręgach warszawskiej generacji minionego reżimu lekka gorączka. No dobra, skłamałismy. Ostra gorączka. Służby zatrzymały faceta z SKW, który wynosił tajne informacje. Największą gorączkę mają ci, którym je przynosił. Formalnie są to bowiem goście w stanie spoczynku, bez dostępu do informacji niejawnych. Nieformalnie natomiast byli zasilani wiedzą, którą się interesują Rosjanie i za którą byliby w stanie zapłacić każde pieniądze. Jeśli dodamy, że jeden z rozgorączkowanych generałów to ulubieniec Bronisława Wąsatego, to sami zrozumiecie, skąd emocje.

Dodajmy przy tym, że cała sprawa mogła skończyć się kłeską. Otóż służby, które weszły na

Służby zatrzymały faceta z SKW, który wynosił tajne informacje. Największą gorączkę mają ci, którym je przynosił

przeszukanie, nie znalazły zbyt wiele. Przekazały protokół przeszukania pani prokurator, która zleciła ową czynność. Kobita, czytając protokół, dostała szału i uznała, że rewizja była czystą amatorką. Zarządziła kolejną. Wtedy okazało się, że pod stolikiem pod telewizorem, który nie został przeszukany poprzednim razem, zdeponowano nośniki, które miały najwyższe klauzule tajności. Takie kobity to my lubimy. I na pewno nie będziemy ich obrażać słowami typu „prokuratorzyca”. Zostawiamy to bohaterskiej polskiej lewicy.

Bohaterska polska lewica zamierza się natomiast jednoczyć. Zmartwiła nas wiadomość, że dopiero w przyszłym roku. Uważamy, że najlepszą datą byłby 15 grudnia, a to już za chwilę. Wiecie, rocznica zjednoczenia PPS i PPR w 1948 r. Wtedy powstała PZPR. A teraz? Może Polska Zjednoczona Partia Lewicowa, w skrócie PZPL? Albo chytrzej: Zjednoczony Sojusz Lewicy. W skrócie ZSL. Ale by się chłopaki od Kosiniaka wściekli. ©©

Jednym z ciekawych lewicowych wątków biograficznych Jorge Bergoglia była jego młodzieńcza relacja z Esther Ballestrino de Careagą. Historia ta została opisana w nowej książce Eugenio Scalfariego „Il Dio unico e la società moderna: Incontri con papa Francesco e il cardinale Carlo Maria Martini” („Jeden Bóg i współczesne społeczeństwo: Spotkania z papieżem Franciszkiem i kard. Carlo Maria Martinim”) i przyniosła więcej nowych szczegółów na temat biografii papieża. Scalfari przytacza takie oto słowa swojego rozmówcy: „Często czytała mi i dawała mi do przeczytania teksty Partii Komunistycznej. Kobieta, o której mówię, była później aresztowana, torturowana i została zamordowana przez dyktatorski reżim rządzący wówczas w Argentynie”. Papież dodaje, że nie przemawiał jednak do niego materializm Careagi. Na pytanie Scalfariego dotyczące poglądu Franciszka na społeczeństwo komunistyczne papież miał odpowiedzieć: „Mowa o tym była kilka razy i moja odpowiedź zawsze była taka, że jeśli cokolwiek, to komuniści są tymi, którzy myślą tak jak chrześcijanie”. Trudno pojąć tę opinię w sytuacji, w której ideologie od początku były negatywnym punktem odniesienia dla Kościoła w jego wypowiedziach na tematy społeczne, a w sposób szczególnie materialistyczny marksizm. To m.in. sukcesy ruchu komunistycznego skłoniły Leona XIII do opublikowania encykliki uznawanej za pierwszą encyklikę społeczną, czyli „Rerum novarum”. Dzisiaj, gdy słyszymy, że publikuje się słowa papieża mówiącego, jakoby komuniści myśleli jak chrześcijanie, musi to budzić odruchowy niepokój wierzących.

Wielu autorów zauważa, że klucz do zrozumienia myślenia i działania papieża Franciszka znajduje się w jego argentyńskiej formacji. Jeśli tak jest faktycznie, to tym bardziej trzeba się przyjrzeć historii jego przyjaźni z Esther Ballestrino de Careagą, którą portal Church Militant określa nawet twarde mianem terrorystki. Co o niej wiemy? Jak wyglądała jej relacja z młodym Jorge Bergogliem?

KOLEŻANKA CHE

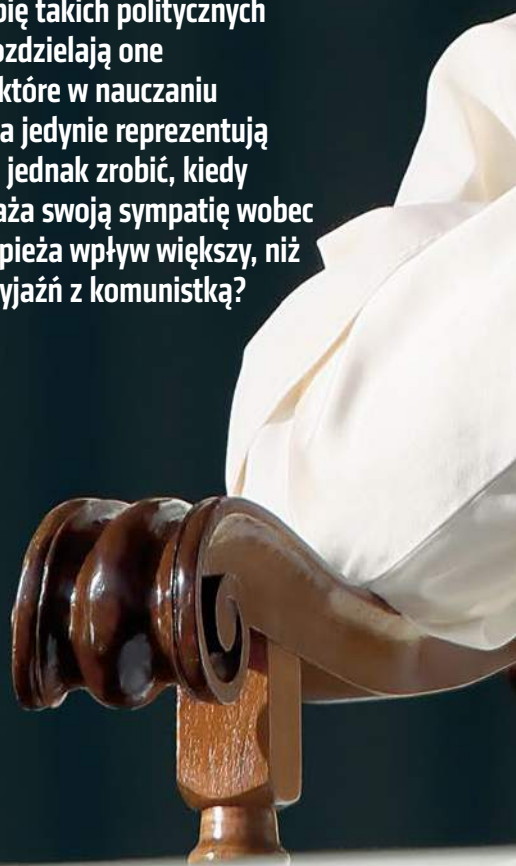
Zanim Jorge Bergoglio wstąpił do seminarium duchownego, uczył się w technikum, by zostać technologiem

Wszystkie ideologie Franciszka



Tomasz Rowiński

W oczach świata papież Franciszek jest papieżem lewicowym. Przyznam, że nie lubię takich politycznych klasyfikacji w Kościele. Często rozdzielają one i przeciwstawiają sobie sprawy, które w nauczaniu i życiu katolickim są połączone, a jedynie reprezentują inne akcenty tej samej nauki. Co jednak zrobić, kiedy dowiadujemy się, że papież wyraża swoją sympatię wobec komunistów? Czy na poglądy papieża wpływ większy, niż myślimy, miała młodzieńcza przyjaźń z komunistką?





Papież Franciszek podczas audiencji
27 listopada 2019 r.

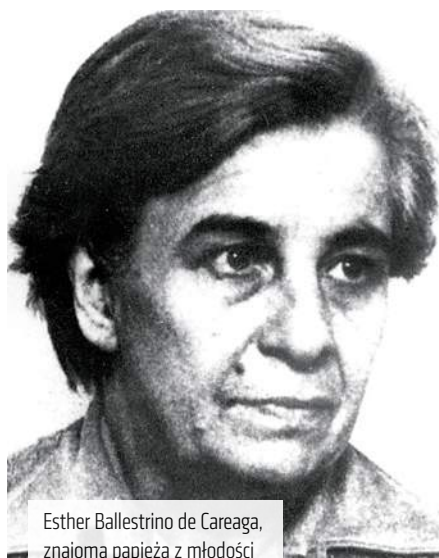
FOT. MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES

żywności. Otrzymał wtedy także angaż w laboratorium, gdzie pracował kilka godzin dziennie. Tak, już jako papież, wspomina te czasy: „Miałem tam świetną kierowniczkę, Paragwajkę. Nazywała się Esther Ballestrino de Careaga i sympatyzowała z komunizmem. Wiele lat później, w czasach ostatniej dyktatury [chodzi o rządy gen. Vidala – przyp. T.R.], przeżyła porwanie córki i zięcia, a potem sama została uprowadzona wraz z dwiema francuskimi zakonnicami – Alice Domon i Léonie Duquet – i zamordowana. Jej ciało spoczywa w kościele Santa Cruz. Bardzo ją lubiłem. Pamiętam, jak kiedyś wręczyłem jej wynik analizy, a ona powiedziała: »Co... szybki jesteś?«. Zaraz potem zapytała: »Ale tamten test zrobiłeś?«. Wtedy ja odpowiedziałem, że po co mam go robić, skoro sądząc po wcześniejszych wynikach, ten powinien dawać mniej więcej taki a taki wynik. »Nie, wszystko trzeba robić porządnie« – zganiła mnie. Krótko mówiąc, uczyła mnie poważnego podejścia do pracy. Naprawdę wiele zawdzięczam tej niezwyklej kobiecie...”

Nie jest to jednak cała prawda o związkach Jorge Bergoglia z Careagą. Nie ograniczyły się one jedynie do tej krótkotrwałej relacji zawodowej. Od końca lat 70. aż do roku 2015 przechowywał on bibliotekę Careagi z dziełami myślicieli marksistowskich, które ta postanowiła ukryć w związku z narastającym zagrożeniem ze strony dyktatury gen. Vidala. Ksiądz Bergoglio zgodził się na tę przysługę, choć i dla niego nie była to sytuacja bezpieczna. Odkrycie przez władze, że przechowuje dzieła marksistowskie, łatwo mogło się zakończyć oskarżeniem o komunizm. Trzeba też napisać, że stwierdzenie, jakoby Careaga tylko sympatyzowała z komunizmem, jest jednak zdecydowanie zbyt słabe. Chociaż urodziła się w Urugwaju, to w Paragwaju została działaczką Partii Rewolucji Lutowej (PRF). Założyła tam też Ruch Kobiet, a w Argentynie poślubiła jednego z liderów PRF Raymundo Careagę. Z ich związku urodziły się trzy córki, które rodzice wychowali w duchu marksistowskim. Esther była też jedną z założycielek ruchu Matek z Plaza de Mayo, który domagał się od rządu Vidala informacji na temat licznych zniknięć młodych mężczyzn, przeważnie działaczy komunistycznych. Według niektórych źródeł we wcześniejszych

latach pozostawała w przyjacielskich relacjach z Ernestem Che Guevarą.

Ksiądz kardynał Jorge Bergoglio nie przestał śledzić losów rodziny Careagi także w późniejszych latach. Gdy w roku 2005 zidentyfikowano szczątki porwanej i zabitej pod koniec lat 70. Esther, Bergoglio powiedział synowi Marii Bianco, innej ofiary dyktatury Vidala: „Careaga była dobrą przyjaciółką i wspomniała kobietą i jestem pewien, że twoja matka była taka sama”. To nie wszystko.



Esther Ballestrino de Careaga, znajoma papieża z młodości

Znajoma papieża Franciszka w Paragwaju została działaczką Partii Rewolucji Lutowej (PRF). Założyła też tam Ruch Kobiet

W roku 2014 spotkał się z mieszkającym w Szwecji mężem Esther Ballestrino.

W 2015 r. Ana Maria, córka Esther Careagi, tak oto wyraziła się na temat wpływu komunistycznych idei swojej matki na Jorge Bergoglia, dziś papieża Franciszka: „Moja matka wywarła silny wpływ na młodego nastolatka, którym był Franciszek, kiedy ją znał. Rozumiemy, że wpływy te są obecne w ideach, które rozpowszechniał podczas swojej wizyty w Ameryce Łacińskiej [w 2015 r. – przyp. red.]. Kontynuację idei mojej matki i bojowników lat 70. widzimy w potępieniu, które wygłosił wobec wyczerpującego się systemu kapitalistycznego, niebezpieczeństwa monopolizacji

mediów i w potrzebie przekazania ich w ręce biednych” – powiedziała.

Już jako papież, w roku 2016, Bergoglio reagując na pojawiające się oskarżenia o komunizm, miał, według Scalfariego, powiedzieć: „Moja odpowiedź jest zawsze taka, że ostatecznie to komuniści myślą jak chrześcijanie. Chrystus mówił o społeczeństwie, w którym to ubodzy, słabi, wykluczeni mają decydować. Nie demagogizuj, nie nicponie, ale lud, biedni, którzy mają wiarę w Boga”. Dodawał, że ubodzy powinni wchodzić do polityki, ale „nie do politykierstwa, szarpaniny o władzę, (świata) egoizmu, demagogii, pieniędzy, ale do polityki wzniosłej, twórczej, z wielkimi wizjami, o której pisze Arystoteles”.

Trudno ocenić te zdania jednoznacznie, choćby dlatego, że – jak się zdaje – wiarygodność Scalfariego nie jest wysoka. Bardzo często podrzuca on opinii publicznej rzekome, coraz to bardziej kontrowersyjne wypowiedzi Franciszka, jak choćby tę niedawną, według której papież miał przyznać, że nie wierzy w boskość Jezusa Chrystusa. Jeśli jednak papież uważa, że komuniści (ci, których poznał w Argentynie) myślą jak chrześcijanie, to albo idealizuje komunistów, albo zatrzymuje się na pewnych powierzchownych podobieństwach komunizmu i chrześcijaństwa, które starali się często podkreślać autorzy socjalistyczni. Jedno jest pewne: celem Kościoła nigdy nie była rewolucja społeczna, ale społeczna sprawiedliwość. Termin ten – niechętnie traktowany przez ludzi prawicy – po raz pierwszy pojawił się nie w pismach socjaldemokratów, ale w encyklice Piusa X „Jucunda sane”. Celem komunistów nigdy nie było prowadzenie ludzi do Chrystusa. Ta całkowita rozbieżność perspektyw sprawia, że mówienie, jakoby komuniści myśleli jak chrześcijanie, jest sprzeczne z rozumem. Jak papież może zatem twierdzić coś takiego?

ARGENTYŃSKIE DOŚWIADCZENIE

Trzeba również szerzej spojrzeć na argentyńskie doświadczenie Franciszka. Należy raczej sądzić, że Jorge Bergoglio uważał, a może i dalej tak sądzi, że komuniści w jakiś sposób realizowali ideał chrześcijańskiej pracy na rzecz sprawiedliwości społecznej, przy tym niekoniecznie akceptował metody walki zbrojnej części z nich, a także twardy materializm. To, rzecz jasna, domysły,

które dodatkowo należałoby osadzić w nieco jednak odmiennym kontekście politycznym Ameryki Południowej. Komunizm był tam mitem i najczęściej głosem sprzeciwu wobec niesprawiedliwości, a nie władzą totalitarną. Tą nie zdążył być. Jednocześnie trudno pominąć fakt, że sam Bergoglio angażował się politycznie raczej po prawej, a nie lewej stronie peronizmu, wspierał choćby Żelazną Gwardię dążącą – skutecznie – do przywrócenia władzy Juanowi Perónowi w latach 70.

Jak pisze Henry Sire w książce „Papież dyktator”, Bergoglio popierał ewangelizację i pracę jezuitów wśród biedoty, ale jednoznacznie sprzeciwiał się temu, by ludzie ci zaciągali się do lewicowych partyzantek, co popierało wielu jezuitów. Być może o Jorge Bergogliowi zależało po prostu na ludziach i odnajdywał się w zaistniałej sytuacji politycznej.

Henry Sire pisze, że główną cechą rządów Peróna był cyniczny oportunizm wykorzystujący wpływy zarówno lewicy, jak i prawicy. Sam Perón przeszedł zresztą z pozycji prokatolickich na pozycje antyklerykalne. Pomijając złośliwość Sire’a, możemy uznać, że Bergoglio w uproszczony sposób docenił te intencje, idee i działania, które uważał za zbliżające Argentynę do sprawiedliwości społecznej.

Te doświadczenia ks. Bergoglia pozwalają może lepiej zrozumieć jego stanowisko w sprawach, które są dziś częścią agendy lewicowej. Być może bardziej niż o sam komunizm chodziło mu o populizm, o postulat ludowości, o reakcję wobec niesprawiedliwości. Część tej agendy, właściwie osadzona intelektualnie, wpasowuje się w zwykłe katolickie przeniesienie akcentów w ramach katolickiej nauki społecznej – ekologia integralna, opcja preferencyjna na rzecz ubogich, solidaryzm.

Część jednak nie, i tu znajdzie się powoływanie na ideologię komunistyczną, problem kary śmierci, którego nadużywanie Bergoglio był świadkiem, czy sprawa politycznego ruchu homoseksualnego, co do którego stanowisko Franciszka jest niejednoznaczne. Dzisiaj wydaje się, że jako papież chciałby pogodzić ogień z wodą – znaleźć sposób na zintegrowanie z Kościołem osób homoseksualnych, także tych, które ze swojej seksualności uczyniły fundament tożsamości (jak ks. James Martin). A jed-



Młody ks. Jorge Mario Bergoglio
w Argentynie FOT. PERFIL/SPLASH NEWS/EAST NEWS

nocześnie przeciwstawić się „homoseksualnemu lobbingowi”, o którym mówił w swojej słynnej wypowiedzi zaczynającej się słowami: „Kim jestem, by sądzić” i która została znacznie zmanipulowana w mediach. Zresztą ten sprzeciw wobec lobbingu widać było w czasach, gdy jeszcze był kardynałem i w ostrym liście apelował do parlamentarzystów argentyńskich, by przeciwstawili się projektowi ustawy rządu Kirchnerów wprowadzającej homoseksualne związki partnerskie. Ta chęć zadowolenia – jeśli nie wszystkich, to wielu – była też, jak zauważa Sire, częścią populizmu Peróna.

Antyamerykanizm papieża łatwo mógłby posłużyć za element uzasadnienia dla kryptokomunizmu Franciszka, gdyby ten sam duch nie charakteryzował peronizmu. Antyamerykanizm wyznawał sam Juan Perón. Wydaje się zresztą, że jest to – nie całkiem nieuzasadniony – resentyment wielu mieszkańców Ameryki Południowej. Także niechęć do środowisk tradycjonalistycznych czy – szerzej – duchowieństwa, które w Ameryce Południowej kojarzy się często z warstwami uciskającym, może być zrozumiała w kontekście nie tylko sympatii do pewnych idei lewicowych, lecz także w szerokim nurcie populizmu Peróna, skierowanego przeciw argentyńskiemu ziemiaństwu, arystokracji, a w późniejszych latach klerowi.

MITOLOGIA LUDU

Swoiste wyznaczenie populistycznej wiary Franciszka możemy znaleźć choćby w książce zawierającej jego rozmowy z Dominikiem Woltonem pt. „Otwieranie drzwi”, podczas której mówił on: „Jest pewien myśliciel, powinien go pan poczytać: Rodolfo Kusch, Niemiec, który mieszkał w północno-zachodniej Argentynie, bardzo dobry filozof i antropolog. Uświadomił mi jedną rzecz: słowo »lud« nie jest słowem logicznym. Jest to słowo mityczne. Nie sposób mówić o ludzie logicznie, gdyż byłby to jedynie opis. By zrozumieć jakiś lud, by pojąć jego wartości, trzeba wnikać w jego ducha, w jego serce, jego pracę, w historię i mity jego tradycji. Ta teza jest naprawdę istotna dla zrozumienia teologii zwanej »teologią ludu«. To znaczy iść za ludem, patrzeć, poprzez co się wyraża. Ta różnica jest ważna”. Można zatem sądzić, że także komunizm jest dla Franciszka bardziej niż ideologią, jednym z języków mitologicznych Iberoameryki. Czy taki wniosek osłabia nasz niepokój co do formacji intelektualnej papieża, czy raczej go powiększa, pokazuje bowiem, że Franciszek rzeczywiście nie docenia zagrożenia, które płynie z ideologii?

Sandro Magister, znakomity watykanista i komentator kolejnych pontyfikatów, zauważył niedawno pewną sprzeczność pomiędzy słowami papieża a jego działaniami. Sprzeczność ta jednak zwiększa niepokój, ale też pasuje do jego populistycznego stylu. Gdy Franciszek mówił o konieczności powołania ruchu ludowego i pochwalał komunistów oraz ganił światowy system ■

■ ekonomiczny, jednocześnie spotykał się z przedstawicielami największych światowych koncernów i przyjmował od nich wsparcie finansowe mające stabilizować sytuację ekonomiczną kurii rzymskiej. Tych samych koncernów, które przecież wspierają polityczny ruch homoseksualny, przemysł aborcyjny czy są w znacznej mierze odpowiedzialne za ganięne przez papieża światowe dysproporcje zamożności.

Trzeba zadać pytanie: W jaki sposób papież godzi sympatię do komunistów, populizmu, a także, jak się okazuje, światowej finansjery z katolickością?

Pomaga mu w tym prawdopodobnie to, co nazywa się dziś w Watykanie „nowym paradygmatem” w teologii. Przedstawiciele tego nurtu od lat 50. XX w. uważają, że nauka społeczna Kościoła jest tylko jedną z form ideologii i potrzebny jest powrót do „doświadczenia ludzi”, od którego Kościół miał się jakoby oderwać. Już tu słychać echo „ludowej teologii” Franciszka. W optymistycznej wersji chodzi o uczynienie

rękę, by kształtować głos Kościoła. Henry Sire pisze, że „Franciszek jest kościelną wersją Juana Peróna”. Nie lubi jednoznaczności, chętnie oddaje głos opiniom dysydenckim i ideologom. Zdaje się uważać, że propozycje zasad społecznych (ale, jak widać, także doktrynalnych), które wypracował Kościół, można swobodnie zmieniać, nawet jeśli wynikają z ustanowienia Jezusa Chrystusa, i że nie narusza to wiary.

POWTÓRZONY KRYZYS WOLUNTARYSTYCZNY

Franciszek powtarza tym sposobem, tylko że na najwyższym szczeblu władzy, średniowieczny kryzys woluntarystyczny, będący w pewnym sensie źródłem wszelkiej lewicowości. Pisał o tym Benedykt XVI w swoim wykładzie ratybońskim: „Wraz z Dunsem Szkotem pojawił się woluntaryzm, który ostatecznie doprowadził do twierdzenia, że możemy poznać jedynie Boga »voluntas ordinata«. Ponad nią znajduje się dziedzina Bożej wolności,

hasła o „braterstwie” czy „integracji”. Miejsce dla religii znajduje się gdzieś zupełnie na boku w ich chcianej przez Boga wielości, w której miałyby się ujawnić mądrość Boża. Problem polega na tym, że to ostatnie przekonanie jest sprzeczne z nauką katolicką.

Papież po prostu w sprawach społecznych daje przekaz całkowicie zsekularyzowany. Czy uważa, że nowoczesna globalna kultura, w której żyjemy, jest nową cywilizacją chrześcijańską? A może uważa, że kultura nie potrzebuje Chrystusa lub że jest on tylko użytecznym mitem mającym wspierać różne światowe koncepcje pokoju? Wtedy naprawdę byśmy byli blisko tego, co przekazał Scalfari na temat wiary papieża w boskość Pana Jezusa. Niestety, „nowy paradygmat” bardzo do tego pasuje, ponieważ jeśli źródłem teologii są sami ludzie, a nie Bóg, to Bóg bardzo szybko przestaje być w ogóle potrzebny. Wtedy, równie szybko, celem okazuje się nie podążanie za zbawieniem przyniesionym przez Chrystusa, ale... rewolucja społeczna. A tę „nowy humanizm” przeprowadza, gdzie tylko się da: w edukacji, moralności publicznej itd.

W efekcie myślenia, które realizuje populistyczny „nowy paradygmat”, w przeszłości i dziś, wielu duchownych oraz świeckich zostało marksistami lub przedstawicielami innych ideologii. I nie poprzestali na krytyce problemów społecznych, ale stali się działaczami, partyzantami i terrorystami walczącymi w imię ideologii, a także przeciw Kościołowi, przeciw prawdzie, życiu ludzkiemu i sprawiedliwości.

Nie da się bowiem ostatecznie zachować spójności pomiędzy ideologiami a Ewangelią. Także dziś „nowy paradygmat”, według którego działa papież, przede wszystkim dopuszcza do głosu – na różne sposoby – tych, którzy mniej lub bardziej jawnie przeciwstawiają się nauczaniu Kościoła. I to z pozycji, które są mutacją dawnych ideologii marksistowskich, utylitaryzmu, agresywnego liberalizmu i kapitalizmu.

Populizm i – de facto relatywizm – w nauczaniu oraz praktyce papieskiego działania muszą skończyć się tym, że wielu katolików ulegnie złudzeniu i w popieraniu rozmaitych antyludzkich ideologii ujrzy swoją chrześcijańską misję. Już dziś to się dzieje.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

W rzeczywistości kościelnej „nowy paradygmat” oznacza oddanie władzy rozmaitym zewnętrznym ekspertom i lobbystom, którzy dostają wolną rękę, by kształtować głos Kościoła

z nauk szczegółowych dyscyplin służebnych wobec teologii.

W praktyce oznacza rezygnację z katolickich zasad myślenia o kwestiach społecznych, a podporządkowanie tego namysłu chaosowi różnych ideologii zawartych w teoriach socjologicznych i filozoficznych, a także opiniach ludu i jego mitach.

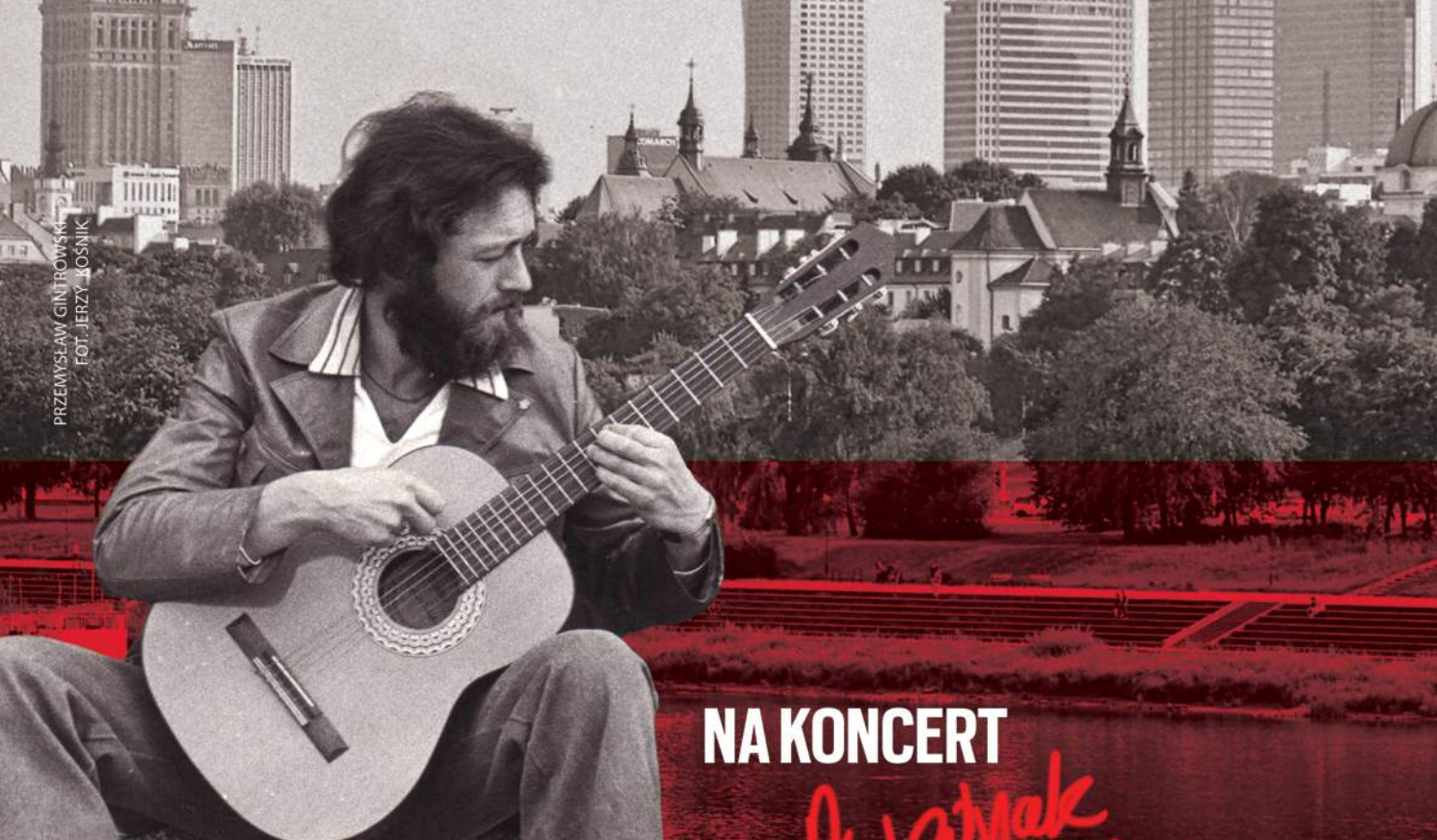
Aby nie szukać daleko od Ameryki Południowej, przykładem myślenia i działania w kluczu tego paradygmatu była teologia wyzwolenia, która naukę społeczną Kościoła podmieniła na religijny marksizm i zaczęła prowadzić walki o wyzwolenie klasowe za pomocą terroru. Jednak też presja, by Kościół zgodził się na antykoncepcję, skoro „lud” i tak jej używa.

W rzeczywistości kościelnej „nowy paradygmat” oznacza oddanie władzy rozmaitym zewnętrznym ekspertom i lobbystom, którzy z perspektywy nauk społecznych i interesów instytucji, które reprezentują, dostają wolną

mocą której [Bóg – przyp. red.] mógłby uczynić wszystko przeciwnie do tego, co w rzeczywistości uczynił”. Dzisiaj wydaje się, że Kościół w osobie papieża i jego najbliższego otoczenia uznaje, że sam znajduje się w tej „dziedzinie Bożej wolności” i może zmieniać, cokolwiek uzna za właściwe, że może używać w stosowaniu swojej duchowej władzy dowolnych idei. Czy to nie skrajna postać klerykalizmu, który papież sam krytykuje? Czy nie podważa w ten sposób autorytetu papieża? Czy wreszcie nie umiejscawia w samym sercu Kościoła komunistycznej zasady „prawdy etapu”?

Sam papież, jak zauważa przywołany już Sandro Magister, gdy wypowiada się w sprawach polityki czy porządku światowego, nigdy nie odwołuje się do Chrystusa, nawet do Boga. Brak jest tam werbalnego śladu obecności Kościoła i jego nauczania. Wszystko jest wypowiadane w duchu „nowego humanizmu”, nieustannie powracają

PRZEMYSŁAW GINTROWSKI
FOT. JERZY LOSNIK



NA KONCERT

*A jażmak
coś po was
coś tamie!*

GINTROWSKI

ZAPRASZA MECENAS



ORLEN

WARSZAWA

9 GRUDNIA 2019r.

TEATR POLSKI IM. ARNOLDA SZYFMANA



Rafał A. Ziemkiewicz

Czy środowiskom kreującym Pawła Juszczyszyna na bohatera walki o wolne sądy oraz ofiarę represji znane były jego przeszłość i jego orzecniczy bagaż? Czy kolejna próba rokoszu ma szanse się udać?

Zbuntowani sędziowie rozpoczęli kolejną bitwę z władzą, ale samym liderom niedawnych protestów – bardziej niż o zwycięstwo – wydaje się dziś chodzić tylko o to, żeby ci, którzy mają ze stanu sędziowskiego wylecieć, wylecieli z niego możliwie z największym hukiem. Wszystko miało po prostu wyglądać zupełnie inaczej. Nowa fala protestów miała wyrosnąć z entuzjazmu „obrońców demokracji” po wyroku TSUE, delegitymizującym obecną Krajową Radę Sądownictwa, i dzięki wykorzystaniu wsparcia „Europy” nadać antypisowskiej rewolucji nową energię.

Prowokacyjne orzeczenie olsztyńskiego sędziego Pawła Juszczyszyna, które spowodowało łatwą do przewidzenia reakcję przełożonych i tym samym dało asumpt do ogłoszenia Juszczyszyna represjonowanym „sędzią niezłomnym” oraz zwołania przez stowarzyszenie Iustitia w jego obronie ulicznych manifestacji, tak właśnie było propagandowo uzasadniane – jako realizacja orzeczenia TSUE. Sędzia Juszczyszyn, przypominajmy, rozpatrując apelację w dość banalnym sporze cywilnym o zapłatę, zakwestionował prawo do orzekania sędziego pierwszej instancji pod tym pozorem, że został on dopuszczony do zawodu przez nową KRS, zdaniem autorów wysłanego przed dwoma laty do TSUE zapytania, „upolitycznioną”.

ISTOTA SPRAWY

W istniejącym stanie prawnym jest to horrendalna uzurpacja. Sędzia Sądu Rejonowego w Olsztynie, delegowany do orzekania w miejscowym sądzie okręgowym (właśnie cofnięcie po wspomnianym orzeczeniu owej delegacji, wraz ze wszczęciem postępowania dyscyplinarnego, to owe represje, przeciw którym zwołali sędziowie demonstracje) zwyczajnie nie ma uprawnień, by zamiast powierzonej mu sprawy oceniać sędziego,

Sędzia Paweł Juszczyszyn stał się bohaterem lewicowych mediów

FOT. TOMASZ WASZCZUK/PAP



Drugi etap rokoszu

który rozstrzygał ją w pierwszej instancji – a tym bardziej by oceniać konstytucyjność ustaw i sposób realizowania ich przez parlament. Jego orzeczenie byłoby zresztą absurdalne nawet w sytuacji, gdyby wyrok TSUE brzmiał tak, jak się

tego spodziewała „opozycja totalna” i jak według niektórych źródeł nieoficjalnie informował ją nieformalny łącznik z TSUE, sędzia Safjan – to znaczy, gdyby TSUE uznał polską KRS za powołaną w sposób naruszający prawo unijne. Wtedy bowiem

wykonanie tego wyroku należałoby do parlamentu i Sądu Najwyższego, a nie sędziego – z całym szacunkiem dla pięknego miasta – prowincjonalnego sądu, na dodatek rozpatrującego niemającą z tym nic wspólnego sprawę cywilną.

Istotą sprawy, i przyczyną, dla której cała pracownica przygotowana maszyna kolejnego rokoszu prawników przeciwko „państwu PiS” od razu zaczęła buksować w miejscu, jest to, że TSUE oczekiwane przez polską opozycję i działaczy *Lustitii* wyroku ostatecznie nie wydał. Dlaczego, TSUE nie musi się tłumaczyć. Byłemu ministrowi i komisarzowi europejskiemu, Januszowi Lewandowskiemu, wyrwało się jednak podczas rozmowy w internetowym programie Tomasza Lisa, że w ostatniej chwili przesądziły o tym „pomruki dochodzące z niemieckiego trybunału konstytucyjnego”. Słowa Lewandowskiego można oczywiście uznać za bezprawną insynuację, jakoby TSUE nie był w swych orzeczeniach tak niezależny, za jaki uchodzi – ale faktem jest, że w różnych kręgach zwracano uwagę, iż postawienie się przez TSUE ponad prawem krajowym w przypadku Polski byłoby precedensem groźnym dla wszystkich państw wspólnoty.

Tak czy owak, TSUE – wbrew propagandzie tworzonej na użytek mieszkańców „bańki informacyjnej” opozycji – nie uznał KRS za „upolitycznioną” ani nawet, jak twierdził bardziej powściągliwi w słowach, nie stwierdził, że istnieją co do tego wątpliwości. TSUE stwierdził, że JEŻELI istnieją wątpliwości, to władny je badać jest polski Sąd Najwyższy, a nie TSUE. Zwróćmy uwagę raz jeszcze – Sąd Najwyższy, a nie jakiś sędzia delegowany do sądu okręgowego w Olsztynie, nawet jeśli został przez kolegów z sędziowskiego związku przekonany, że jest „sędzią niezłomnym” i na nim spoczywa moralny obowiązek rozpalenia na nowo zarzewia rebelii. Uprawiana przez związek *Lustitia* i jego politycznych patronów propaganda, twierdząca, jakoby na mocy „wyroku TSUE” wszyscy sędziowie mieli „obowiązek”, tak jak „niezłomny” z Olsztyna, odsunąć od orzekania sędziów i asesorów dopuszczonych do zawodu przez KRS w obecnym składzie, i uznawać ich orzeczenia za niebyte, jest od początku do końca fałszywa.

„POMYŁKA” SĘDZIEGO

Gdy skutek podjętej akcji Paweł Juszczyszyn stał się bohaterem mediów, w Internecie odnaleziono reportaż

wyemitowany cztery lata temu przez telewizję TTV. Reportaż przedstawiał historię śmierci podolsztyńskiego rolnika, Zbigniewa Parowicza. Sprawę tę poznano dzięki interwencji senator Lidii Staroń. Wspomniany rolnik popadł w dług – połowę spłacił, reszta wskutek odsetek urosła do sumy ok. 50 tys. zł. Dla tej sumy miejscowy komornik zajął wartę 10 razy więcej gospodarstwo Parowicza i zlicytował je za 200 tys. zł. Jednak dzięki niewiarygodnej „pomyłce” sędziego Juszczyszyna, który przedwcześnie zamknął sprawę, w istocie szczęśliwy nabywca stał się w majestacie prawa właścicielem wartego pół miliona majątku wyłącznie za kwotę wadium – 32 tys. Kwota ta, pomniejszona o koszty egzekucji, nie wystarczyła do spłacenia długów – rolnik został wtrącony w spiralę nędzy, jego skargi odbijały się od bezdusznego sędziego (samego Juszczyszyna widzimy w starym reportażu, jak w sposób godny szatniarza z „Misia” odmawia dziennikarzom prawa do zadawania mu pytań o tę sprawę i odsyła ich do rzecznika), dopiero wspomniana interwencja senator Staroń przyniosła, wyłącznie już symboliczne, uznanie bezprawności całego zdarzenia.

Trudno oprzeć się skojarzeniu z filmem „Układ zamknięty” i wieloma reportażami, opisującymi podobne sprawy, w których zwykle pod pozorem „pomyłki” kryła się mafijna zмова komorników, sędziów, prokuratorów i „szczęśliwych nabywców” przejmujących legalnie za drobne grosze majątki ofiar. Trudno powiedzieć, czy środowiskom kreującym Pawła Juszczyszyna na bohatera walki o wolne sądy oraz ofiarę represji „pisowskiego układu zamkniętego” (Tak! Tupet rokoszan nie zna granic!) znana była jego przeszłość.

Aktywność w walkach *Lustitii* sędziów jest raczej regułą niż wyjątkiem – by wskazać np. zaangażowanie w Warszawie sędziów odpowiedzialnych za trzyletnie przetrzymywanie w areszcie śledczym Macieja Dobrowolskiego, pod dyktando nieudolnie preparującej kolejne preteksty do przedłużania aresztu prokuratury, najprawdopodobniej zresztą tylko dlatego, że ktoś chciał się podliznąć Donaldowi Tuskowi, gdy ten dla politycznej socjotechniki wyznaczył na wrogów publicznych „kiboli”.

Niewątpliwie największym sukcesem rokoszan było włączenie do promowania protestów Olgi Tokarczuk – przypadkiem zaangażowanie to

zbiegło się z przekazaniem przez władze Wrocławia willi na siedzibę jej fundacji, mającej się zajmować m.in. „obroną praw obywatelskich”. Wsparcie noblistki jest ważne nie tylko ze względu na jej pozapolityczną popularność – przede wszystkim kluczowe dla powodzenia rokoszu jest ukrycie jego politycznego wymiaru pod hasłami „protestu obywatelskiego”. To, co w istocie jest zajadłą walką starego układu w sądownictwie z nowym układem, chce być postrzegane jako szeroki ruch walki nie o odsunięcie jednych sędziów na rzecz drugich ani jednej partii na rzecz innej, ale o demokrację jako taką i właśnie o „prawa obywatela”.

OSTATNIA GRANICA

Czy to się ma szansę udać? Wydaje się, że to pytanie nie było dla inicjatorów akcji tak istotne jak świadomość, że to już ostatnia chwila. TSUE odciął się od polskiego sporu i świadomość tego faktu nieuchronnie dotrze w końcu nawet do zajadłych wyznawców opozycji. W kwietniu kończy się kadencja prezes Gersdorf. Rokoszanie zaś przekroczyli ostatnią granicę – tym razem to stowarzyszenie sędziowskie było oficjalnym już organizatorem protestów, a sędziowie, za namową organizatora, występowali w nich jawnie, demonstracyjnie obnosząc swe togi i dopuszczając do sytuacji tak skandalicznych, jak pojawienie się na wiecu oskarżonego Pinióra i sędziego orzekającego w jego sprawie. Bardziej jawnego łamania art. 178 p. 3 konstytucji już sobie nie sposób wyobrazić.

Czwartkowe orzeczenie Izby Pracy SN (które uchyla uchwałę KRS w sprawie z odwołania jednego z sędziów Naczelnego Sądu Administracyjnego i oddala wniosek prezesa Izby Dyscyplinarnej SN o przekazanie sprawy do tej Izby) pokazuje, że stary układ nie ma już więcej drogi powrotnej. Pozostaje mu pogodzić się z klęską i pocieszać się nagrodami z krajów „starej Unii” albo „bujac łodzią” ze wszystkich sił w nadziei, że do kampanii wykluczania nowych sędziów i asesorów przyłączy się wystarczająco wielu członków zawodu, by sparaliżować i zanarchizować sądownictwo w stopniu wystarczającym do zmiany wyniku majowych wyborów prezydenckich.

To rachuby oparte na bardzo słabych podstawach, ale rokoszanie postanowili spróbować.



FOT. WOJCIECH WYBRANOWSKI/REPORTER

Gdy sędziowie szli na wojnę...



Wojciech Wybranowski

Kilka tysięcy ludzi na antyrządowych demonstracjach, bulwersujące umorzenia lub uniewinnienia osób, które uczestnicząc w opozycyjnych demonstracjach, złamały prawo, i z drugiej strony dyscyplinarki wobec zbuntowanych sędziów. Wojny sędziów z rządem nie wygra żadna ze stron, przegra zaufanie do wymiaru sprawiedliwości

Niedziela, 1 grudnia, w 105 miastach Polski pod sądy przychodzą sympatycy opozycji, są też wśród nich politycy opozycji i sędziowie. Mają transparenty: „Bezprawie i niesprawiedliwość” i „My, naród, wspieramy sędziów”. Tłumów nie ma, w sumie we wszystkich manifestacjach łącznie wzięło udział kilkanaście tysięcy osób. Lewicowo-liberalne media przekonują jednak, że protesty były masowe. W kilku przypadkach

dochodzi do kompromitacji: we Wrocławiu Władysław Frasyniuk, działacz opozycji w czasach PRL, krzyczy: „Jeb...ć pisiora i się nie bać”, a przemówieniu byłego senatora PO Józefa Pinióra, oskarżonego o korupcję, przysłuchiwał się, uczestnicząc w wiecu sędziego Marek Górny, przewodniczący składowi sędziowskiemu mającemu badać sprawę Pinióra.

– Apeluję do sędziów, nie dajcie się zastraszyć. Bądźcie niezawisli, bądźcie

odważni – wołał z kolei na wiecu w Warszawie sędzia Paweł Juszczyszyn, którego sprawa była inspiracją do wyprowadzenia ludzi na ulice w kolejnym antyrządowym proteście.

Sędzia Juszczyszyn został odwołany z delegacji do sądu okręgowego po tym, jak już po enigmatycznym wyroku TSUE zażądał od dyrektora Kancelarii Sejmu dostarczenia niejawnych list poparcia kandydatów do nowej Krajowej Rady Sądownictwa wybranych przez Sejm. Juszczyszyn miał też straszyć urzędnika, że jeśli tego nie zrobi, to on, jako sędzia, ukarze go grzywną.

Niedawno Juszczyszyn został zawieszony przez prezesa Sądu Rejonowego w Olsztynie Macieja Nawackiego, kojarzonego z obecnym obozem rządzącym, a zastępca rzecznika dyscyplinarnego sędziów Michał Lasota wszczął w sprawie Juszczyszyna postępowanie dyscyplinarne, zarzucając mu m.in. uchybienie godności urzędu. Sędzia Juszczyszyn, prowadząc jedną ze spraw cywilnych, podważał też, rozpoznając apelację od wyroku w jednej ze spraw cywilnych, status powołanego przez prezydenta RP sędziego, który we wcześniejszej instancji wydał wyrok.

– Konia z rzędem temu, kto w wyroku TSUE doczyta się, że niejaki sędzia Juszczyszyn miał prawo badać w apelacji konstytucyjność powołania sędziego, orzekającego w I instancji. Jednak miał facet swoje pięć minut w telewizji i został kolejną, męską „ciotką rewolucji w todzie” – oceniał działalność „zbuntowanego” sędziego prawnik Robert Smoktunowicz w komentarzu na Twitterze.

Rzekome szykany ludzi bliskich obecnemu kierownictwu Ministerstwa Sprawiedliwości wobec „zbuntowanych sędziów” stały się jednak dla opozycji kolejną okazją do wyprowadzenia ludzi na ulice.

Jakby tego było mało, w czwartek Izba Pracy Sądu Najwyższego stwierdziła, choć nie jest władna dokonywać takich ocen, że obecna KRS nie jest organem bezstronnym i niezawisłym od władzy ustawodawczej i wykonawczej, zaś Izba Dyscyplinarna SN nie jest sądem w rozumieniu prawa UE i krajowego.

BUNT PEŁEN ZASTRZEŻEŃ

Uliczne demonstracje to tylko jeden z elementów wojny części środowiska sędziowskiego z tymi kolegami w togach, którzy okazali się zwolennikami reformy wymiaru sprawiedliwości lub też sami w niej uczestniczą. Część urzędujących

sędziów – np. w Krakowie – zaczęła kwestionować wyroki wydane przez sędziów wskazanych na stanowiska przez KRS i powołanych przez prezydenta Andrzeja Dudę, a więc za rządów PiS.

– Moim zdaniem to walka rządu z sędziami, nie odwrotnie. Mają z tym problem, bo sędziowie jednak nie dają się przekonać pieniędzmi czy stanowiskami w liczbie spodziewanej. Bronienie polityczne list poparcia dla członków sędziów KRS powoduje uzasadnione wątpliwości co do legalności takiego wyboru i prawidłowego obsadzenia organu kolegialnego, którym jest KRS – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” sędzia Paweł Strumiński z Sądu Rejonowego w Gliwicach.

Zupełnie inaczej widzi to jednak prawnik Marcin Wątrobiński, który w rozmowie z naszym tygodnikiem mówi, że cała sprawa podważa i tak mocno zachwiane zaufanie opinii publicznej do polskich sądów.

– Z okopów wzajemnie ostrzeliwujących się stron w tej wojnie domowej sędziów z rządem nie widać codziennych problemów wymiaru sprawiedliwości. Przykre to, że polityka nadal przykrywa najważniejsze problemy, które teraz dodatkowo się nawarstwiają – uważa Wątrobiński.

Rzeczywiście, przynajmniej część wyroków wydawanych przez „zbuntowanych” sędziów może budzić wątpliwości co do ich zasadności, a także czy nie stały za nimi przesłanki polityczne. Na przykład wyrok uniewinniający Joannę Jaśkowiak, była żonę prezydenta Poznania, obecnie posłankę PO. Jaśkowiak uczestnicząca w demonstracji środowisk feministycznych przeciw projektowi zaostrzenia przepisów aborcyjnych w Polsce powiedziała, że „jest wkurw...a”. Prokuratura zarzuciła jej użycie słów nieprzystojnych w miejscu publicznym, jednak sędzia Sławomir Jęksa uznał, że choć naruszyła prawo, a jej słowa „były złem”, to jednak „większym złem jest to, co się dzieje teraz w Polsce”.

– Pomijając wulgaryzmy, ta wypowiedź była uzasadniona. Mamy ciąg naruszeń konstytucji związanych z naruszaniem wolności zgromadzeń, przejmowaniem Trybunału Konstytucyjnego, Krajowej Rady Sądownictwa i Sądu Najwyższego. Mamy do czynienia z naruszaniem świętej zasady trójpodziału władzy – mówił sędzia Jęksa w ustnym uzasadnieniu.

Już po wydaniu tego wyroku okazało się, że sędzia Jęksa wiele lat temu był znajomym Joanny Jaśkowiak, co oznacza, że

powinien wyłączyć się z orzekania w jej sprawie. Teraz przeciwko niemu toczy się postępowanie dyscyplinarne w sprawie domniemanego „naruszenia zasad apolityczności”. Z kolei Sąd Okręgowy w Warszawie prawomocnie uniewinnił działacza obecnej opozycji Władysława Frasyniuka od zarzutu wprowadzenia w błąd policjantów. Podczas demonstracji Obywateli RP w 2017 r. zakłócających miesięcznicę smoleńską Frasyniuk przedstawił się interweniującym policjantom jako Józef Grzyb. To nie pierwszy raz, gdy Frasyniuk spotkał się z zaskakującą życzliwością sądu. W sprawie naruszenia – podczas jednej z kontrmanifestacji na Krakowskim Przedmieściu – nietykalności interweniujących policjantów warszawski sąd uznał go co prawda za winnego, ale warunkowo umorzył postępowanie. Sąd uznał, że działanie opozycjonisty... miało niską szkodliwość społeczną.

Niektóre orzeczenia sądów budzą wątpliwości co do ich apolityczności, zwłaszcza gdy wydają je sędziowie uczestniczący w politycznych wiecach

Nader życzliwie warszawski sędzia Łukasz Biliński potraktował grupę działaczy Obywateli RP, którzy próbowali zablokować przebieg legalnej manifestacji – miesięcznicy smoleńskiej w Warszawie. Wydając wyrok, uznał, że nie doszło do złamania prawa – mimo iż to powinno chronić uczestników legalnej, zarejestrowanej manifestacji – ponieważ jego zdaniem miesięcznice smoleńskie „nie spełniają definicji zgromadzenia publicznego”, zaś jego zdaniem siadanie na bruku nie było wykroczeniem, ale „realizacją konstytucyjnego prawa do wyrażania poglądów”. Ten sam sędzia uniewinnił też 40 działaczy Obywateli RP usiłujących zakłócić przebieg innego legalnego zgromadzenia – marszu sympatyków Obozu Narodowo-Radykalnego. W kuriozalnym uzasadnieniu decyzji sędzia Biliński argumentował, że... blokowanie legalnej manifestacji narodowców „nie jest społecznie szkodliwe”.

– Organizacje, które kwestionują fundamentalne wartości, takie jak m.in. tolerancja, nie mogą korzystać z ochrony wynikającej z wolności zgromadzeń [...].

W tym przypadku trudno przyjąć, by zachowanie protestujących było społecznie szkodliwe – perorował sędzia Biliński.

W sierpniu wrocławski sąd również uniewinnił łącznie ośmiu działaczy Obywateli RP, którzy zablokowali legalny przemarsz środowisk narodowych. Doszło wówczas do szarpaniny i wyzwisk. Czy takie orzeczenia sądów nie budzą wątpliwości co do ich apolityczności, zwłaszcza gdy wydają je sędziowie uczestniczący w politycznych wiecach wymierzonych w obecną władzę?

– W mojej ocenie to narracja narzucona przez rządzących. Można krytykować orzeczenia i je kontestować, ale orzeczenie prawomocne należy wykonać. Reforma doprowadziła do sytuacji, której kiedyś nie było, kiedy ocenia się orzeczenia przez pryzmat tego, kto orzeka, czy sędzia z konstytucją w kłapie czy sędzia z nominacji MS – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy” sędzia Paweł Strumiński.

– To jest kompletnie niedopuszczalne i to jest pokłosie dzielenia sędziów, a to robią niestety rządzący z wykorzystaniem hejterskich kont, takich jak np. KastaWatch – dodaje nasz rozmówca.

Trudno jednak nie mieć wątpliwości do sędziowskich orzeczeń, kiedy okazuje się, że zdaniem przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości blokowanie przez działaczy Obywateli RP wybranym przez Sejm członkom KRS wejścia do siedziby nie stanowi złamania prawa. Jesienią ubiegłego roku taki wyrok wydał sędzia Łukasz Malinowski, uznając, że tamowanie ruchu przed budynkiem KRS, to nie łamanie prawa, a jedynie „konstytucyjne prawo do wyrażania poglądów”. Albo gdy sądy dwukrotnie uniewinniają działaczy Obywateli RP, którzy podczas jednego z protestów wtargnęli – nie posiadając przepustek – na chroniony teren Sejmu i wbrew żądaniu funkcjonariuszy Straży Marszałkowskiej nie chcieli go opuścić. W uzasadnieniu wyroku sędzia Jakub Kamiński mówił, że nie doszło do naruszenia miru domowego, bo budynki Sejmu nie są ogrodzone płotem.

– Trzeba przede wszystkim pamiętać, kim jest sędzia, jaka jest jego rola i że nigdy nie powinien być politykiem. Żeby nie okazało się, że po kilku latach rozmontowywania wymiaru sprawiedliwości w Polsce przez obie strony sporu ludzie wywożąc na taczakach wszystkich w to zaangażowanych polityków i sędziów. Tak to widać z perspektywy szarego człowieka – ocenia prawnik Wątrobiński.



Kamila Baranowska

Jacek Jaśkowiak swój udział w prawyborach prezydenckich w Platformie traktuje jak trampolinę do wielkiej polityki, o której marzy od dawna

Bez względu na to, jak potoczą się prawyborzy prezydenckie w Platformie, prezydent Poznania już wygrał. Nawet jeśli ostatecznie kandydatką Koalicji Obywatelskiej zostanie Małgorzata Kidawa-Błońska (a wiele na to wskazuje), to Jaśkowiak swoje ugrał – udzielił wywiadów największym mediom, dał się poznać wyborcom opozycji i ustawił w pierwszym szeregu obok dotychczasowych liderów Platformy.

– Jestem absolutnie przekonany, że od dawna planowałem karierę ogólnopolską, a prezydenturę Poznania traktuję jedynie jako przystanek w swojej politycznej karierze. Nie chodzi mi o to, by już teraz zostać prezydentem Polski, ale by zbudować się na przyszłość – ocenia w rozmowie z „Do Rzeczy” Jarosław Pucek, niedawny kontrkandydat Jaśkowiaka w wyborach na prezydenta Poznania. – Mam wrażenie, że Poznań go nie interesuje, rządzą jego zastępcy i urzędnicy, a on o części swoich decyzji dowiaduje się z Facebooka – komentuje Jarosław Pucek.

– Poznań go bardzo interesuje. Choć daje nam dużo swobody, to dba o szczegóły, sprawdza, odpytuje i weryfikuje nasze działania – odpowiada wiceprezydent Poznania Mariusz Wiśniewski.

Sam Jaśkowiak przyznaje w wywiadach, że zdecydował o starcie w prawyborach, gdy Donald Tusk ogłosił, że nie będzie kandydatem opozycji na prezydenta. – W tym dniu, tak się złożyło, byłem z Grzegorzem Schetyną. Razem słuchaliśmy wypowiedzi Tuska i rozmawialiśmy o tym, że te wybory to nie tylko kwestia możliwie najlepszego kandydata, lecz także tego, kto wytrzyma kampanię i ewentualnie ciężar urzędu – opowiadał w „Gazecie Wyborczej”. Ta sama „Wyborcza” informowała wcześniej, że Schetynę do wystawienia Jaśkowiaka namawiać mieli doradzący mu w sprawach PR-owych Igor Ostacho-



Co wygrał Jaśkowiak

FOT. STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS

wicz i Piotr Borys, którzy byli zachwyceni tym, jak Jaśkowiak w ubiegłym roku został prezydentem Poznania już w pierwszej turze.

– Myślę, że na tę decyzję wpływ miało także to, jak polityka w kraju coraz bardziej idzie w kierunku centralistycznym kosztem samorządu, co dla nas, samorządowców, jest odczuwalne – wskazuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Mariusz Wiśniewski, wiceprezydent Poznania.

Sam Jaśkowiak mówił też, że zapoznał się z wewnętrznymi badaniami Platformy nad profilem osoby, która może wygrać z prezydentem Andrzejem Dudą, i uznał, że on, jako osoba „niekojarzona z ośmioma latami rządów Platformy” i działająca w ruchach miejskich, miałby szansę.

REWOLUCJONISTA

Na zastrzeżenia dziennikarzy, że jest zbyt mało rozpoznawalny i zbyt mocno lewicowy, by zostać wybranym najpierw przez delegatów Platformy, a potem przez wszystkich Polaków, Jaśkowiak ma przygotowaną odpowiedź, którą chętnie i często powtarza. – Gdy w 2014 r. startowałem na prezydenta Poznania, też myślano, że wygrać może tylko osoba o konserwatywnych poglądach, bo takie miał mój poprzednik Ryszard Grobelny. Tymczasem okazało się, że pomimo opinii lewicowca wygrałem. W wyborach w 2018 r. głosowało na mnie wielu wyborców konserwatywnych i wygrałem te wybory w pierwszej turze z wynikiem 127 tys. głosów, czyli wynikiem rekordowym w historii wyborów w Poznaniu – chwali się w wywiadzie dla „Wprost”. – Myślę, że Polska jest mniej więcej tak konserwatywna jak Poznań w 2014 r. Nasze społeczeństwo się laicyzuje – dodaje z przekonaniem.

Poznański poseł PiS Bartłomiej Wróblewski działalność Jaśkowiaka przygląda się od lat. – Ma cechy rewolucjonisty, który nie będzie ważył konsekwencji, nie cofnie się przed wprowadzaniem swoich radykalnie lewicowych pomysłów w życie. Nie będzie kalkulował tak jak Tusk czy Schetyna, czy coś się opłaci. Jest zapowiedzią nowych czasów w polskiej polityce, to taki kandydat na polskiego Zapatero. Dlatego budzi zachwyty liberalnych mediów, także zagranicznych, które już od kilku lat z nadzieją o nim piszą. Odradzam lekceważenie go, ten błąd został popełniony w Poznaniu. Uważam Jacka Jaśkowiaka za niebezpieczny typ polityka, i z racji przekonań, i spo-

sobu działania – przyznaje w rozmowie z „Do Rzeczy”. – Zwłaszcza że ambicje ma ogromne. Celuje w najwyższe stanowiska państwowe, takie jak premier, prezydent czy członek rządu – wskazuje. Jego zdaniem świadczy o tym także to, że do mocnego rysu ideologicznego w pewnym momencie Jaśkowiak dołączył element ostrej walki z PiS, wiedząc, że to przysporzy mu popularności wśród sympatyków szeroko rozumianej opozycji.

O tym, jak zmienił się Poznań pod rządami lewicowego Jaśkowiaka, pisaliśmy na łamach tygodnika „Do Rzeczy” wielokrotnie. W tekście „Tęczowa twierdza” („Do Rzeczy” z 14 października 2019 r.) Wojciech Wybranowski wyliczał: „Zakorkowane ulice, problemy z komunikacją, uciekający biznes. A z drugiej strony parady homoseksualistów, ultralewicowa propaganda w miejskich instytucjach. Tak zmienił się Gród Przemysłu w ostatnich latach”.

Rzeczywiście Jaśkowiak swoją politykę mocno oparł na wspieraniu lewicowej ideologii. Chętnie brał udział w paradach równości, obejmując je swoim patronatem i umieszczając przy tej okazji tęcze flagi na miejskich tramwajach, zapraszał do Poznania feministki z Kongresu Kobiet czy autora bluźnierczej sztuki „Kłątwa” na festiwal Malta. Swego czasu głośno było także o prowadzonych w Galerii Miejskiej Arsenał „Warsztatach z rewolucji”, na których instruowano m.in., jak domowym sposobem wykonać aborcję, czy o zapowiedzi otwarcia całodobowego gabinetu ginekologicznego, do którego kobiety mogły w każdej chwili się zgłosić po receptę na tzw. pigułkę dzień po.

Jego lewicowy rewolucjonizm idzie w parze z celowym ignorowaniem wartości, z którymi jest mu całkiem nie po drodze. Kiedy Jaśkowiak nie pofatygował się na uroczystą mszę św. z okazji 100. rocznicy wybuchu powstania wielkopolskiego, w której uczestniczyli m.in. prezydent Andrzej Duda, a także wojewoda wielkopolski i marszałek województwa, tłumaczył to tym, że jest „za rozdziałem Kościoła od państwa”. W zastępstwie wysłał wiceprezydenta. Trzy lata wcześniej, w dniu obchodów rocznicowych, wrzucił na Facebooka zdjęcie, pokazujące, jak wypoczywa w łóżku z żoną i wnuczką podczas urlopu w Zakopanem. Jednocześnie chętnie brał udział w demonstracjach KOD czy w pikietach proimigracyjnych, organizowanych przez środowiska lewicowe. Na

jednej z nich wystąpił z tablicą z napisem: „Uchodźcy. Serdecznie witamy”.

– Najistotniejsze jest to, że skupiamy się na pracy dla Poznania, wyznając zasadę, że Poznań jest miastem dla wszystkich, niezależnie od pochodzenia, wyznania i innych różnic. Wspieramy bardzo różnorodne inicjatywy społeczne, kulturalne, patriotyczne, bo na tym polega rola miasta – tłumaczy wiceprezydent Mariusz Wiśniewski.

NOWY PRZEKAZ

W roli kandydata na kandydata na prezydenta Jaśkowiak postanowił jednak nieco złagodzić swój przekaz. W wywiadzie dla „Wprost” mówi, że „dyskusja o małżeństwach jedнопłciowych jest bezprzedmiotowa”, a ustawę wprowadzającą eutanazję – jako prezydent – by zawetował.

Jaśkowiak umiejętnie za pomocą przychylnych mu „Gazety Wyborczej” próbuje rozbrajać potencjalne bomby, które mogłyby mu politycznie zaszkodzić w wielkiej karierze. Na swoich warunkach opowiedział o rozwodzie, o nieślubnym synu i niemałych pieniądzach, które zarabiał u Kulczyka. A teraz chętnie stawia się w roli obrońcy zwykłych ludzi. Mówi, że rozumie ich bardziej niż inni politycy Platformy.

W budowaniu nowego wizerunku najbardziej Jaśkowiakowi może zaszkodzić on sam. W Internecie kpiny wzbudziło zdjęcie wrzucone przez jego sztab. Widać na nim Jaśkowiaka z uwagą kontemplującego „Gazetę Wyborczą” ze swoim zdjęciem na okładce. Równie dużo prześmiewczych komentarzy zebrało zdjęcie z pociągu, w którym prezydent Poznania zaprasza podróżnych do rozmowy. Tyle że na zdjęciu obok niego jest puste siedzenie. Do wpadek ostatnich dni zaliczyć można także wideo sprzed czterech lat, w którym dziennikarzom „Faktu” skarżył się na ciasny gabinet. Narzeka na za mały stolik, okropne firany, brak szafy na dokumenty i niewygodne biurko. – Dla mnie to wewnątrz jest ponure – mówi. Wtedy upiekło mu się, bo był mało znanym politykiem lokalnym, który właśnie wygrał wybory. Dzisiaj takie rzeczy nie będą mu już uchodziły płazem. Jaśkowiak, przyzwyczajony do łaskawego traktowania przez lokalne media, wydaje się być nieświadomy tego, że pewne zachowania są w polityce niewybaczalne. Jeśli się tego szybko nie nauczy, to stanie się „drugim Petru”. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

Długi cień starych grzechów



Piotr Semka

Kontrowersje wokół niedawnego pogrzebu arcybiskupa seniora Juliusza Paetza pokazały, jak głęboką traumę w Kościele poznańskim wywołuje postać byłego metropolity. Czy pełna niedomówień sprawa metropolity poznańskiego będzie wyjaśniana po jego śmierci?

Od pochówku otoczonego niesławą hierarchy minęły już trzy tygodnie, a wciąż jest ona tematem emocjonalnym w dyskusji wśród księży i świeckich w stolicy Wielkopolski. W lutym 2002 r. na łamach „Rzeczpospolitej” ukazał się artykuł „Grzech w pałacu arcybiskupim” pióra Jerzego Morawskiego, który przedstawiał relacje na temat molestowania seksualnego kleryków przez gospodarza diecezji i prześladowania tych, którzy mieli odwagę o tym głośno mówić. W tym samym roku Stolica Apostolska poinformowała, że metropolita złożył

rezygnację z urzędu i przeszedł na emeryturę. Jego następcą został abp Stanisław Gądecki. Rzym nie ustosunkował się do zarzutów, które pojawiły się w tekście, ale jednocześnie znacząco ograniczył formy jego posługi kapłańskiej. Taki werdykt spowodował dość dziwaczną sytuację.

Formalnie arcybiskup nie został przez nikogo w sposób jawny uznany za winnego nadużyć, a jednocześnie zabroniono mu np. udziału w publicznych uroczystościach i nabożeństwach. Ten stan formalnej niewinności ponownie nabrał znaczenia w momencie śmierci arcybiskupa seniora

15 listopada br. W dyskusjach, które relacjonowano mi w trakcie całej serii moich rozmów z ważnymi i szanowanymi kapłanami Poznania, powtarza się pytanie: Dlaczego po śmierci hierarchy początkowo wszystko zmierzało ku pochówkowi w katedrze? Czy nikt w kurii nie zdawał sobie sprawy, że pochówek w takim specjalnym miejscu wywołać może skandal?

KOMPROMIS I STANOWCZY SPRZECIW

Katedra poznańska to świątynia licząca sobie ponad 1000 lat i miejsce wyjątkowe nawet na tle innych polskich katedr. To nekropolia pierwszych Piastów – jak się przypuszcza, spoczywają tu Mieszko I, Bolesław Chrobry czy kolejni władcy piastowscy aż do króla Przemysła II. W katedrze znajdują się grobowce wielu kardynałów, arcybiskupów i biskupów niezwykle zasłużonych dla Kościoła w Polsce. Spoczywają tu m.in. kard. Mieczysław Halka-Ledóchowski, zasłużony w walce z pruskim kulturkampem, czy

Pogrzeb arcybiskupa seniora Juliusza Paetza miał charakter prywatny. Mszę odprawiono w poznańskiej katedrze, ciało złożono na cmentarzu parafialnym św. Antoniego Padewskiego

FOT. MACIEJ SZERFER/WTK/EAST NEWS



ofiara stalinizmu abp Antoni Baraniak. Nic dziwnego, że pochówek kontrowersyjnego hierarchy obok takich bohaterów musiał wywołać protesty. Na dodatek mógł jeszcze doprowadzić do gorszących protestacyjnych happeningów lewicy w świątyni.

A jednak gdy 15 listopada hierarcha zmarł, szybko ukazał się komunikat kurii poznańskiej pozwalający wnioskować, że miejscem pochówku będzie katedra. Wynikało to z powołania się na zapisy prawa kanonicznego, które wyraźnie mówią, że zmarły biskup chowany jest w swojej katedrze. Według informacji, które z czasem przeniknęły z kurii – ten pierwszy, piątkowy scenariusz pogrzebu był wynikiem bardzo zdeterminowanej postawy rodziny zmarłego, która współpracowała z formalistycznym odczytywaniem kanonów przez urzędników kurii. Uzyskany pseudokompromis w sprawie pogrzebu miał polegać na tym, że co prawda hierarcha miał spocząć w katedrze, ale jednocześnie pogrzeb miał

zgrupować wyłącznie najbliższą rodzinę i mieć charakter prywatny, ściśle zamknięty dla osób postronnych. Zwracała uwagę zawarta w komunikacie wzmianka o uzgodnieniu formy pochówku między rodziną, kurią, Stolicą Apostolską i jej nuncjuszem. Według wielu opinii, które słyszałem, było to upiększenie mające nadać decyzji o pochówku w katedrze jak najsilniejsze wrażenie wsparcia przez autorytety Kościoła.

Sytuacja zmieniła się w sobotę 16 listopada około południa, gdy publicysta „Do Rzeczy” Tomasz P. Terlikowski trafnie odczytał komunikat kurii jako zapowiedź pochówku w katedrze. Jego ostrzeżenia, że pogrzeb w tak specjalnym miejscu może być publicznym zgorszeniem i de facto usankcjonowaniem braku publicznego wyjaśnienia zarzutów stawianych arcybiskupowi, wywołały błyskawiczny rezonans w sieci. Zaniepokojenie wyrazili kolejni publicyści, głównie z konserwatywnej strony laickiej. A w sobotę wieczorem powstał list poznańskich księży i świeckich przestrzegający przed pochówkiem arcybiskupa w katedrze. Do inicjatorów listu należeli szanowani poznańscy kapłani i świeccy, na czele m.in. z ks. Adamem Pawłowskim z Rogalina. Podczas posługi abp. Paetza był szefem samorządu seminarzystów w seminarium poznańskim i kapłanem, który robił bardzo wiele dla nagośnienia nieprawidłowości. Kolejne szanowane poznańskie nazwisko to ks. Marcin Węclawski. Pod petycją podpisała się także duża liczba wykładowców akademickich, w dużej części kojarzona z nurtem konserwatywnym. Osobną, bardzo aktywną rolę w apelowaniu o uniknięcie skandalu odegrał Marek Jurek.

W tej sytuacji abp Stanisław Gądecki, który ponoć już wcześniej miał spore wątpliwości wobec kompromisu z rodziną zmarłego, postanowił w zdecydowany sposób zablokować narastający skandal. Na skutek decyzji abp. Gądeckiego trumna ze zwłokami abp. Paetza została pochowana w rodzinnym grobowcu na cmentarzu parafialnym św. Antoniego na Starołęce. Gestem szacunku dla wrażliwości rodziny była w tej sytuacji jedynie msza pogrzebowa w katedrze, poprzedzająca przewóz trumny na Starołękę.

Cała ta sekwencja wydarzeń na nowo zwracała uwagę na silne lobby w kurii uznające arcybiskupa za ofiarę krzywdzącej nagonki. A jednocześnie przypomnieniem o niełatwej kohabitacji

abp. Gądeckiego z pewnym siebie emerytowanym hierarchą. W opowieściach poznańskich księży powraca motyw próby odzyskania pełnych praw w dziedzinie posługi duchownej, która niemal sześć lat temu miała zakończyć się pozytywnym werdyktem jednej z kongregacji watykańskiej faktycznie potwierdzającej, że na arcybiskupie nie spoczywają żadne zarzuty. Tylko zdecydowana postawa abp. Gądeckiego powiązana z groźbą złożenia dymisji zatrzymała to swoiste odzyskiwanie pola przez abp. Paetza. Jeden z poznańskich księży mówi: „17 lat emerytury abp. Paetza to była jedna wielka gra z abp. Gądeckim, która polegała na omijaniu nałożonych na biskupa seniora ograniczeń. Nakaz Stolicy Apostolskiej był jasny: rezygnacja z udzielania sakramentów święceń, zakaz bierzmowań, wygłaszania kazań, konsekrowania kościołów i ołtarzy oraz uczestnictwa w publicznych uroczystościach. Tymczasem abp Paetz bardzo sprawnie omijał ten czy inny zakaz lub pojawiał się na uroczystościach pewny, że nikt go nie wyprosi”.

Były metropolita poznański czuł się w tej grze tak pewny, że w 2013 r. kard. Tarcisio Bertone zmuszony był zachęcać ks. Paetza do „życia w odosobnieniu, przemyśleniach i w modlitwie”, a trzy lata później, tuż przed obchodami rocznicy chrztu Polski w kwietniu 2016 r., biuro prasowe episkopatu zmuszone było kolejny raz przypomnieć hierarsze dyspozycję watykańską powstrzymywania się od udziału w publicznych uroczystościach. We wszystkich tych latach abp Paetz znajdował sojuszników w tej wyrafinowanej grze wśród urzędników w Rzymie i księży w Kościele poznańskim.

„W tym kontekście początkowy sukces rodziny w forsowaniu katedry jako miejsca pochówku wcale mnie nie zdziwił” – mówi jeden z doświadczonych poznańskich kapłanów. Swoistą kropką nad i w tej sprawie był list odczytany w kościołach archidiecezji poznańskiej 1 grudnia br. Metropolita poznański, odnosząc się pośrednio do oskarżeń o molestowanie kleryków, pisał w nim: „Wyniki dochodzenia przeprowadzonego przez Stolicę Apostolską w tej materii nie zostały podane do publicznej wiadomości, zaś ks. arcybiskup był przekonany o swojej niewinności i nie wyraził publicznie skruchy, choć złożył rezygnację z urzędu”. Arcybiskup Gądecki napisał w liście:

„Czuję się w obowiązku powiedzieć: przepraszam. Przepraszam za zgorzenie, jakie miało miejsce w archidiecezji. Z głębokiego serca przepraszam osoby, które czują się skrzywdzone”. Poprosił też o modlitwę za całą diecezję, „aby – zjednoczona w Duchu Świętym – mogła promieniować świadectwem chrześcijańskiego życia i apostolską gorliwością”.

CZY TO JUŻ KONIEC?

List abp. Stanisława Gądeckiego zawierał jeszcze jedno znamienne zdanie: „Właściwą instancją do przeprowadzenia procesu i wydawania wyroków w odniesieniu do biskupów nie są inni biskupi, lecz Stolica Apostolska”. Wiele osób w Poznaniu odniosło to zdanie do informacji, która obiegła środowisko poznańskich duchownych o wniosku o wszczęcie postępowania kanonicznego w sprawie abp. Paetza, który złożył wspomniany już ks. Marcin Węclawski. Sam ks. Węclawski unika wypowiedzi na ten temat, jednak wiadomo, że poznański kapłan powołał się w swoim wniosku na „Motu proprio” – list papieża Franciszka opublikowany w marcu br., w którym znalazło się wezwanie, aby duchowni posiadający wiedzę o nadużyciach seksualnych księży powiadamiali miejscowych biskupów.

Jak pisał „Głos Wielkopolski”, „fakt, że takie pismo trafiło do poznańskiej kurii, potwierdził m.in. dr Cezary Kościelniak z Uniwersytetu Adama Mickiewicza”, postać szanowana z prawej i lewej strony poznańskiego Kościoła. Profesor Kościelniak, wypowiadając się na ten temat dla „Głosu Wielkopolski”, mówił: „W tym roku na podstawie nowej możliwości prawnej otwartej przez papieża Franciszka otwarto nową furtkę i sprawa została wniesiona do formalnego rozpatrzenia w procesie kanonicznym. To przecina informację, że sprawa abp. Paetza była wymyślona, a formalnie nikt niczego nie chciał z nią zrobić”.

Wniosek złożono jeszcze za życia abp. Paetza. Teraz pojawia się pytanie, czy takie postępowanie może być kontynuowane po śmierci zainteresowanej osoby. I czy prace nad wyświeceniem jego przeszłości mają być udziałem komisji w Watykanie czy też komisji stworzonej przez archidiecezję poznańską. W wypadku śmierci osoby budzącej kontrowersje powołana może być komisja historyczna. Jednak w Polsce był tylko jeden podobny precedens, komisja

powołana do zbadania zarzutów lustracyjnych wobec bp. Stanisława Wielgusa. Jak pamiętamy, wyniki jej pracy doprowadziły do rezygnacji abp. Wielgusa z funkcji.

Kolejnym impulsem do rozważań na temat możliwości pośmiertnego wyjaśnienia zarzutów wobec abp. Paetza były wypowiedzi szefa Katolickiej Agencji Informacyjnej Marcina Przeciszewskiego. Jak podaje portal Interia, szef KAI miał wypowiadać się w sprawie poznańskiego arcybiskupa seniora 29 listopada w trakcie panelu dyskusyjnego „Kościół na krawędzi”, która była elementem 35. Ogólnopolskiego Forum Młodych we Wrocławiu z udziałem prymasa Wojciecha Polaka. Według Interii Przeciszewski miał powiedzieć: „Arcybiskup Paetz miał naprawdę wysokie stanowisko w Watykanie i do Łomży [w której objął biskupstwo w 1983 r. – przyp. P.S.] pojechał na zesłanie. To był podstawowy błąd, bo jego skłonności [homoseksualne – przyp. P.S.] zostały już rozpoznane w Watykanie. Watykan chciał się go pozbyć. To był jeden z motywów nominacji” – mówił Przeciszewski.

Wypowiedź tę skomentował także na portalu Interia prof. Andrzej Kobyliński, etyk z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego: „Wypowiedź Pana Marcina Przeciszewskiego jest niezwykle ważna, można powiedzieć przełomowa. Co więcej, jej bezpośrednim świadkiem był abp Wojciech Polak, który uczestniczył w tej dyskusji panelowej. Z ust prymasa Polski nie padło żadne dementi o szokującej wypowiedzi prezesa KAI. W związku z tym nie mamy żadnych podstaw, żeby w jakikolwiek sposób powątpiewać w prawdziwość tych jakże mocnych słów”.

W dyskusji na temat możliwości pośmiertnego zbadania przewin abp. Paetza zabrał też głos ks. Piotr Studnicki, kierownik Biura Delegata KEP ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży. W jednym z wywiadów ks. Studnicki stwierdził: „Potrzebna jest oficjalna i jasna odpowiedź na najważniejsze pytania: Czy abp Juliusz Paetz był winny wykorzystania seksualnego kleryków [...]. To pytania nie tylko o postać arcybiskupa, lecz także o gorszącą dla wielu zмовę milczenia”.

NOWY NIEZNANY TEREN

Wezwania do stworzenia komisji w sprawie przeszłości abp. Paetza wywołują wśród księży podzielone

opinie. Jedni wskazują, że sprawa metropolity poznańskiego jest drastyczna i nie może trwać w mgle niedomówień. Wynika to także z tego, że przy okazji prób tuszowania skandalu skrzywdzono konkretne osoby.

Jednym z podawanych przykładów są losy ks. Jacka Stępczaka, byłego redaktora pisma diecezji poznańskiej „Przewodnik Katolicki”. Ksiądz Stępczak w 2001 r. próbował poruszyć kwestię molestowania kleryków przez abp. Paetza w liście, który wraz z innymi księżmi wystosował do delegatów episkopatu na synod w Rzymie. Ksiądz Stępczak zmuszono najpierw do upokarzającej samokrytyki, w której pisał: „Popełniłem bardzo poważny błąd, działając na szkodę Kościoła, a zwłaszcza burząc dobre imię ks. abp. Juliusza Paetza”. Mimo że ks. Stępczak opublikował tę samokrytykę, otrzymał zakaz posługi na terenie diecezji i został wysłany na misję do Zambii. Tam zaraził się malarią i jako mocno schorowany kapłan powrócił do Polski. Inni księża spekulują, w jakim stopniu szok wywołany bezkarnością abp. Paetza przyczynił się do wejścia na drogę odchodzenia z kapłaństwa byłego księdza Tomasza Węclawskiego, notabene brata ks. Marcina Węclawskiego zaangażowanego w ujawnienie prawdy o nieprawościach.

Są jednak i tacy księża, którzy wskazują, że komisja ws. Paetza może otworzyć puszkę Pandory. „Zawodowi antyklerykałowie będą podnosić kolejne, już nie tak jednoznaczne sprawy z przeszłości, zemści się wówczas na episkopacie przekonanie, że sprawę lustracji wśród biskupów można zamieść pod dywan”.

Takie obawy nie zmieniają jednak faktu, że coraz więcej istotnych liderów opinii w Poznaniu jest przekonanych, iż sprawę trzeba jednak wyjaśnić. Bogusław Kiernicki, szef Fundacji św. Benedykta, mówi: „Ta idea jest w Poznaniu bardzo żywa. Uważam generalnie, że mogłoby to być dobre rozwiązanie, choć wymaga zaproszenia do jej pracy osób o najwyższym autorytecie kościelnym i moralnym. Trwanie sprawy w obecnej fazie niedomówień i niejasności nie przyniosło dobrych owoców. Trzeba z tego wyciągnąć wnioski”.



KSIĄŻKA IDEALNY PREZENT



Dla dzieci

Nowość



Nobel
2018

Bestseller



NAJLEPSZE KSIĄŻKI NA PREZENT,
 I NIE TYLKO, KUPISZ W:



inmedio

discover POLAND



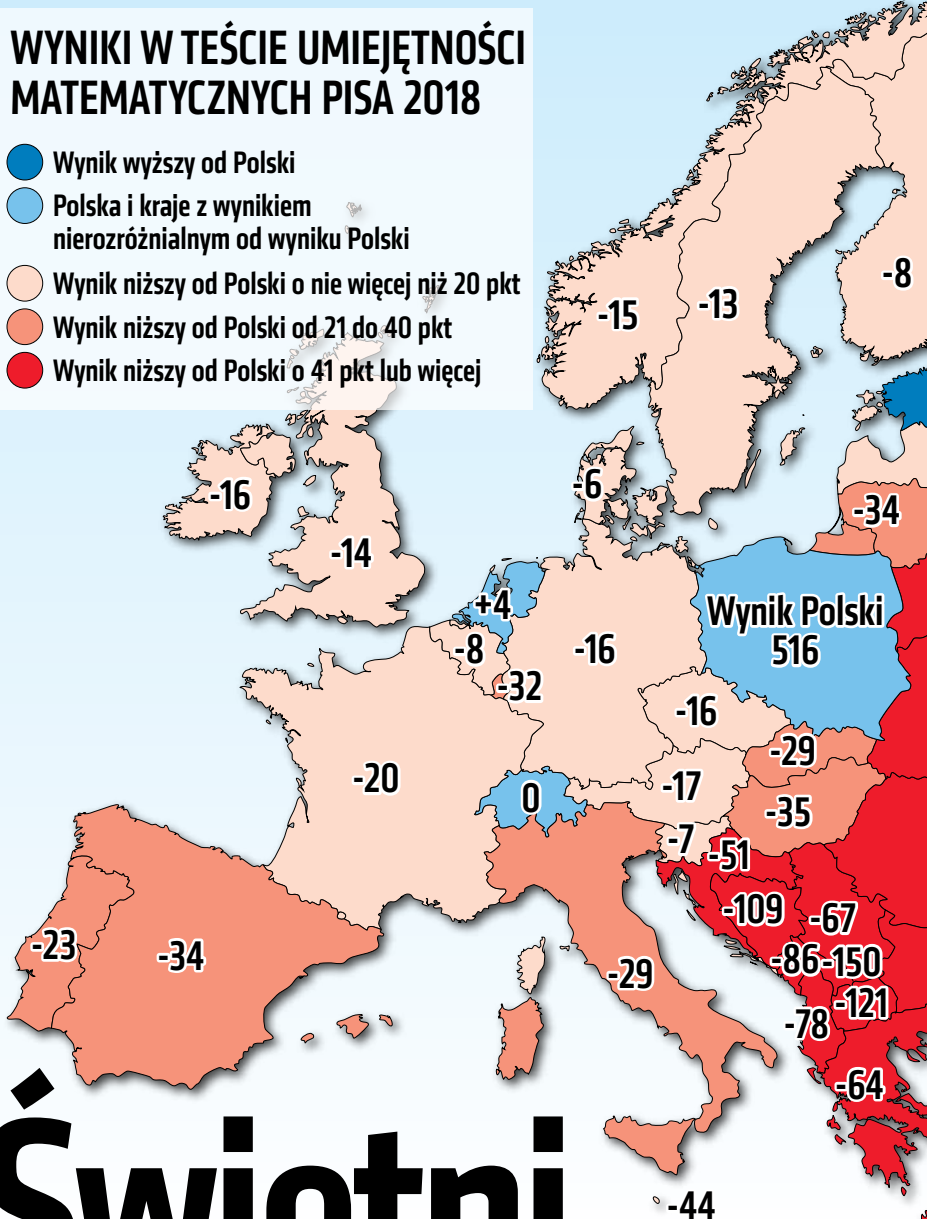
RELAY

ZAPRASZAMY!

15-latkowie z Polski są jednymi z najlepszych uczniów w Europie. Są też w światowej czołówce. Jak to się udało tak niedocenianej polskiej szkole?

Z kolei w rozumowaniu w naukach przyrodniczych Polscy uczniowie uzyskali średni wynik 511 pkt. To był trzeci wynik wśród krajów UE. Lepsi byli jedynie Estończycy (średnio o 19 pkt) oraz Finowie (o 11 pkt). Porównywalny z Polakami wynik w Europie osiągnęli tylko Brytyjczycy i Słowacy (a na świecie jeszcze młodzi z Hongkongu, Tajwanu i Nowej Zelandii).

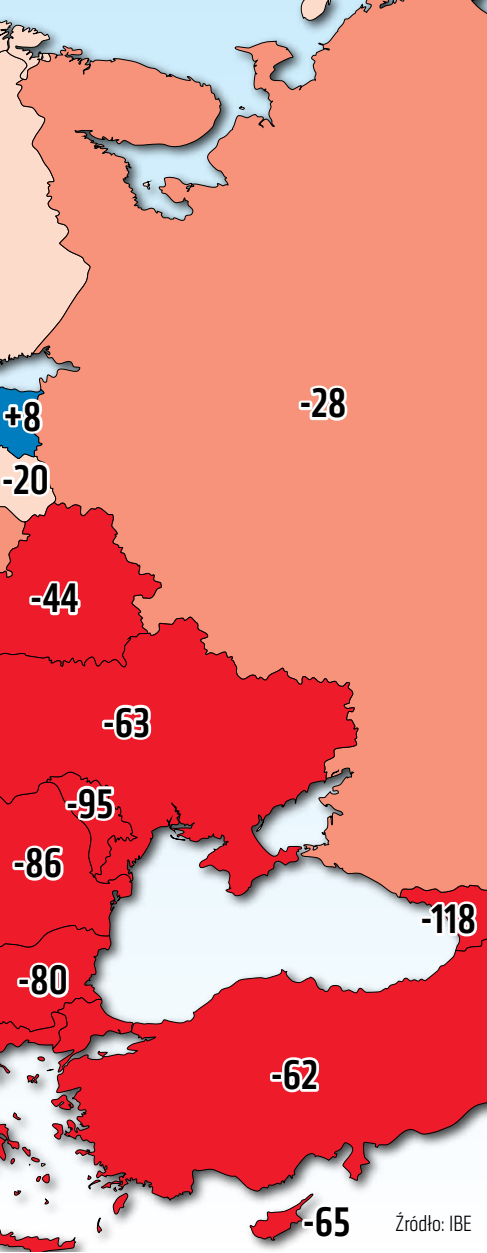
- Wynik wyższy od Polski
- Polska i kraje z wynikiem nierozróżnialnym od wyniku Polski
- Wynik niższy od Polski o nie więcej niż 20 pkt
- Wynik niższy od Polski od 21 do 40 pkt
- Wynik niższy od Polski o 41 pkt lub więcej



Świętні polscy uczniowie

Dodajmy przy tym, że w rozumowaniu matematycznym poprawiliśmy się od badania w 2015 r. o 12 pkt i osiągnęliśmy

Zauważyć należy, że gdy inne kraje notują spadki w tym badaniu, w tym stawiana za wzór w całej Europie Finlandia, polski system edukacji „wypuszcza” wciąż coraz lepiej przygotowanych młodych ludzi. W szczególności wygląda to jeszcze ciekawiej, bo udało się nam w Polsce mocno ograniczyć liczbę uczniów z najgorszymi



Źródło: IBE

wynikami. Jeszcze w 2000 r. najniższe wyniki w rozumieniu czytanego tekstu miał niemal co czwarty polski 15-latek (23 proc.). A już od 2009 r. odsetek uczniów najslabszych pod tym względem utrzymuje się poniżej progu 15 proc. (w ostatnim badaniu – 14,6 proc.). Co istotne – taki właśnie cel w sprawie najslabszych uczniów postawiły sobie kraje UE – i Polska jako jeden z nielicznych krajów ten cel osiągnęła.

Jak zauważył były wiceminister edukacji, a obecnie prezes Fundacji Evidence Institute Maciej Jakubowski, Polska ma mniej niż 2 proc. uczniów poniżej krytycznego poziomu umiejętności we wszystkich dziedzinach. Mniej od nas takich uczniów w Europie jest tylko w estońskich szkołach. – To dobry wynik, ale godzimy się jednak na to, że 15 proc. absolwentów szkół zostaje funkcjonalnymi analfabetami. Umieją składać litery, dekodować tekst, ale go nie rozumieją. Nie zrozumieją instrukcji pralki – zauważa jednak

Jakubowski. – Każdy absolwent powinien mieć tę umiejętność wyższą, oprócz dzieci ze specjalnymi potrzebami. Są kraje, takie jak Kanada, które stawiają sobie bardziej ambitne cele w tym zakresie. I my też nie powinniśmy mówić, że najwyżej taki uczeń „pójdzie do zawodówki”. W XXI w. to jest ślepa uliczka. Ci ludzie za 20 lat będą mieli np. kłopot ze znalezieniem pracy, będą gorzej opłacani – argumentuje.

Jest i drugi pozytywny – mamy coraz więcej najlepszych uczniów, dziś już nawet więcej niż większość krajów UE. Z tym że o ile wyrównywanie szans najslabszych dzieci z pewnością można przypisać systemowi edukacyjnemu, o tyle już powiększanie grona najlepszych uczniów niekoniecznie musi być osiągnięciem szkół. Te od lat mają kłopot z pracą z wybitnymi jednostkami. W tym zakresie więcej więc mogli zdziałać rodzice. A konkretniej – rosnąca zamożność Polaków. Związek między zamożnością rodziny a sukcesami edukacyjnymi dziećmi jest oczywisty i od dawna udokumentowany (inny rodzaj opieki nad dziećmi, finansowanie ich edukacji pozaszkolnej i rozwijania pasji itd.). Nie sposób przy tej okazji nie wspomnieć systemu „500+”, ponieważ polscy rodzice w badaniach opinii deklarowali, że te pieniądze przede wszystkim przeznaczają na edukację swoich dzieci.

ZAGADKA REFORMY

Polski sukces edukacyjny lepiej widać, gdy popatrzy się na inne kraje. Na przykład Niemcy są w tej edycji na 20. miejscu i wyniki młodych ludzi zza Odry pogorszyły się znacznie. Poziom czytania ze zrozumieniem spadł do tego sprzed dekady, poziom rozumowania matematycznego spadł do tego z 2012 r., a poziom w naukach przyrodniczych cofnął się do wyników z 2006 r. Niemcy wyraźnie zauważają, że wpływ na to mają imigranci. „Deutsche Welle”, zastanawiając się nad słabym wynikiem PISA, wskazuje, że już 22 proc. uczniów w tym kraju pochodzi z rodzin, w których niemiecki jest językiem obcym. Połowa z nich wychowuje się w biednych domach.

Z kolei Finowie, wciąż brani za wzór w edukacji, już zaczęli zauważać, że holistyczne podejście do nauczania, pozostawienie w rękach uczniów całego problemu dochodzenia do wiedzy i nabywania umiejętności oraz tak chwalona dziś w Polsce „cyfryzacja” edukacji nie są drogą idealną i mogą prowadzić w ślepy zaułek (pisałem o tym w tekście „Kiedy szkoła szkodzi”, „DRz” 23/2019).

Najtwardszy orzech do zgryzienia mamy jednak w Polsce. Bo świetny wynik PISA osiągnęli ostatni uczniowie zlikwidowanych już gimnazjów. Stworzone inaczej, niż je projektowano (miały być przy szkołach średnich), nigdy niezaakceptowane przez społeczeństwo, były źle postrzegane. Ale – jako ciąg edukacyjny po podstawówce – kształciły nieźle.

Czy zmiana struktury na ośmioklasową podstawówkę spowoduje, że badani w kolejnej edycji 15-letni uczniowie, absolwenci pierwszych klas szkół średnich w Polsce zaczną wypadać gorzej? Jakubowski zakłada, że tak będzie. – Bo skróciliśmy czas kształcenia ogólnego, z tymi samymi programami i egzaminami, z dziewięciu do ośmiu lat – zauważa. – Znam kilkanaście reform edukacyjnych z ostatnich lat, ale nie znam żadnego kraju, który skrócił kształcenie ogólne. Przecież w Estonii czy Finlandii, choć inaczej się to nazywa, chodzi o to samo, nauka trwa dziewięć lat – dodaje. Jego zdaniem po zamknięciu gimnazjów zmieniła się też motywacja uczniów. Obawia się, że część uczniów zmniejszy swoje ambicje i pójdzie do szkół zawodowych. – To błędna droga. Może sprawiać, że uczniowie mający np. kłopot z matematyką będą widzieli już tylko taką przyszłość – ostrzega i apeluje, by wrócić do dyskusji o reformie edukacji w Polsce. Zarazem sam zauważył, że wyniki nauczania poszły też w górę w polskich podstawówkach i dobrze wypadły dzieci z klas czwartych w badaniach TIMSS 2015 (poziom wiedzy i rozumowania uczniów w zakresie matematyki oraz nauk przyrodniczych) oraz PIRLS 2016 (bada biegłość w czytaniu i rozumieniu tekstów). A to przecież do podstawówek po reformie trafiło wielu nauczycieli z gimnazjów i szkoły poszerzały się o dobrze wyposażone zaplecze, bo często gimnazja były w tych samych budynkach.

Jak jest naprawdę, dowiemy się w 2021 r., przy kolejnej edycji badania PISA. I wcale nie jest przesądzone, że wynik 15-latków znad Wisły będzie gorszy. Dzisiaj wiemy jedno – polscy nauczyciele są jak inżynierowie z NRD, którym dano do ręki młotek, plastik i kazano zbudować samochód. I tak jak oni zbudowali całkiem dobrze jeżdżącego trabanta, tak nasi nauczyciele, wciąż relatywnie słabo opłacani i pracujący w trudnych warunkach, z systemem doszkalania wołającym o pomstę do nieba, wypuszczają w świat „produkt”, którego nie tylko nie muszą się wstydzić – lecz taki, który jest jednym z najlepszych na świecie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Agnieszka Niewińska

– Męża czy żony nie da się zamówić na Allegro. Trzeba ich wymodlić – mówi założycielka wspólnoty dla katolików poszukujących małżonka

Wizerunkiem Matki Bożej i napisem „Ave Maria” na fasadzie zwraca moją uwagę, kiedy pukam do drzwi białego budynku w cieniu jasnogórskiego klasztoru. Młodzi ludzie grabią liście w ogrodzie, kręcą się po domu. Małżeństwo chodzi krok w krok za dwuletnim Jankiem ciekawsko rozglądającym się w salonie. Ktoś robi herbatę, ktoś wpada z bukietem róż dla gospodyni. – Trochę tu zamieszania, bo wieczorem mamy imprezę – tłumaczy, witając mnie w swoim domu Maria Emanuel Dziemian.

Jest starszą Bractwa Najświętszej Maryi Panny Królowej Korony Polski. Działające przy jasnogórskim klasztorze bractwo ma trzy wieki tradycji. Reaktywowane kilkanaście lat temu, zaprasza do tego, by w każdą pierwszą sobotę miesiąca przyjechać na Jasną Górę i podczas nabożeństwa zawierzyć swoje życie Niepokalanemu Sercu Maryi Królowej Polski.

Na zawierzenie ciągną dziś autokary z całej Polski. Wierni na specjalnych aktach wypisują swoje prośby do Matki Bożej i podziękowania. Ci, którzy doznali łaski, wracają na Jasną Górę, by dać świadectwo. Ktoś został uzdrowiony, znalazł pracę, uratował małżeństwo... – Widać, że Jasna Góra, to miejsce, z którym związana jest łaska. Jeśli ktoś ma problemy, to niech je zawierzy Niepokalanemu Sercu Maryi Królowej Polski. To ekspres, jeśli chodzi o rozwiązywanie po ludzku spraw nie do rozwiązania. Prośby o potomstwo są wysłuchiwane w tempie turbo – przekonuje Maria Emanuel Dziemian.

Wśród pielgrzymujących na zawierzenia dostrzegła pewną grupę. – Zwróciłam uwagę na młode kobiety i młodych mężczyzn, którzy przyjeżdżają tu samotnie i proszą o męża czy żonę – opowiada. W 2014 r. postanowiła zorganizować zabawę andrzejkową i sylwestrową dla osób poszukujących męża czy żony. Tak powstała wspólnota Niespokojni Nadzieję. Jest miejscem



Swatka Matki Bożej

spotkań dla katolików, którzy jeszcze nie znaleźli małżonka.

DRESS CODE WSPÓLNOTY

Niespokojni spotykają się w Częstochowie w pierwsze soboty miesiąca. Program zaczyna się przed południem. Uczestniczą w przygotowanych dla nich konferencjach, pracują w grupach, dyskutując na zadane tematy. Później wspólnie się modlą, uczestniczą w programie pierwszosobotniego zawierzenia. Po Apelu Jasnogórskim jest czas na nieoficjalne spotkania. – Zapraszam ich

do mnie. Mogą porozmawiać w kameralnej atmosferze, przy herbacie. Czasem puszczamy muzykę, są tańce, bo żeby coś zaiskrzyło, potrzebna jest okazja do tego, żeby się lepiej poznać. Rozjeżdżają się do domów około pierwszej w nocy – opowiada Maria Emanuel Dziemian. – Nigdy nie przypuszczałam, że będę organizować prywatki dla młodych.

– To brzmi, jakby odgrywała pani rolę, którą odgrywały dawno zapomniane swatki – zauważam.

– Ja się nawet czuję, jakbym była nadworną swatką Matki Bożej – śmieje



Maria Emanuel Dziemian (z prawej) zakładała wspólnotę Niespokojni Nadzieją pięć lat temu. W tym czasie dzięki niej zawartych zostało ponad 50 małżeństw. FOT. ARCHIWUM "NIESPOKOJNI NADZIEJĄ"

się Maria Emanuel Dziemian. I dodaje, że ze znalezieniem męża czy żony nie jest jak z zakupami na Allegro. – Nie da się złożyć zamówienia, nie przyjdzie paczka z mężczyzną czy kobietą wedle czyjeś wyobrażenia. Męża czy żonę trzeba wymodlić, tymczasem młodzi ludzie często nie zwracają się w tej sprawie do Pana Boga.

Wspólnota oprócz comiesięcznych spotkań, rekolekcji organizuje wyjazdy, bale sylwestrowe, andrzejkowe czy karnawałowe. Nie brakuje na nich szybkich randek, gdzie każdy z każdym rozmawia

przez kilka minut. – Nasz katolicyzm nie może być tylko smutny, pasywny. Pan Jezus też chodził na wesela, dlatego my nie tylko się modlimy, lecz także bawimy. Nawet na koniec rekolekcji organizujemy tańce. W ubiegłym roku, kiedy głosił je dla nas znany duszpasterz ks. Piotr Pawlukiewicz, w zabawie na parkingu udział wzięło ok. 600 osób – mówi Maria Emanuel Dziemian. – Pani bym jednak na naszą imprezę nie wpuściła – mówi, wskazując na moje spodnie.

We wspólnocie obowiązuje dress code. Panie są proszone o przybycie

w spódnicach czy sukienkach. – Kobiety muszą zachować swoją kobiecość. Powtarzam dziewczynom, że jeżeli pokażą mi choć jedno objawienie Matki Bożej w spodniach, to im to przychodzenie w spódnicach daruję. Najpierw się ze mną o to kłóć, a potem dziękują, bo faktycznie odkrywają swoją kobiecość. Panowie z kolei wiedzą, że na naszych imprezach muszą mieć garnitur, krawczyk. Nie ma mowy, żeby weszli w dżinsach i sweterku. Niektórzy zdecydowali się nawet na wizytę u stylistów i dziś wyglądają znacznie lepiej. Ubóstwo i pokora to nie dziadostwo. Trzeba się zaprezentować, każdy z nas lubi piękno. Poza tym ten, kto przyjmuje Najświętszy Sakrament, niesie w sobie całą Tróję Świętą i powinien być odbiciem jej piękna – tłumaczy Maria Emanuel Dziemian.

SAMOTNI Z DOBRĄ PRACĄ I DOKTORATEM

Inicjatyw skierowanych do osób żyjących w pojedynkę będzie przybywać, bo samotność to coraz poważniejszy problem społeczny. W 2008 r. mieliśmy w Polsce niespełna 20 proc. jednoosobowych gospodarstw domowych bez dzieci, w 2018 r. już 24 proc. – wynika z danych Eurostatu.

Maria Emanuel Dziemian opowiada, że osoby, które przyjeżdżają na spotkania Niespokojnych Nadzieją, to ludzie wykształceni, z dobrym statusem społecznym i materialnym. – Kiedy mamy spotkania, to na parking pojawiają się bardzo dobre samochody. Śmiejemy się nawet, że po markach widać, że panowie nie mają żon. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety, którzy tu przyjeżdżają, mają skończone kilka kierunków studiów, obronione doktoraty, nie mają tylko tego, co najważniejsze: możliwości przyjmowania i obdarowywania miłością męża lub żony. Edukacja, praca, to wszystko jest dobre. Tylko co z tego, jeśli nie ma się z kim tym podzielić?

Marta, drobna, elegancka blondynka po trzydziestce, jest prawniczką. Męża na poważnie szuka od roku. – Mężczyźni nie chcą zakładać rodzin. Chcą się spotykać. Jest fajnie, miło, ale gdy pytam: „Spotykamy się już tyle czasu. I co dalej?”, pojawia się panika, stres. Nie wyobrażają sobie tego, że mieliby być mężami, ojcami, a na pewno nie teraz. Mówią, że mają czas. W Warszawie łatwo jest być singlem. Duże miasto oferuje im wszelkiego

rodzaju rozrywki i zaspokajają potrzeby. Po co im więc poważny związek z kobietą, małżeństwo? Część z nich chciałaby mieć dzieci, ale w jakiejś odległej przyszłości, tymczasem kobiecie ten czas ucieka – mówi.

Od kilku miesięcy regularnie przyjeżdża do Częstochowy na spotkania Niespokojnych. – Bycie tutaj jest dla mnie poważnym wyzwaniem. W innych dziedzinach odniosłam sukces, tymczasem życie prywatne nie ułożyło się tradycyjnie – opowiada. Przyznaje, że w domu rodzinnym nie było żadnej presji na to, żeby wyszła za mąż. – Rodzice kładli raczej nacisk na to, żebym zdobyła wykształcenie, znalazła dobrą pracę, była samodzielna. To, że w końcu wyjdę za mąż, uznawali chyba za oczywiste, o tym się nie mówiło. Byłam w różnych związkach, ale żaden nie zakończył się małżeństwem. Rok temu wyraźnie poczułam powołanie do życia w rodzinie. A skoro odpowiedni mężczyzna się nie pojawił, to zaczęłam działać. Wszłam w środowisko katolickich singli – mówi.

RANDKOWANIE, PRZEBIERANIE

Adrianna, 34-latką, pochodzi z Radomia, pracuje w Warszawie. W poważnym związku z dużo starszym od siebie chłopakiem była jeszcze w liceum. – Zdałam maturę, dostałam się na wymarzone studia do Krakowa. Bałam się, że on będzie chciał małżeństwa, a ja nie byłam na to jeszcze gotowa. Nie wyobrażałam sobie, mając 19 lat, tego, że mogę być studentką i żoną. Norma społeczna jest raczej taka, że najpierw trzeba skończyć studia, znaleźć pracę, a dopiero potem myśleć o założeniu rodziny – opowiada.

Teraz, kiedy przekroczyła trzydziestkę, nie chce czekać, aż druga połówka sama się znajdzie. Na spotkania towarzyskie, imprezy i różnego rodzaju wydarzeń wychodzi kilka razy w tygodniu. Przyjeżdża też na spotkania Niespokojnych Nadzieją. – Nie ma tu nacisku na to, że męża czy żonę mamy znaleźć w tej wspólnotcie – mówi. I tłumaczy, że konferencje, dyskusje przygotowywane dla szukających małżonka pomagają w ułożeniu sobie pewnych rzeczy w głowie, otworzeniu się na nowych ludzi, a konkretnie tych płci przeciwnej. – Na początek trochę się buntowałam przeciwko panującym tu zasadom, np. tej, że mężczyźni i kobiety mają zajmować miejsca na przemian. Teraz patrzę na to pozytywnie. Kiedy podczas przerwy

mężczyzna zaprasza mnie na obiad, nie szukamy już towarzystwa grupy, w której można się poczuć pewniej. Spędzamy ten czas we dwoje.

Andrzej, choć żony szuka od dłuższego czasu, nie nastawia się na to, że znaleźć musi ją w Niespokojnych Nadzieją. – Chcę dobrze wykorzystać czas, podobają mi się atmosfera tych spotkań – mówi.

Dobiega czterdziestki. Zawodowo sam łączy ludzi. Od 10 lat organizuje imprezy dla singli: potańcówki, szybkie randki. – Można powiedzieć: szewc bez butów chodzi. Tyle że to tak nie działa, że jeśli ktoś chodzi na wiele imprez dla singli, to na pewno znajdzie żonę czy męża. Mam znajomych, którzy przyszli na organizowaną przeze mnie imprezę po raz pierwszy i od razu poznali przyszłą żonę czy męża. Są jednak tacy, którzy przychodzą od 10 lat i nic. Ja podczas tych imprez jestem w pracy, więc też trudno jest mi nawiązać głębszą znajomość – mówi. – Byłem w kilku relacjach, ale nie zakończyły się ślubem. Jestem zdania, że dzisiaj nie tylko szalone tempo życia przeszkadza w tym, by poznać kogoś i zdecydować się na założenie rodziny. Z moich spostrzeżeń wynika, że ludzie mają problem z podejmowaniem decyzji. Dużo randkują, przebiegają w tych relacjach, uważają, że jeszcze spotkają kogoś lepszego. Szukają ideału, a ideałów nie ma. Trzeba pójść na rozsądny kompromis.

Kościół coraz częściej zauważa osoby, które żyją w pojedynkę, ale chciałyby założyć rodzinę.

Organizowane są rekolekcje dla ludzi stanu wolnego, msze dla singli, szybkie randki dla katolików, tygodnie modlitw o nowe rodziny

Ma wyobrażenia na temat przyszłej żony, ale – jak mówi – nie trzyma się ich kurczowo. – Oczywiście istotne jest to, żeby ta kobieta mi się podobała, choć nie oczekuję ideału. Ważny jest charakter. Musimy umieć ze sobą wytrzymać, mieć wspólne tematy do rozmów. Podobne zainteresowania zbliżają, ale nie trzeba się przeciw

interesować tym samym. Żeby zbudować solidną relację, ważne są wspólne wartości. Trzeba mieć podobne spojrzenie na rodzinę, wychowanie dzieci – wylicza.

Maria Emanuel Dziemian podkreśla, że wiele osób, które przyjeżdżają na spotkania wspólnoty, najpierw trzeba nakłonić do tego, by „zresetowały” obraz przyszłej żony czy męża, jaki mają w głowie. – Kurczowo trzymają się tego, jaka ta druga osoba ma być: jaki ma mieć wzrost, oczy, nogi. W takiej sytuacji nawet jakby Pan Bóg im kogoś podsyłał, to i tak nic z tego, bo oni czekają na osobę ze swoich wyobrażeń – mówi.

PIĘĆ LAT, 50 MAŁŻEŃSTW

Kościół coraz częściej zauważa osoby, które żyją w pojedynkę, ale chciałyby założyć rodzinę. Organizowane są rekolekcje dla ludzi stanu wolnego, msze dla singli, szybkie randki dla katolików, tygodnie modlitw o nowe rodziny. – Proboszcz parafii św. Klemensa na warszawskiej Woli mówił mi, że chodząc po koledzie, zauważył, jak dużo jest samotnych, mieszkających w pojedynkę mężczyzn i kobiet. Wyszedł z inicjatywą spotkań dla osób poszukujących męża, żony. Organizuje msze dla samotnych, a po nich są szybkie randki – opowiada Marta. – Ja postanowiłam bardziej zaangażować się w Niespokojnych Nadzieją, bo ta wspólnota ma owoce – 12, 13 ślubów rocznie. Poza tym organizowane są wydarzenia pozwalające na integrację, np. wyjścia w góry czy kajaki – podkreśla.

Przez pięć lat działania Niespokojni Nadzieją doczekali się ponad 50 małżeństw. – A to tylko te, o których wiemy. Bardzo możliwe, że jest ich więcej. Naszym rodzinom rodzą się kolejne dzieci. Powołaliśmy już wspólnotę małżeństw – wylicza Maria Emanuel Dziemian. I wspomina, że kiedy zakładała wspólnotę, poszła w tej sprawie do ks. abp. Wacława Depo. – Był chyba trochę zdziwiony tym, co mówię, ale zabrałam ze sobą młodych ludzi poszukujących małżonka, którzy opowiedzieli arcybiskupowi o trudnościach z tym związanych. Wysłuchał nas, wymyślił nazwę wspólnoty i ją pobłogosławił. Dzisiaj temu, co robimy, już się nikt nie dziwi. Ludzie młodzi poszukujący małżonka to ogromna troska Pana Boga i Niepokalanego Serca Maryi Królowej Polski.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione na ich prośbę.

Wypróbuj modele premium z Rentis



SIMPLY

SAFELY

FOR LESS



RentIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500

www.rentis.pl

info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

📍 **BIAŁYSTOK** +48 519 535 331 📍 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 📍 **GDAŃSK** +48 519 535 311 📍 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
📍 **KATOWICE** +48 519 535 301 📍 **KIELCE** +48 519 535 304 📍 **KRAKÓW** +48 519 535 305 📍 **LUBLIN** +48 519 535 318
📍 **ŁÓDŹ** +48 519 535 308 📍 **OLSZTYN** +48 519 535 314 📍 **OPOLE** +48 519 535 307 📍 **PŁOCK** +48 519 535 334 📍 **POZNAŃ** +48 519 535 303
📍 **RZESZÓW** +48 519 535 306 📍 **SZCZECIN** +48 519 535 310 📍 **WARSZAWA** +48 519 535 302 📍 **WROCŁAW** +48 519 535 307

Arcydzieła sztuki działają na wyobraźnię, lecz by zbliżyć się do prawdy o epoce dawno minionej, wystarczy czasem skromny dokument. Jednym z eksponatów wystawy „Świat polskich Wazów” jest stronica z księgi rachunkowej Warszawy, na której spisano wydatki ratusza na egzekucję Michała Piekarskiego, m.in. na paszę dla koni, które rozerwały skazańca (a raczej to, co z niego zostało).

Sprawca zamachu na króla Zygmunta III, ewidentny wariat, został stracony z okrucieństwem, którego nad Wisłą wcześniej nie oglądano. Jego czyn spotkał się z powszechnym potępieniem. Niecałe pół wieku później, gdy Jan II Kazimierz, syn Zygmunta, zrzekał się tronu, szlachta odetchnęła z ulgą. „Pana Snopkowskiego”, szykującego się do wyjazdu za granicę, spotykały liczne afronty, tak jakby tylko on był winien katastrofom, które spadły na Rzeczpospolitą.

W żyłach dynastów, pieczętujących się herbem Snopek, płynęło trochę jagiellońskiej krwi. Dzięki tej paranteli nuworyszowski ród z ubogiej Skandynawii mógł zyskać uznanie wśród europejskich dynastów. Protestancka linia Wazów konsekwentnie dążyła do celu, którym było zamienienie Bałtyku w szwedzkie jezioro. Katolicka zastała państwo polsko-litewskie u szczytu potęgi, a pozostawiła w ruinie.

Kryzys wewnętrzny pogłębiał się z każdą dekadą: niby elekcyjnym, ale w gruncie rzeczy dziedzicznym władcom zabrakło sił, by zdusić szlachecką demokrację. Dwie wojny domowe nie przyniosły rozstrzygnięcia. Kraj utknął w politycznym klinczu i coraz bardziej odstawał od reformujących się sąsiadów („nierządem Polska stoi” – zauważył poeta). Paraliż sejmu wzmocnił pozycję zdominowanego przez magnatów senatu. Oligarchia brytyjska, holenderska czy wenecka sprawnie sterowały nawą państwową. Nasza niestety była bezradziejnie skłócona i skupiona na pilnowaniu własnych interesów.

HISZPAŃSKI SYNDROM

Za Zygmunta i jego następcy Władysława IV Rzeczpospolita osiągnęła terytorialne maksimum. Odzyskała Smoleńsk, szturmowała bramy Moskwy, interweniowała w księstwach naddunajskich. Szach perski prosił ją o pomoc w wojnie z Turcją. Za Jana Kazimierza nie potrafiła poradzić sobie z buntem Kozaków, została upokorzona i podbita przez niewielką armię szwedzką. W oczach historyków

Pod znakiem Snopka



Wiesław Chelminiak

Polska rosła w siłę, ludzie żyli dostatniej. Aż tu nagle wszystko diabli wzięli



bilans trwającej 81 lat epoki Wazów z reguły wypada marnie.

Zgoda inne zdanie mają znawcy kultury i sztuki. Dla nich jest ona „srebrnym wiekiem” czy też „epoką Snopka srebrnego, acz grubo pozłacanego”. Wokół tego paradoksu zbudowana jest warszawska wystawa. Skoro było tak dobrze, dlaczego sprawy potoczyły się tak źle? Pocieszyć się – nie jesteśmy z tym dylematem sami. Hiszpania za panowania Filipa IV (notabene blisko spokrewnionego z Wazami)

pozostała mocarstwem numer jeden już tylko w literaturze i malarstwie. Armia, wcześniej uważana za niezwyciężoną, zbierała tęgie baty, skarbiec świecił pustkami. Zanim dobiegł końca wiek XVII, habsburska monarchia definitywnie spadła do europejskiej drugiej ligi.

Filip miał na swym dworze Velazqueza. Zygmunt i Władysław byli największymi bibliofilami i mecenasami przedrozbiorowej Polski. Ten pierwszy w czasie wolnym od politycznych obowiązków bawił się

w zegarmistrza, jubilera i malarza. Niektóre z naczyń liturgicznych i obrazów, które wyszły spod królewskiej ręki, przetrwały dziejowe zawieruchy. Wystawiony na zamku obraz „Alegoria wiary”, sygnowany monogramem „S” zwieńczonym koroną, wystawia dobre świadectwo umiejętnościom autora.

KASTRACI, PRZYBYWAJCIE!

O zgrozo, artystyczne pasje Wazy przynosiły mu ujmę w oczach poddanych. Szlachta uważała je za niegodne głowy państwa, podobnie jak grę w piłkę, którą Najjaśniejszy Pan uwielbiał. Takie ekspozyty jak szachownica z kości słoniowej, hebanu i bursztynu czy moździerz, być może pochodzący ze słynnej pracowni alchemicznej na Wawelu, pozwalają

najlepszych włoskich śpiewaków, wśród których byli także kastraci. W kapeli królewskiej dla odmiany brylowali Polacy.

Konkurencyjny zespół utrzymywał brat Władysława, równie muzykalny Karol Ferdynand, biskup wrocławski i płocki. Na ich tle ostatni z koronowanych Wazów, Jan II Kazimierz, wypada błado. Starał się kontynuować rodzinne tradycje, powiększył zasoby królewskiej kunstkamery (kupił m.in. kilka obrazów Rembrandta), lecz jego panowanie upłynęło wśród szczęku oręża, który, jak wiadomo, muzom nie sprzyja.

W PERUCE I BEZ

Dwór Wazów był rozsądnikiem niemieckich, flamandzkich, włoskich, a później francuskich idei i wpływów kulturalnych. Monarchowie otaczali się

polskich Wazów skończyła się w trzecim pokoleniu. Jedyny legalny syn Władysława miał siedem lat, gdy powiększył grono aniołków. Syn nieślubny miał mocniejszy organizm, ale nie mógł dziedziczyć praw do korony. Został więc awanturnikiem. Zakończył życie w Rzymie jako szambelan papieski, hrabia de Vasenau.

W „srebrnym wieku” po raz pierwszy zarysował się podstawowy spór cywilizacyjny między amatorami europejskich nowinek i znacznie liczniejszymi zwolennikami swojszczyzny (sarmatyzmu). Wazowie patronowali tym pierwszym, lecz gdy wypadało przypodobać się opinii publicznej, wdziękali żupany i kontusze. W takich przebiegankach celował Władysław IV, ale na wystawie możemy podziwiać wypożyczone ze szwedzkiego zamku Gripsholm



Christian Melich „Panorama Warszawy”

FOT. SYBILLE FORSTER/ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

zajrzeć za kurtynę życia prywatnego i spojrzeć na Zygmunta nieco taskawiej, niż czynił to choćby Paweł Jasienica.

Władysław IV nie tworzył, ale miał opinię konesera. Już podczas młodości podróżując po Europie Zachodniej poczynił liczne zakupy dzieł sztuki, zwiedzał pracowni mistrzów pędzla (m.in. Rubensa). W Italii zaraził się miłością do opery, baletu i teatru. Gdy zasiadł na tronie, polecił zbudować na zamku profesjonalną scenę z pełnym wyposażeniem. Sprowadzał do Warszawy

obcokrajowcami i hołdowali cudzoziemskiej modzie. Paradoksalnie właśnie w tej epoce wykształcił się polski strój narodowy, taniec nazwany później polonezem oraz charakterystyczny dla czasów przedrozbiorowych zwyczaj zdobienia trumien portretami zmarłych.

Sztuce funeralnej poświęcono jedną z sal wystawowych. To i tak mało, zważywszy, że ludzie baroku żyli w cieniu śmierci. Z tuzina potomstwa Zygmunta połowa zmarła jeszcze w dzieciństwie. Dynastia

portret Jana Kazimierza bez peruki (ale z wąsami). Najjaśniejszy Pan zdecydował się zakryć łysinę futrzaną czapką z piórami, bo wobec złego obrotu spraw na Ukrainie pilnie potrzebował poparcia szlachty. Poświęcenie okazało się daremne, Polacy i tak wiedzieli swoje.

Po kolejnych klęskach autorytet monarchii sięgnął dna. Najgorsze było jednak coś innego. Dwór „ostatniego Jagiellona” stał się źródłem demoralizacji, korupcji, intrygi, zdrady, egoizmu oraz obłudy. Z tej

fatalnej szkoły wyszli ludzie, którzy mieli do reszty pograżyć Rzeczpospolitą.

INACZEJ NIŻ ZA GIERKA

Wszyscy wiedzą, że 43 lata temu w TVP wystąpił (z playbacku) zespół ABBA. Mniej osób pamięta o innym objawie ówczesnego polsko-szwedzkiego zbliżenia. W tym samym roku 1976 na Wawelu, a potem w Sztokholmie doszła do skutku wystawa „Sztuka dworu Wazów w Polsce”. Było to przedsięwzięcie bez precedensu w dziejach PRL, wcześniejsze próby muzealnej kolaboracji z „kapitalistami” rozbijały się bowiem o rafy wzajemnej nieufności. Tym razem się udało, choć od pomysłu do realizacji minęło aż dziewięć lat.

Szwedzi zupełnie serio obawiali się działań rewindykacyjnych lub wręcz zaarrestowania przez Polaków dzieł zrabowanych przez Karola X Gustawa i jego podkomendnych w czasie potopu. Wielki Brat prosił o wypożyczenie kilku artefaktów znajdujących się w Moskwie po prostu zignorował. Władza ludowa uważnie patrzyła muzealnikom na ręce, domagając się kopii listów wysyłanych za granicę oraz nadania ekspozycji tytułu, który nie gloryfikowałby dynastii, toczącej „niesłuszne” wojny ze wschodnim sąsiadem.

Takich problemów nie mieli kuratorzy obecnej wystawy, która jest mocnym akcentem kończącym Rok Wazowski. Dokładnie 400 lat temu włoscy architekci Zygmunta III zakończyli przebudowę warszawskiego zamku na stałą rezydencję monarszą. Pięcioboczny gmach z charakterystyczną wieżą zegarową z czasem stał się symbolem polskiej suwerenności i nieprzypadkowo komuniści tak długo zwlekali z podniesieniem go z ruin.

W 12 salach zgromadzono 280 eksponatów, interesujących nie tylko z punktu widzenia historyka sztuki. Znajdą tu coś dla siebie miłośnicy kartografii, numizmatów, militariów czy marynistyki (modele królewskich okrętów, które brały udział w bitwie pod Oliwą). Czego brakuje? Rolki sztokholmskiej, czyli 15-metrowego gwaszu, przestawiającego orszak weselny Zygmunta III i arcyksiężniczki Konstancji Austriackiej. Prezentowano ją kilka miesięcy temu na osobnej wystawie, a papier źle znosi nadmiar światła.

Wielkim nieobecnym jest Tommaso Dolabella, artysta może nie najwyższych lotów, lecz dla epoki emblematyczny. Jego dzieła zdobiły wszak sale reprezentacyjne siedzib Wazów. Ta gafa zo-

stanie jednak naprawiona z nawiązką już na wiosnę, gdy warszawski zamek pokaże monograficzną ekspozycję, poświęconą przybyśzowi z Wenecji.

NIEMOWLĘ W HABICIE

Oglądanie dzieł, niewidzianych w Polsce od połowy XVII w., wywołuje dziwne uczucia. Z londyńskiej National Gallery udało się sprowadzić „Porwanie Europy” Guida Reniego, perłę kolekcji Władysława IV. Z Francji – „Bitwę pod Kircholmem” zamówioną przez Zygmunta III u cenionego batalisty Pietera Snayersa. Z Wiednia – przypisywany Rembrandtowi „Portret starca”. Z Monachium – „Panoramę Warszawy” pędzla Christiana Melicha, najstarszy z malarskich wizerunków polskiej stolicy. Flamand pozwolił sobie na mały żarcik – na pierwszym planie umieścił samego siebie w trakcie tworzenia rzeczonej panoramy.

Z białoruskiego Mińska wypożyczono konterfekt 23-letniego Janusza Radziwiłła. Litewski magnat, unieśmiertelniony w Sienkiewiczowskim „Potopie”, należał wówczas do stronnictwa dworskiego, lecz po pijaku krzychał już o wyrzucaniu Polaków przez okna. Na pierwszy rzut oka trudno go rozpoznać. Za młodu podążał bowiem za francuską modą, dopiero jako hetman stał się wzorcowym Sarmatą. Portret, autorstwa Bartłomieja Strobla, do wojny znajdował się w rodowej kolekcji w Nieświeżu.

Z Wilna trafiły na wystawę kafle z pieców w Zamku Wielkich Książąt Litewskich, ozdobione herbem Rzeczypospolitej i snopkiem Wazów. Odnaleziono je podczas wykopalisk 30 lat temu. Warto też zwrócić uwagę na obiekty z mało znanej kolekcji wizytok. Żona Jana Kazimierza, Ludwika Maria, była dobrodziejką zgromadzenia. Podarowała siostrze m.in. swój prywatny klęcznik i portret córki w stroju mniszki, którą Maria Anna Teresa Wazówna zostać nie zdążyła, bo umarła, gdy miała zaledwie roczek. Na sprowadzonym z katedry w Łowiczu ponadpięciometrowym obrazie wśród fraucymeru królowej łatwo z kolei zauważyć ośmioletnią Marię Kazimierę d'Arquien, przyszłą małżonkę Jana III Sobieskiego.

ZŁOTE PODKOWY, SREBRNE NOCNIKI

Epilogiem wystawy jest wybór zrabowanych przez Szwedów fragmentów architektonicznych i rzeźbiarskich, wydobytych z wysychającej Wisły. Dzięki temu odkryciu wiemy, że Villa Regia, ulubiona letnia rezydencja ostatnich Wazów, w niczym nie ustępowała pałacom zachodnioeuropejskim. Jej budowniczy używali słynnego białego marmuru z Carrary i – nieznanego wcześniej nad Wisłą – czarnego flamandzkiego wapienia. Zrekonstruowana klatka schodowa zasili kolekcję Muzeum Historii Polski.

Co nam zostało z tych lat, poza kolumną na placu Zamkowym i wspomnieniem o złotych podkowach koni, na których posłowie Rzeczypospolitej wjeżdżali do Rzymu? W zbiorze esejów towarzyszącym ekspozycji krakowski historyk sztuki Piotr Krasny wylewa wiadro zimnej wody na głowy optymistów. Twierdzi, że poza wąskim kręgiem elit kulturalne inicjatywy Wazów były kompletnie niezrozumiałe i przeszły bez echa.

Królewski księgozbiór i zbiory sztuki rozkradziono podczas potopu. To, co ocalało, Jan Kazimierz po abdykacji wywiózł do Paryża. Po śmierci zadłużonego emigranta zorganizowano licytację jego majątku. Dwa srebrne nocniki kupił hrabia de Buy. Minęły trzy lata i Polacy sprowadzili zwłoki ekskróla na Wawel. Wydawało się, że Rzeczpospolita najgorsze ma już za sobą. Było to jednak tylko złudzenie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Kabinet z kolekcji Zygmunta III FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

Wystawa „Świat polskich Wazów. Przestrzeń – ludzie – sztuka” w Zamku Królewskim w Warszawie jest otwarta do 14 stycznia.



Piotr Gociek

Tych tytułów nie można przegapić! Przedstawiam przedświąteczny przewodnik po filmach i serialach dla dzieci

Przed pierwszą gwiazdką



1. „KTO ZJE ZIELONE JAJKA SADZONE”

Pierwszy jest wynalazcą pogrążonym w depresji – każda z jego pomysłowych konstrukcji prędzej czy później eksploduje. Drugi to niepoprawny optymista i szelma zarazem – właśnie wykradł z ogrodu zoologicznego niezwykle stworzenie: skrzyżowanie kurczaka z żyrafą. Ta nietypowa para to bohaterowie znakomitej animowanej serii wyprodukowanej przez Warner Animations dla Netflix. „Kto zje zielone jajka sadzone” (pamiętajcie, żeby wyszukiwać po tytule oryginalnym „Green Eggs and Ham”) to największa niespodzianka roku, jeśli chodzi o produkcje dla dzieci. A także jeden z najdroższych seriali rysunkowych w dziejach, co zresztą widać na ekranie. Wszystko jest tu przepiękne, dopieszczone

do najdrobniejszego szczegółu. Co najważniejsze, jest to serial pełen serca, bo zachacie się w sympatycznych postaciach od pierwszego wejrzenia. Produkcję oparto na popularnej książeczce Dr. Seussa (tego od „Grincha” oraz „Horton słyszy Ktosia”), budując na podstawie absurdalnych rymówanek obszerny świat pełen nietypowych bohaterów i nieskrępowanej fantazji. Co ważne, całość ma wielkie zalety edukacyjne (chodzi o edukację emocjonalną), jest hymnem ku czci przyjaźni i prawdziwej miłości, która potrafi wybaczać, oraz zachętą do wychodzenia poza swoje strefy komfortu, by zmierzyć się z prawdziwym światem. Produkcja pojawiła się w Netflixie kilka tygodni temu i przemknęła niemal niezauważona, tymczasem mamy do czynienia

z rzeczą wybitną. A kto po obejrzeniu serialu będzie chciał kontynuować znajomość z cudownymi wierszykami Dr. Seussa, ten znajdzie sporą ich kolekcję wydaną po polsku w przekładach Stanisława Barańczaka. „Kot Prot”, „Słoń, który wysiedziało jajko” czy „Na każde pytanie odpowie czytanie” ukazały się w ostatnich latach po polsku nakładem wydawnictwa Media Rodzina. Warto szczególnie zwrócić uwagę na edycje dwujęzyczne, oryginalne teksty angielskie mają wielki walor edukacyjny dla dzieciaków rozpoczynających dopiero swą przygodę z językiem angielskim.

Sezon 1 „Kto zje zielone jajka sadzone” („Green Eggs and Ham”), USA 2019, wyst. Michael Douglas, Adam Devine, Jillian Bell, dystr. Netflix

2. „TOY STORY 4”

Chociaż można się zastanawiać, czy po chwytającym za serce „Toy Story 3”, pięknie wieńczącym trylogię, potrzebna była jeszcze część czwarta, to trudno nie zachwycić się jakością jej wykonania. Animacja jest perfekcyjna, miło znów widzieć na ekranie dawnych dobrych przyjaciół, zaś nowe postacie równie ciekawe i zabawne jak członkowie oryginalnej paczki.

Akcja rozpoczyna się tam, gdzie zostawiliśmy bohaterów części trzeciej – Andy już dorósł, jego zabawki trafiły do małej Bonnie. Czas jednak płynie nieubłaganie, a gdy dziewczynka dorosnie do zerówki, będzie musiała poza domem radzić sobie już bez dawnych przyjaciół. Tak na scenę wkracza Sztuciec (Forky) – zabawka, którą samotna Bonnie sama zrobiła z plastikowego widelca, kawałka sznurka i złamanego patyczka do lodów. Weteran i zabawkowy główny heros serii, czyli kowboj Chudy, weźmie nowego pod swe skrzydła. Przyszłość ma dla nich jednak zupełnie inne wyzwanie, wiążące się z dawną przyjaciółką Chudego, lalką Bo. Lalką, która postanowiła wieść zupełnie inne życie.

„Toy Story 4” to film o dorastaniu i uczeniu się dostrzegania tego, co ważne. A także o tym, że nic nie trwa wiecznie, zaś za granicą pudełka z zabawkami czeka zupełnie inny świat. Trudniejszy, bardziej niebezpieczny, ale nie da się całego życia spędzić w pokoju zabawek.

Nowej części serii udało się uniknąć pułapek politpoprawnej propagandy, którą coraz częściej bywają przesycane produkty Disneya. Co prawda na pierw-



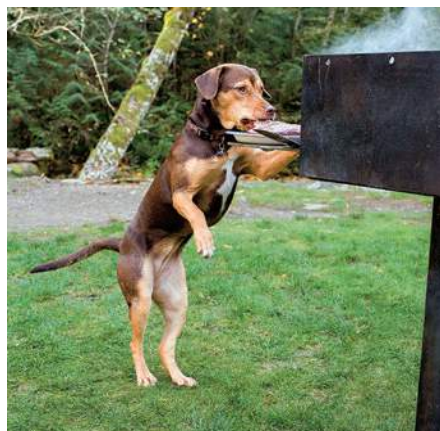
szym planie są silne postacie kobiece, ale jest to wybór uzasadniony fabułą. Nic w tym dziwnego, że dziewczynka Bonnie woli bawić się laleczką Jessie, a nie kowbojem Chudym, i nic dziw-

nego, że lalka-uciekinierka okazuje się większą ryzykantką od tegoż Chudego. Moją jedyną wątpliwość wzbudziła para pluszowych zabawek z wesołego miasteczka, zachowująca się momentami jak homopara.

reż. Josh Cooley „Toy Story 4”, USA 2019, wyst. Tom Hanks, Tim Allen, Annie Potts, dystr. Galapagos, na DVD i Blu-ray od 11 grudnia

3. „O PSIE, KTÓRY WRÓCIŁ DO DOMU”

Przyznam się do słabości – lubię takie filmy. Nie tylko za sprawą oglądanych



w dzieciństwie rozmaitych wersji „Lasie, wróć”, lecz także zapomnianej dziś powieści słoweńskiego pisarza Angelo Cerkenika „Runo”, której tytułowy bohater, dzielny pies pasterski, przemierzył kawałek świata, by wrócić do swego pana. Dzisiaj niekwestionowanym królem psich opowieści jest W. Bruce Cameron, autor książek „Był sobie pies”, „Psiego najlepszego” czy „Był sobie szczeniak”. Na podstawie części z nich powstały niezmiernie popularne filmy, wśród nich „O psie, który wrócił do domu”, od niedawna dostępny w serwisie HBO GO.

Podchodziłem do tego filmu z rezerwą, nieco zaniepokojony zapowiedzią: „Pies wyrusza w długą, pełną przygód drogę, aby odnaleźć swojego właściciela”. No bo ileż można, prawda? Otóż można, otóż można z dobrym skutkiem i tak oto spędziłem czas z jedną z najsympatyczniejszych produkcji roku. Historia ponad 400-milowej podróży psa w poszukiwaniu swego pana okazała się nie tylko w wielu miejscach całkiem oryginalna (jednak można wymyślić coś nowego), lecz także autentycznie

wzruszająca. Z kolei dla mnie, zdeklarowanego kociarza, ważnym atutem była także bardzo istotna rola, którą odgrywa w całej historii suczki Terri pewien bardzo duży kot. Zobaczycie sami.

Co ciekawe, zmyślni Amerykanie nie przegapili i tej okazji, by dołożyć do opowieści familijnej elementy patriotyczne, zwłaszcza pod koniec filmu. Dla narodu dumnego ze swych dokonań i pamiętającego o ofierze z życia i zdrowia swych najlepszych synów to rzecz oczywista. Polacy muszą się jeszcze w tej kwestii wiele nauczyć. Filmowcy szczególnie wiele.

reż. Charles Martin Smith „O psie, który wrócił do domu” („A Dog’s Way”), USA 2019, wyst. Ashley Judd, Jonah Hauer-King, Edward James Olmos, oglądaj na HBO GO

4. „KLAUS”

W zalewie przedświątecznych produkcji dla młodszych i starszych „Klaus” wyróżnia się niezwykle kreską i nietypowym klimatem. Twórca tego filmu, hiszpański reżyser i animator Sergio Pablos, przez wiele lat pracował dla Disneya, m.in. przy tak znanych produkcjach jak „Dzwonnik z Notre Dame”, „Hercules” czy „Planeta skarbów”. Zdobytę doświadczenie wykorzystuje dziś, prowadząc własną firmę w Madrycie: SPA Studios (Sergio Pablos Animation Studios).

Główny bohater, rozpuszczony jak dziadowski bicz uczeń szkoły pocztowej imieniem Jesper, zostaje odcięty przez zdesperowanego ojca od luksusów i wysłany na Daleką Północ. W wyglądającym jak wyjęte ze snów Tima Burtona ponurym miasteczku ma odbudować pocztową placówkę. Być może to trudne doświadczenie naprostuje Jesperowi charakter – tak przynajmniej kalkuluje jego ojciec.

W Smeerensburgu mieszkańcy nienawidzą się nawzajem i toczą od wielu pokoleń wojnę, która rujnuje gród i życie jego obywateli. Kto zdrowszy na umyśle, ten marzy, by wyrwać się stąd za wszelką cenę, tak jak Alva, młoda nauczycielka, która zamiast prowadzić szkołę, zajmuje się handlem rybami i ciuñaniem na bilet powrotny do domu. W dzikich lasach za Smeerensburgiem żyje zaś tajemniczy brodaty starzec, którego dom jest pełen zabawek. Nosi imię Klaus, ale nie jest ani zaczarowany, ani specjalnie świąteczny.



„Klaus” to bożonarodzeniowy film bez Bożego Narodzenia, sowiecy krytycy mogliby napisać pół wieku temu: „Bajka prawdziwie humanistyczna”. Nie przeszkadzało mi to, bo przesłanie jest piękne i tak. Jesper dzięki znajomości z Kausem stanie się lepszym człowiekiem, Klaus poradzi sobie z traumą z przeszłości, nauczycielka Alva pokocha Jespera, Smeerensburg stanie się szczęśliwym miejscem, a przy okazji wszystko to doprowadzi do narodzin nowej tradycji – wręczania świątecznych prezentów. Kto szuka elementów duchowych czy nawiązania do chrześcijańskiej tradycji, ten powinien sięgnąć poza ramy tego tekstu i odkurzyć przed Bożym Narodzeniem animację „Pierwsza gwiazdka”, cudną opowieść o narodzeniu Jezusa opowiedzianą z punktu widzenia wędrujących do Betlejem zwierzątek.

reż. Sergio Pablos „Klaus”, Hiszpania 2019, wyst. Jason Schwartzman, Rashida Jones, Joan Cusack, dystr. Netflix

5. „SEKRETNE ŻYCIE ZWIERZĄKÓW DOMOWYCH 2”

„Zwierzątki to pewniaki” – tak chyba brzmi hasło autorów produkcji dziecięcych i rodzinnych. „Sekretne życie zwierzątek domowych” to film, który w 2016 r. zaro-

bił dla Illumination Entertainment niemal 900 mln dol. Opowieść o tym, co robią nasze pupile, kiedy dorosłych nie ma w domu, musi przywołać na myśl chwyt z „Toy Story” (tu zamiast zabawek mamy zwierzątki: psy, koty, króliki, papugi). Kontynuacja była więc nieuchronna. Jest już dostępna na płytach DVD oraz Blu-ray i jest to wybór nie najgorszy.

W odróżnieniu od pierwszego filmu, który był odyseją zagubionych zwierzątek na ulicach Nowego Jorku, tutaj brak mocnej fabularnej konstrukcji, pozostali za to sympatyczni bohaterowie. Opowieść rozpada się jednak na epizody, które mogłyby funkcjonować swobodnie obok siebie, niekoniecznie w ramach jednego filmu. Cudowne są sceny wizyty u weterynarza (niektóre ujęcia znacie ze zwiastuna), świetne są partie filmu, w których rozpieszczeni mieszkańcy wielkiego miasta muszą dać sobie radę na farmie (uwaga, w roli Koguta sam Harrison Ford). Najslabiej wypada wątek domowego króliczka-słodziaka marzącego o karierze superbohatera. Pytanie podchwytliwe dla twórców filmu: Czy naprawdę trzeba było w finale ubrać króliczka w sukienkę?

Studio Illumination ma w dorobku m.in. serię „Jak ukraść księżyc” oraz świetne skrzyżowanie musicalu i animacji, czyli „Sing”. „Sekretnym życiem zwierzątek domowych 2” ugruntowuje swą pozycję dostawcy rozrywki niezłej jakości, nie aż tak oryginalnej jak dzieła Pixara czy studia Laika, ale wciąż powyżej kinowej średniej. Nie wątpię, że za kilka lat czeka nas trzecia część serii, na razie w przyszłym roku nerwy rodziców trochę poszarpią powracające w kolejnym filmie Minionki.

reż. Chris Renaud „Sekretne życie zwierzątek domowych 2” („The Secret Life of Pets 2”), USA 2019, wyst. Patton Oswalt, Kevin Hart, Harrison Ford, dystr. Filmoteksa

WARTO OBEJRZEĆ TAKŻE:

Nowy „Król Lew” (reż. Jon Favreau) ukazuje się w grudniu na płytach DVD i Blu-ray. Nie poświęciłem więcej miejsca tej produkcji, bo to jednak powtórka z rozrywki, to samo, ale trochę inaczej. Moje serce pozostało przy oryginalnym filmie z roku 1994. Co nie zmienia faktu, że remake „Króla Lwa” też należy obejrzeć.

W kinach warto polować na najnowszą produkcję Studia Aardman, czyli film „Baranek Shaun Film. Farmageddon” (reż. Will Becher). Twórcy „Wallace’a i Gro-

mita” po nieco słabszym (choć wciąż zabawnym) „Jaskiniowcu”, skierowanym do ciut starszej publiki, wracają teraz do tego, co potrafią najlepiej. Czyli szalonej slapstickowej zabawy, która tym razem przenosi się poza Ziemię.

„Kraina lodu 2” (reż. Jennifer Lee) wciąż dominuje w repertuarze rodzinnych kin (nie tylko w Polsce), lecz wspominając o kontynuacji hitu sprzed sześciu lat, trzeba zauważyć, że jej twórcom zabrakło nieco pomysłowości. Główną siłą filmu jest spotkanie ze znajomymi i lubianymi bohaterami, natomiast fabuła w porównaniu z oryginałem jest skromna, emocje krzesane nieco na siłę, jakbyśmy mieli do czynienia z telewizyjnym sequelem, z których przecież Disney także słynie. Stąd miejsce tylko w drugiej piątce mego prywatnego zestawienia.

Propozycją nie dla wszystkich, ale nie dlatego, że jest zbyt trudna czy kontrowersyjna, lecz z racji ograniczonego zasięgu, jest seria animowana „Snoopy w kosmosie”. To produkcja, w której wracają ukochane przez kilka pokoleń czytelników „Fistaszki”, bohaterowie komiksu Charlesa Schultza. Dwunastoodcinkowa seria była jedną z produkcji, którymi koncern Apple zainaugurował działalność swego serwisu streamingowego Apple TV+.

Tu i ówdzie na dużym ekranie upolować można jeszcze „O, Yeti!” (reż. Jill Culton”), wspólną produkcję Dreamworks i chińskiego studia Pearl. Film zachwyca animacją, zostawia jednak niedosyt w kwestii niespecjalnie rozbudowanej fabuły: młodzi mieszkańcy Szanghaju pomagają powrócić na Mount Everest kosmatemu stworowi, który wykaże się w drodze zdolnościami magicznymi. Jest to próba pogodzenia gustów dwóch kulturalnych imperiów, dla Amerykanów może być zbyt chińska (zwłaszcza że to w dużym stopniu reklamówka życia we współczesnych Chinach), dla Chińczyków nazbyt międzynarodowa. Na co warto zwrócić uwagę: punktem zwrotnym w podróży głównej bohaterki okaże się mistyczne przeżycie u stóp pomnika Wielkiego Buddy z Leshan (prowincja Syczuan). Czy ktoś wyobraża sobie, by amerykańscy giganci animacji zainwestowali w film, w którym podobną rolę dla małych bohaterów odegrałaby pielgrzymka do grobu św. Jakuba albo podróż do Jerozolimy czy Betlejem?

I z tą myślą życzę wszystkim samych dobrych wyborów przy okazji przedświątecznych i świątecznych seansów.





FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Syn Afryki, Europejczyk



★★★★★
REŻ. MARKUS
SCHLEINZER
„ANGELO”
AUSTRIA/
LIECHTENSTEIN
2018

wyst. Makita Samba,
Alba Rohrwacher,
Lukas Miko

Antykolonialna gorączka roznosi się jak pożar na stepie. Ulegają jej nawet Austriacy, którzy – jako żywo – nigdy żadnych zamorskich posiadłości nie mieli. Wiadomo jednak, że na każdego znajdzie się papier, wystarczy pogrzebać w archiwach.

Tym razem obeszło się bez wdychania kurzu z pożółkłych akt, gdyż Angelo Soliman jest postacią doskonale znaną wiedeńszczykom. W drugiej połowie wieku XVIII ten eksniewolnik robił furorę na magnackich dworach i mieszczańskich salonach. Mason, obracający się w kręgach luminarzy nauki i polityki, znajomek Mozarta, mógłby być idealnym przykładem człowieka sukcesu, ewentualnie bohaterem filmu o spryciarzu, wykorzystującym oświeceniowy głód egzotyki i mit „dobrego dzikusa”.

Zapotrzebowanie jest jednak inne. Osiem lat temu Wien Museum zorganizowało wystawę o Solimanie, będącą pretekstem do napiętnowania rasizmu. Kluczowym eksponatem była multimedialna instalacja: historię Nigeryjczyka komentowali jego ziomkowie, osiedli w Europie. Kryzys migracyjny, w którym znaczny udział mieli przybysze z Afryki, dołączył oliwy do ognia.

Aktywistów piętnujących neokolonializm oburza fakt, że w Austrii ciasto czekoladowe z bitą śmietaną wciąż nazywa się Mohr im Hemd (Maur w koszuli), zaś produkująca kawę firma Julius Meinl upiera się przy tradycyjnym logo: Murzynku w fezie. Nie znając tych kontekstów, można by uznać film Markusa Schleinzera za kuriozum. Tymczasem „Angelo” to powiastka filozo-

ficzna w trzech aktach, oszczędna w słowach i enigmatyczna w treści.

Reżyser hołduje zasadzie: „Ja wiem, a wy się domyślcie”. Pierwsze słowo pada z ekranu dopiero w siódmej minucie, zaś po kwadransie wracamy do punktu wyjścia. Irytujące jest celebrowanie scen pozbawionych znaczenia. Nawet oskarżenie zachodniej cywilizacji o paternalizm zostaje wygłoszone półgębkiem. Sprawdza się natomiast ukochany format artystów 4:3. Ciasne kadry dobrze oddają sytuację tytułowego bohatera, który sporą część życia spędza w klatce, na szczęście złotej.

Wykształcenie i dobre maniery zawdzięcza hrabinie owładniętej, typową dla „epoki świateł”, manią pedagogiczną. Na przekór opinii, że Murzyni przypominają małpy, postanawia ona zrobić z Angela człowieka. Eksperyment się udaje, wychowanek zostanie ulubieńcem elit. Sam cesarz zaszczyca czarnoskórego dworaka rozmową.

Angelo przedstawia się jako „syn Afryki, Europejczyk”, ale do końca pozostaje postacią nieodgadnioną. Nawet kiedy obiecuje być szczerzy, deklamuje wyuczone teksty. Jest jak lustro, w którym lubią się przegłądać inni. Edukacja uczyniła z niego człowieka bez właściwości. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „CZARNE ŚWIĘTA”

W kontrze do ciepłych, rodzinnych świątecznych propozycji wśród grudniowych premier pojawia się remake (drugi już) jednego z najlepszych krwawych horrorów lat 70. Intryga mniej więcej bez zmian: w spokojnym, szykującym się do świąt kampusie tajemniczy morderca bierze na cel młode dziewczęta. Reżyser nowej

wersji Sophia Takal zapowiada, że jej film jest przedsięwzięciem zajadłe feministycznym, bo panie wezmą srogą pomstę na prześladowcy. ©© **Piotr Gociek**

• „Czarne święta” („Black Christmas”), reż. Sophia Takal, wyst. Imogen Poots, Cary Elwes, Lily Donoghue, USA 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Serce do walki”, reż. Kacper Anuszewski, Polska 2019
- „Słodziak” („Honey Boy”), reż. Alma Har'el, USA 2019
- „Exit”, reż. Sang-geun Lee, Korea Południowa 2019

Pokażesz mi skarpetki?

Filmy, które krzepią lepiej niż przedwojenny cukier; z grubsza dzielą się na dwie kategorie. Pierwsza to baśnie z mchu i paproci, kompletnie odklejone od prawdziwego życia, lecz przyjemne w oglądaniu. Druga wymaga od widzów nieco większego wysiłku. Muszą uwierzyć, że w dzisiejszym, cynicznym do szpiku kości świecie wciąż istnieją bezinteresowni samarytanie. W „Nadzwyczajnych” są nimi Bruno i Malik – szefowie stowarzyszeń, opiekujących się autystycznymi nastolatkami. Jak mało wdzięczne to zajęcie, nikogo przekonywać nie trzeba.

Nowy podopieczny ma skłonność do autodestrukcji, więc paraduje w kasku bokserkim. Pacjent-weteran lubi oglą-

dać cudze skarpetki i ciągnąć za hamulec bezpieczeństwa w metrze. Nasi samarytanie mają problemy z osławioną francuską biurokracją, bo pomagają, nie czekając na placet ministra, zaś w charakterze opiekunów zatrudniają sfrustrowaną młodzież z blokowisk.



★★★★★

REŻ. OLIVIER NAKACHE, ERIC TOLEDANO
„NADZWYCAJNI” („HORS NORMES”)
FRANCJA 2019

wyst. Vincent Kassel, Reda Kateb, Bryan Mialoudama

Bruno jest ortodoksyjnym Żydem, Malik muzułmaninem, ale by nie tworzyć wrażenia, że wspierają bliźnich z pobudek religijnych, modlitwy wycięto z filmu. Ot, paryska specyfika. Im bliżej końca, tym bardziej „Nadzwyczajni” idą na łatwiznę, lecz przyjemnie jest uwierzyć (choćby na dwie godziny), że na obrzeżach systemu działają ludzie, którzy „kierują się wiarą i głosem serca”. ©©

Wiesław Chełmniał



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „FOOTBALL MANAGER 2020”

Jeśli ktoś przeszedł w życiu fazę zarywania nocy przy układaniu optymalnego składu w drodze po Ligę Mistrzów dla Wisły Kraków czy Manchesteru United, to niemal na pewno robił to w „Football Managerze”. Grze, która dla millennialów istniała właściwie od zawsze, bo

obecna odsłona to 16. tytuł serii. Przez ten czas „Manager” przeszedł sporą ewolucję – od trójwymiarowego widoku piłkarzy (kiedyś były to kropki podające sobie piłkę) do rozbudowanej komunikacji z mediami i kibicami. „Dwudziestka” to po prostu więcej tego samego – zwycięska formuła,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

której się nadto nie poprawia. Tylko tyle albo aż tyle. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Sportowa/symulator
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Sports Interactive/Cenega
- **Klasyfikacja PEGI:** 3+

BĘDZIE BOLAŁO

Rozpoczęła w 2013 r. opowieść o Rayu Donovanie od pierwszych odcinków rozgrywała się w dwóch światach. Pierwszy to strefa cienia, w której na życie zarabia główny bohater, zamiatający brudy mogące obciążać jego bogatych, sławnych i wpływowych klientów. Pięścią, pistoletem, szantażem – Ray potrafi wszystko i jest piekielnie skuteczny. Drugi świat to rodzina, mocno połamana, ale ze wszystkich sił trzymająca się razem, choć Ray jej tego nie ułatwia. Liev Schreiber w roli tytułowej i Jon Voight jako jego ojciec szelma tworzą jeden z najlepszych duetów aktorskich, jakie można zobaczyć w dzisiejszej telewizji, a inteligentny scenariusz i ciekawa ewolucja wszystkich bohaterów sprawiają, że krytycy przebakują już o dziele na miarę „Rodziny Soprano”. Siódmy sezon, pokazywany w Polsce od początku grudnia przez HBO, pokazuje Raya, który próbując znaleźć drogę do odkupienia, wikła się w coraz większe kłopoty. Nie da się bowiem uciec od skutków złych decyzji z przeszłości.



wyst. Liev Schreiber, Jon Voight, Eddie Marsan

★★★★★

SEZON 7
„RAY DONOVAN”
USA 2019,
DOSTĘPNY W HBO
I HBO GO

PRODUKCYJNE „PIEKŁO-NIEBO”

Po sukcesie serii dokumentalnej „Zabawki naszej młodości”, która łączyła elementy edukacyjne z bezwstydną reklamą a to lalek Barbie, a to klocków Lego czy produktów z logo Hello Kitty, Netflix proponuje cykl o kulisach powstawania znanych filmów. Czy wiecie, że firma, która wyprodukowała „Dirty Dancing”, wkrótce później zbankrutowała? Że publiczność śmiała się i buczała na widok Bruce’a Willisa podczas próbnych pokazów „Szklanej pułapki”, bo aktor kojarzył się tylko z telewizyjną komedią? Że oryginalnymi pogromcami duchów mieli być Dan Aykroyd, John Belushi i Eddie Murphy? Dla polskiego widza szczególnie ciekawe są losy filmu, bez którego program telewizyjny podczas świąt obejmę się nie może, czyli „Kevin sam w domu”. Nowy cykl to zgrabna telewizyjna konfekcja opowiedziana w szybkim tempie (czasem zbyt szybkim) i z humorem (czasem zbyt czerstwym). „Dirty Dancing”, „Szklana pułapka”, „Pogromcy duchów”, „Kevin sam w domu” – to zestaw pierwszy, ale nie wątpię, że przyjdzie po nim wiele kolejnych. ©©



★★★★★

KREATOR: BRIAN VOLK-WEISS
„FILMY NASZEJ MŁODOŚCI” („THE MOVIES THAT MADE US”)
USA 2019,
DYSTR. NETFLIX

recenzuje Piotr Gociak

★★★★★

której się nadto nie poprawia. Tylko tyle albo aż tyle. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Sportowa/symulator
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Sports Interactive/Cenega
- **Klasyfikacja PEGI:** 3+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Powrót z przytupem

Powrót z balu” Józefa Chełmońskiego po raz pierwszy wystawiony został w Monachium w 1874 r.

Jego przyjęcie przez niemiecką publiczność kapitalnie opisał Stanisław Witkiewicz: „Spokojni zwykle obywatele Monachium, idący wprost z wystawy w Kunstverein milczkiem na Bockbier, Bockwurst i Bockprezel, dzisiaj tłoczyli się na schodach, stawali pod arkadami, zatrzymywali się pod lipami królewskiego ogrodu i powtarzali wciąż jedno: »Na, na! Zu viel! Leben«. Na ścianach wystawy w otoczeniu po raz tysięczny powtarzanych scen tyrolskich, z życia wszystkim znanego modelu, o nosie czerwonym i takiejże kamizelce, obok konwencjonalnie uśmiechniętych Niemek, manekinów ze szkoły Pilotyego i innych co tydzień zjawiających się wyrobów miejscowego malarstwa, wśród bezbarwnego spokoju czerniły się potężne karki olbrzymich karych koni, powiewały ogony i grzywy, rzucały się kopyta, krwawiły się oczy i nozdrza, leciała w powietrzu peleryna furmańskiego płaszcza – wszystko na tle ciemnego nieba, od którego odbijała się twarz jasnej dziewczyny siedzącej w sankach. »Za dużo życia!« – wołała publiczność niemiecka, jedyna zapewne na świecie, dla której może być za dużo światła, barwy, ruchu – za dużo życia w obrazie”.

Jednak nie tylko Niemcy nie poznali się na „Powrocie z balu”. Nie kto inny jak Bolesław Prus, gdy obraz pokazany został (jedy-ny raz!) w warszawskiej Zachęcie, pisał: „Nie wiadomo, co znaczy malowidło, na którym pewna liczba zwierząt apokaliptycznych udających konie ciągnie sanki powożone przez bezgłowego furmana w płaszczu piaskowym”.

Dopowiedzmy więc, że sam artysta uważał „Powrót z balu” za najlepsze dzieło w swoim dorob-



FOT. GRZEGORZ KOZAKIEWICZ/PERUM

ku. Trzy miesiące temu, po 143 latach, obraz powrócił do kraju.

W międzyczasie mogli go oglądać szczęśliwcy. Artysta ofiarował go bowiem w 1876 r. Helenie Modrzejewskiej. Badacze posilkowali się więc drzeworytem zamieszczonym w „Kłosach”, istniała także replika dzieła, obecnie będąca własnością Muzeum Śląskiego w Katowicach. A oryginał trafił do Ameryki wraz z innym obrazem Chełmońskiego zatytułowanym „Sielanka”. Ryszard Jeremi Kluszczyński w swoim esej „Powrót »Powrotu z balu«” cytuje list sławnej aktorki z 1897 r. z Kalifornii: „A od czasu do czasu podnoszę oczy na ścianę i spotykam się z Chełmońskim, Witkiewiczem, Kossakiem, Fałatem itp. Tu konie rozhukane, tam polscy ułani w śniegu, rekruci, wnętrze Wawelu, Żyd polski, pastuszek grający na skrzypcach, nareszcie puszcza zakopiańska, w niej niedźwiedź – wszystko mi tak żywo kraj przypomina, że muszę oczy odwracać, szepcząc: Panie Boże! Smutno i tęskno jest duszy mojej”.

Z czasem doceniono i „Powrót...”, i całą twórczość Chełmońskiego. Niezależnie od tego wielu miłośników tego malarstwa w pięknej pasażerze sanek ciągniętych przez owe

„apokaliptyczne bestie” chciało widzieć Modrzejewską właśnie, choć znajomość pary artystów nie wydawała się zbyt zażyłą. Jednak podziwiali się wzajemnie. Józef Chełmoński gościł w jej salonie, gdzie ponoć powiedzieć miał kiedyś podczas przyjęcia: „Tak, tak, droga pani, Polska jest cudownym krajem. Tutaj żył Mickiewicz, tutaj Chopin, a teraz pani!”.

A później spotkali się ze sobą tylko jeden raz, w Paryżu w 1879 r., z okazji chrztu córki malarza, Jadwigi, której Modrzejewska została matką chrzestną. Po śmierci artystki kolekcję jej obrazów odziedziczył syn aktorki, znany architekt, konstruktor mostów Ralph Modjeski (Rudolf Modrzejewski). Teraz „Powrót z balu” powrócił na stałe do Polski. Niemal dokładnie w 170. rocznicę urodzin Józefa Chełmońskiego i 110. rocznicę śmierci Heleny Modrzejewskiej.

Historia „Powrotu z balu” otwiera wydany przez WBC album Ryszarda Kluszczyńskiego „Od Chełmońskiego do Kantora” z 270 reprodukcjami obrazów 39 mistrzów malarstwa polskiego. Między innymi: Piotra Michałowskiego, Jana Matejki, Aleksandra Gierymskiego, Stanisława Wyspiańskiego, Jacka Malczewskiego, Władysława Strzemińskiego, Jerzego Nowosielskiego. Malarstwo Józefa Chełmońskiego reprezentuje 15 dzieł, takich jak „Czwórka w zaspach”, „Babie lato”, „Bociany”. I, naturalnie, „Powrót z balu”.

Pia Maria Górska twierdziła, że Chełmoński, ten „poeta polskości”, „dla malarstwa naszego jest tym, czym dla muzyki Chopin, dla poezji Mickiewicz, dla prozy Sienkiewicz”, a Leon Wyczółkowski, sam znamienny artysta przecież, napisał o nim: „Największy polski talent malarski, wielki poeta wsłuchany w naturę. My wszyscy przy nim jak galanteria”. ©©



★★★★★
**RYSZARD JEREMI
KLUSZCZYŃSKI**
**„OD
CHEŁMOŃSKIEGO
DO KANTORA.
MISTRZOWIE
MALARSTWA
POLSKIEGO”**
WBC 2019



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Bareja powraca

Grudzień miesiącem Stanisława Barei – w 90. rocznicę urodzin reżysera dostaliśmy w prezencie serię jego komedii z lat 70. poddanych rekonstrukcji cyfrowej i wydanych na Blu-ray. A także nową książkę: „Stanisław Bareja alternatywnie” Macieja Replewicz (który wcześniej napisał także jego biografię „Oczko się odlepiło temu misiu”).

Przed laty zaczęło się od biografii Macieja Łuczaka „Miś” (doczekała się potem wznowienia), której Replewicz był czytelnikiem i która pozostawiła go z uczuciem lekkiego niedosytu. Spróbował więc poszerzyć pracę Łuczaka – z dobrym skutkiem – m.in. rozmawiając o Barei z ludźmi, którzy mieli przyjemność z nim pracować. Wielu już odeszło, ale świadectwa innych udało się ocalić. Jeśli miałbym wskazywać minusy książki (są nieliczne), to byłyby to fakt, że zgrupowano te wypowiedzi w osobnym rozdziale, zamiast wpleść w materię opowieści.

Replewicz poszerza naszą wiedzę o działalności opozycyjnej Barei, który wykazał się odwagą dużo większą od niejednego artysty głośno krzyżącego o swych zasługach w walce z komunizmem. Czyta uważnie – i zdaje relację z lektury – niezrealizowane scenariusze reżysera, a było

ich wiele i zbierały się przez kilka dekad. Motywy z wielu wydadzą się znajome. Jak pisze Replewicz: „Bareja nie spisywał żadnego tekstu na straty. Nawet po kilku latach wykorzystywał je w innych projektach”. Wyjaśniając słowo „alternatywnie” w tytule swej książki, autor tłumaczył mi, że chciał pokazać i Bareję-nurka, i Bareję-rysownika (pojęcia „storyboard” jeszcze wtedy w Polsce nie znano, ale Bareja rozrysowywał z wielkim talentem swoje scenariusze).

Sprzyjało też Replewiczowi szczęście. Gdy wyruszył do łódzkiej filmówki w poszukiwaniu dokumentów, okazało się, że czeka tam na niego odkryta niedawno na taśmie beta studencka etiuda Barei uważana dotąd za zaginioną. Kilkunastominutowy film nosi tytuł „Drugie sumienie” i powstał na podstawie pierwszego aktu dramatu „Niemcy” Leona Kruczkowskiego. Nie tego spodziewalibyście się po późniejszym autorze

„Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz”, prawda? Tutaj serce wielu fanów talentu Barei musi zabić szybciej – skoro odnalazł się i ten drobiazg, to może gdzieś w szufladach archiwów czekają na odkrycie także „Gorejące czapki”, czyli film dyplomowy Barei (także uważany za zaginiony) inspirowany „Rewizorem” Gogola? Oby. ©©



★★★★★
MACIEJ
REPLEWICZ
„STANISŁAW
BAREJA
ALTERNATYWNIE”
ZYSK I S-KA

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Reagan, CIA i zimnowojenny konflikt w Polsce”, czyli kulisy amerykańskiego zaangażowania we wsparcie opozycji demokratycznej w Polsce i na emigracji. Sporo ciekawych szczegółów plus smaczki z otoczenia prezydenta USA.



SETH G. JONES
„TAJNA
OPERACJA”
POST FACTUM

Tom najciekawszych tekstów popularyzatora nauki z roku 2007 („Death by Black Hole”) w Polsce ukazuje się podzielony na dwie książki. Pierwszą były „Kosmiczne zachwyty”; druga to ukazujące się właśnie „Kosmiczne rozterki”.



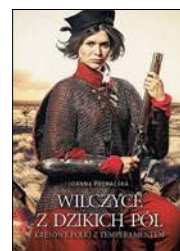
NEIL DEGRASSE
TYSON
„KOSMICZNE
ROZTERKI”
INSIGNIS

Od Kościuszki i Woronicza do Piłsudskiego. Galeria bohaterów zasłużonych w ponadstuletniej walce o odzyskanie przez Polskę niepodległości. Portrety nakreślił Piotr Legutko, Paweł F. Nowakowski i Sylwester Szefer.



AUTORZY RÓŻNI
„MARZyciele.
ONI WYŚNILI
NIEPODLEGŁĄ”
WYDAWNICTWO
WAM

Siedem portretów niewiast, które zapisały się w dziejach polskich Kresów. Kogo nazywano Laszką Diablicą? Która dama specjalizowała się w zbrojnych zajazdach? A która poszła do Stambułu, aby wyzwolić męża z jasyru? ©©



JOANNA
PUCHALSKA
„WILCZYCE
Z DZIKICH PÓL”
ZONA ZERO

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **J.R.R. Tolkien**, „Hobbit, czyli tam i z powrotem” (Iskry) – luksusowa edycja klasyki fantasy, pewniak wśród propozycji na świąteczny prezent.
2. **Olga Tokarczuk**, „Księgi Jakubowe” (Wydawnictwo Literackie) – dodruk ponoblowski, obszerna i kontrowersyjna powieść wraca na listy bestsellerów.
3. **Jan Parandowski**, „Mitologia. Wierzenia i podania Greków i Rzymian” (Puls) – wznowienie książki, na której wychowały się pokolenia. Wciąż fascynuje.
4. **Nela Mała Reporterka**, „Nela w krainie orek” (Burda Książki) – kolejny tom popularnej serii podróżniczo-edukacyjnej dla młodego czytelnika.
5. **Waldemar Cichoń**, „Cukierku, ty łobuzie” (Żwakowskie) – pierwsza część bestsellerowego cyklu. Książka wpisana w 2017 r. na listę szkolnych lektur.

(Najchętniej zamawiane tytuły w hurtowni książek Dictum)



Ćwierć wieku Deus Meus

FOT. ARCHIDIECJA ŁÓDŹ/YouTube

Kiedy grupa studentów ze Szczecina pod przewodnictwem dominikanina o. Andrzeja Bujnowskiego zawiązywała jeden z pierwszych w kraju zespołów grających muzykę chrześcijańską, nie przypuszczała zapewne, że owoce tej decyzji będą pojawiać się przez tyle lat. Czy mogli wtedy zakładać, że po 25 latach zespół nadal będzie wychodził na scenę, na jubileuszowym koncercie

pojawi się ponad tysiąc osób z całej Polski, a gospodarz diecezji, w której odbył się koncert, metropolita łódzki abp Grzegorz Ryś, by być tam razem z nimi, skróci swoją wizytę w Watykanie i zrezygnuje z audyencji u papieża? Tak właśnie było w ostatnią sobotę listopada, kiedy zespół Deus Meus świętował swój jubileusz. Zwłaszcza wczesne płyty grupy weszły do kanonu pol-

skiej muzyki chrześcijańskiej. Jej pierwszy album „Hej, Jezu!” ukazał się w 1995 r., jeszcze pod szyldem Inicjatywa Muzyczna Ludźmierz. To dlatego, że zespół, choć podkreślający swoje szcześcińskie korzenie, rodził się na drugim końcu Polski, w podhalańskim Ludźmierzu na Spotkaniach Muzyków Chrześcijan. W 1996 r. wydali album z pieśniami wielkopolskimi „Słońce nagle zgasło”.

Następne lata to kolejne albumy, w tym płyta koncertowa na 10-lecie istnienia zespołu czy – w sam raz na teraz, choć wydana przed 10 laty – płyta „Otwórz się niebo” z pieśniami adwentowymi. „Najpiękniejsze w muzyce Deus Meus jest to, że widać za nią twarz Pana Boga. [...] Widać jeszcze twarze bardzo wielu ludzi. Jak dzisiaj z wami śpiewałem, to sobie myślałem o tych wszystkich ludziach, z którymi się modliłem waszymi tekstami, waszą muzyką. To setki tysięcy ludzi. Stworzyliście jakąś zupełnie niezwykłą wspólnotę, której nawet nie znacie” – mówił podczas jubileuszu abp Ryś. Wspólnota ta nie tylko słucha zespołu i „modli się jego muzyką”. Podczas jubileuszu zebrano ponad 11 tys. zł na rzecz pierwszego na Litwie hospicjum dla dzieci. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ
BRZOSZOWICZ

NA SŁUCH

Bezpiecznie odlecieć gdzieś

25 lat temu, wyśpiewując „Jestem frajerem, kochanie”, dotarł do amerykańskiego top 10 i sprzedał ponad milion sztuk albumu „Mellow Gold”. Stał się gwiazdą rockowej alternatywy.

Beck jest jednym z najbardziej eklektycznych, a zarazem inspirujących twórców. Na 14 płytach mieszał w intrygujące całości wszystkie gatunki muzyczne. Kilkakrotnie otarł się o geniusz („Odelay”, „Sea Change”), ale też przynudzał. Tym razem wraz z producentem Pharrellem Williamsem stworzył płytę, która może niczym nie zaskakuje, ale słucha się jej z wielką przyjemno-

ścią. Jest to elegancka retropodróż łącząca zderzenie gitary akustycznej i ustnej harmonijki z brzmieniami analogowych syntezatorów i automatów perkusyjnych.

Jest to kontemplacyjna płyta („Saw Lightning” to jedyny szybszy utwór), idealna na spokojne wieczory. Są na niej klimaty z „Sea Change” czy „Morning Phase”, ale jako całość nie jest to tak depresyjny album. Beck posiada niebywałą zdolność do tworzenia dźwiękowych pejzaży, które w połączeniu z jego „miękkim” głosem zapraszają do świata marzeń sennych. Czy się jemu poddamy, to już zależy tylko od nastroju i naszej własnej wrażliwości. ©©



★★★★★
BECK
„HYPERSPACE”
CAPITOL



★★★★★
PRINCE
„1999”
WARNER

Przełomowy, piąty album Księcia z 1982 r. Piorunująca fuzja funku, rocka i elektroniki wyznaczająca brzmienie lat 80. Nowe wydanie (5 CD+DVD) zawiera 24 niepublikowane nagrania, dwa koncerty i płyty z remiksami.



★★★★★
MAŁGORZATA
OSTROWSKA
„NA ŚWIECIE NIE MA
PUSTYCH MIEJSC”
ROCK HOUSE

Po 12-letniej fonograficznej przerwie była wokalistka Lombardu śpiewa serce trzępiące ballady do nastrojowej muzyki Macieja Muraszki. Z rzadka podnosi rockowy głos, za to w tekstach słychać, że swoje przeżyła. ©©



CZAS PRZEDSIĘBIORCÓW

AKCJA „CZAS PRZEDSIĘBIORCÓW” - W STRONĘ PARTNERSKICH RELACJI ADMINISTRACJI I BIZNESU. DRUGA EDYCJA

Wiceminister Funduszy i Polityki Regionalnej Artur Soboń, Wiceminister Cyfryzacji Wanda Buk, Dyrektor Departamentu Poboru Podatków z Ministerstwa Finansów Dariusz Aniecko, Grzegorz Płatek, Dyrektor Departamentu Doskonalenia Regulacji Gospodarczych w Ministerstwie Rozwoju Rzecznik Małych i Średnich Przedsiębiorców Adam Abramowicz, a także eksperci i przedstawiciele środowisk biznesu wzięli udział w drugiej edycji debaty TV Republika zorganizowanej w ramach akcji „Czas Przedsiębiorców”. Debata „Konstytucja Biznesu – wyzwania dla rządu i przedsiębiorców”, przeprowadzona w formule okrągłego stołu, odbyła się 28 listopada i była transmitowana na antenie TV Republika.

Uczestnicy debaty zgodzili się, że chociaż reforma prawa gospodarczego przygotowana przez obecny rząd i wprowadzona w życie poprzez uchwalenie pakietu 5 ustaw, znanych jako Konstytucja dla Biznesu, była ważnym krokiem w kierunku uregulowania zasad prowadzenia biznesu i zagwarantowania praw przedsiębiorcom, to konieczna jest dalsza poprawa otoczenia prawno-instytucjonalnego.

Dyskutowano też o wyzwaniach, które stoją przed polską gospodarką w związku m.in. z postępem technologicznym i koniecznością sprostania globalnej konkurencji. Oceniając funkcjonowanie Konstytucji Biznesu Adam Abramowicz,

Rzecznik MŚP wskazał na problem, jakim jest podejście wielu urzędników niższego szczebla w kontaktach z przedsiębiorcami. Jego zdaniem konieczna jest zmiana ich mentalności, bo nawet najlepsze prawo nie będzie skuteczne, jeśli nie będzie właściwie stosowane.

Uczestnicy debaty zgodzili się też, że podobne akcje jak „Czas Przedsiębiorców” są dobrym sposobem wymiany opinii pomiędzy środowiskami biznesu, a przedstawicielami administracji rządowej. Celem prowadzonego przez Telewizję Republikę projektu jest przedstawienie problemów z jakimi borykają się przedsiębiorcy w swojej codziennej działalności i wypracowanie propozycji ich rozwiązania. Szczególnie ważny jest przy tym głos najmniejszych, małych i średnich przedsiębiorstw, które stanowią aż 99,8 proc. wszystkich firm w Polsce, wytwarzają prawie połowę PKB i zatrudniają prawie 70 proc. osób pracujących w sektorze przedsiębiorstw.

Debata „Konstytucja Biznesu – wyzwania dla rządu i przedsiębiorców”, była podsumowaniem akcji „Czas Przedsiębiorców”. Oprócz niej w studiu Telewizji Republika przeprowadzone zostały trzy debaty z udziałem ekspertów poświęcone najważniejszym dylematom i wyzwaniom stojącym przed polską gospodarką. Dyskusje dotyczyły cyberbezpieczeństwa, infrastruktury, ekspansji zagranicznej i współpracy małych z dużymi.

PARTNERZY STRATEGICZNI



NASK



PARTNERZY GŁÓWNI



PARTNERZY



MACIEJ PIECZYŃSKI: Rozpoczął pan już swoją kampanię prezydencką. Jest pan po pierwszych spotkaniach z wyborcami. Zapewne oczekują od pana „odsunięcia PiS od władzy”?

WŁADYSŁAW KOSINIAK-KAMYSZ: Ja nie chcę pokonać wyborców PiS, ja chcę ich przekonać. Mój najważniejszy cel to odbudowa wspólnoty.

Chce pan jednak odsunąć PiS od władzy, bo pańskim zdaniem ta partia łamie demokrację.

Szanuję wyniki wyborów, które wygrał PiS. Nie odmawiam również zwyciężcom prawa do reformowania wymiaru sprawiedliwości, tym bardziej że życzy sobie tego 80 proc. Polaków. Tyle tylko że ta reforma była powierzchowna i personalna. Jej

„Sprawy polskie załatwia się w polskim domu”. Nasi europosłowie nie głosowali nigdy za rezolucjami dotyczącymi ingerencji w wewnętrzne sprawy Polski.

Rzeczywiście, z przyświecającego antypisowi hasła „ulica i zagranica” wy preferowaliście raczej to pierwsze.

Nie widzę nic złego w wyrażaniu swoich opinii również na ulicy. To jest demokracja.

Skąd pomysł wyjścia ludowców spod strzech do miast?

Każda partia wymaga, szczególnie o tak długiej historii jak PSL, nowych otwarć, zmian. Wymaga też nowych

cia państwa istotna jest też wolność gospodarcza. PiS nie docenił w kampanii roli małych i średnich firm.

Paweł Kukiz zaszczylił was sympatią do wolnego rynku?

Ruch ludowy zawsze był wolnorynkowy. Byliśmy i jesteśmy partią gospodarzy, czyli wolnych ludzi.

A jednak wiele mówiło się o tym, że Koalicja Polska to egzotyczny twór. Już po wyborach pojawiły się pogłoski, że kukizowcy mogą odejść do bliskiej im ideowo Konfederacji. Kiedy KP się rozpadnie?

Nie planujemy rozpadu. Paweł Kukiz jest szefem rady Koalicji Polskiej, w tym



Z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem, prezesem PSL
rozmawia Maciej Pieczyński

Konstytucja wymaga już zmian

celem było przejęcie stanowisk w Sądzie Najwyższym i KRS, co zresztą wzbudziło wątpliwości instytucji unijnych.

A czy nie budzi pańskich wątpliwości umiędzynarodawianie tej sprawy przez opozycję?

Tu jest dysonans. Z jednej strony bowiem jeśli są dobre wyroki dla Polski, to nawet rząd chwali TSUE. A kiedy TSUE zdecyduje nie po myśli rządu, to PiS mówi o „donosach na Polskę”.

A może lepiej po prostu przyjąć generalną zasadę, że takich donosów się nie składa?

Dokładnie taką zasadę najwyraźniej przyjął właśnie TSUE, uznając, że to polski Sąd Najwyższy ma badać niezależność nowej Izby Dyscyplinarnej. Nam, jako PSL, przyświeca żelazna zasada:

propozycji. W 2015 r. dostaliśmy żółtą kartkę od wyborców, ledwo weszliśmy do Sejmu. Wyciągnęliśmy wnioski. Zmienia się struktura wsi. Coraz więcej jej mieszkańców pracuje w miastach...

A może po prostu PiS pokonał na wsi i dlatego, z konieczności, musieliście powalczyć o elektorat miejski?

Tak, PiS ma silną pozycję na wsi. Szczególnie wśród tych jej mieszkańców, dla których ważne jest wsparcie społeczne. Jednak PSL też zdobyło w tym roku więcej głosów na wsi niż cztery lata temu. Udało nam się zdobyć głosy ciężko pracujących przedsiębiorców, prowadzących gospodarstwa rolne. Przekonaliśmy zatem do siebie tę część elektoratu wiejskiego, dla której niezależnie od wspar-

tygodniu złożyliśmy pierwsze ustawy, które zapowiadaliśmy w kampanii wyborczej. Zrzeszamy różne środowiska. Oprócz PSL i kukizowców w skład koalicji wchodzi też Unia Europejskich Demokratów czy skupione wokół Marka Bieńkowskiego środowisko konserwatystów, byłych polityków PO, którzy odeszli z tej partii, nie godząc się na jej skręt w lewo.

Szukacie miejsca w „mitycznym centrum”?

Jesteśmy umiarkowanym centrum. Nawet to umiejscowienie naszych posłów w Sejmie, które nam słusznie Prezydium Sejmu przyznało – pośrodku, pomiędzy dwiema

FOT. JACEK SZYBOWSKI/FOTOFORUM

zwaśnionymi stronami, pokazuje naszą pozycję w polityce. Po latach wojny trzeba to wszystko posprzątać. Trzeba trochę spokoju.



Kukiz przyszedł do polityki jako człowiek nowy, z nowymi ludźmi. Pan był ministrem w rządzie Tuska. Nie żałuje pan?

Nie żałuję, bo udało się wiele dobrych rzeczy zrobić, np. roczne urlopy macierzyńskie, budowa żłobków i przedszkoli.

A OFE i wiek emerytalny?

Niech pan redaktor da szansę powiedzieć o dobrych rzeczach, a później odniosę się do tych trudnych. Wydaliśmy miliardy na waloryzację rent i emerytur. Spadło bezrobocie, powstało więcej miejsc pracy dla młodych ludzi. Ruszyliśmy z polityką prorodzinną, wydłużając urlopy rodzicielskie. Oczywiście dziś bardzo ważnym wsparciem dla rodziny jest program „500+”, za którym zagłosował cały klub PSL, jako jedyne ugrupowanie opozycyjne.

No to przejdźmy do trudnych spraw. OFE i wiek emerytalny.

Podwyższenie wieku emerytalnego zostało zanegowane przez wyborców w 2015 r.

Przyznaje się pan do błędu?

Działaliśmy w jak najlepszej wierze. Kierowaliśmy się analizami danych demograficznych. Dzisiaj na jednego emeryta pracują cztery osoby, w 2035 r. będą to już dwie osoby. Jakoś ten problem trzeba rozwiązać. Polacy odrzucili jednak zaproponowane przez ówczesny rząd PO-PSL rozwiązanie i dziś nie ma do tego powrotu. Natomiast jeśli chodzi o OFE, to widać, że obecny rząd idzie naszym śladem. My przejmowaliśmy jedynie obligacje skarbowe, które i tak Skarb Państwa musiałby kupić, żeby wypłacać emerytury. PiS idzie o krok dalej i otwarcie zasila budżet państwa kosztem przyszłych emerytur.

Czy jest pan człowiekiem Donalda Tuska?

Andrzej Duda jest człowiekiem Jarosława Kaczyńskiego. Małgo-

rzata Kidawa-Błońska jest człowiekiem Grzegorza Schetyny. Nikt nie wydaje mi poleceń, nikt mnie nie namaścił. I to jest właśnie moja przewaga nad pozostałymi kandydatami w wyborach prezydenckich.

Kiedy ostatnio rozmawiał pan z Tuskiem?

Podczas zjazdu Europejskiej Partii Ludowej. Pogratulowałem mu zwycięstwa w wyborach na przewodniczącego EPP. Po raz pierwszy Polak będzie szefował największej frakcji w Parlamencie Europejskim. Nasza rozmowa była jednak krótka. Proszę pamiętać, że Tusk jest honorowym przewodniczącym PO, nie PSL.

„Będę mógł zedrzeć maskę obiektywnego nudziarza” – stwierdził Tusk w jednym z wywiadów po odejściu z funkcji szefa Rady Europejskiej. Przecież on nawet nie próbował takiej maski zakładać. Jako szef RE angażował się w sprawy polskie, do czego nie miał kompetencji.

Myślę, że bardziej zaszkodziło wizerunkowi Polski głosowanie, w którym za swoim rodakiem jako jedyne państwo nie zagłosowała Polska. Nawet Węgry, wielki sojusznik polityczny PiS, poparły Tuska.

Przecież nie jest pan narodowcem. Pochodzenie kandydata nie może być jego jedyną zaletą.

Jednak jak Janusz Wojciechowski kandydował na stanowisko komisarza, to już PiS mówił, że opozycja powinna „poprzec rodaka”.

Jednak Janusz Wojciechowski był kandydatem polskiego rządu, Tusk – nie.

To nie zmienia jednak faktu, że Tusk jest naszym rodakiem. Naszym byłym premierem. I dostawał wielkie zaufanie społeczne. Można się nie zgadzać w wielu kwestiach. Też toczyłem spór z Donaldem Tuskiem i myślę, że będą go toczyły, bo różnimy się w poglądach. Nie mogę mu jednak odmówić patriotyzmu.

Polskiego czy europejskiego?

Patriotyzm zaczyna się od ojczyzny i ja tak postrzegam patriotyzm. Miarą współczesnego patriotyzmu, częścią współczesnego patriotyzmu jest też chęć przynależności do struktur UE z zachowaniem własnej tożsamości.

Media rozpisywały się na temat politycznej chemii pomiędzy panem a Tuskiem. Pan jednak próbuje walczyć o zaufanie centrowych wyborców, zaś

Były szef RE kojarzy się jednoznacznie z jedną z dwóch stron barykady. Ewentualne poparcie z jego strony byłoby dla pana pocałunkiem śmierci?

Tusk stawia na Kidawę-Błońską. Natomiast ja z każdego głosu oddanego na mnie i każdego głosu poparcia będę się cieszył.

Podaję jednak, że ulżyło panu, gdy swoje poparcie dla pana wycofał Lech Wałęsa.

Powiedziałem tylko, że oczekuję, by Lech Wałęsa przeprosił za swoje niedopuszczalne słowa na temat śp. Kornela Morawieckiego. Jeśli komuś się to nie podoba, to trudno.

A jak pan się czuje w towarzystwie koalicjantów w Senacie? Hitem Internetu stało się nagranie konferencji, podczas której Schetyna i Czarzasty wyśmiewali pańską wypowiedź. Wyjaśniliście to sobie?

Jeśli kogoś wprawiam w dobry humor, to ja się będę tylko z tego cieszył. Jeśli się ktoś uśmiecha, a nie płacze, to już jest dobrze. Sojusz opozycji w Senacie będzie skutecznym bezpiecznikiem przeciwko szaleńczej legislacji sejmowej, z którą mieliśmy do czynienia w poprzedniej kadencji. Dobrze przygotowane ustawy będziemy akceptować i przysyłać do podpisu prezydenta. Buble prawne będziemy starać się naprawiać.

Chyba że opozycyjny Senat będzie blokował wszystko, co uchwali PiS.

Jako PSL zrobimy wszystko, żeby Senat nie był izbą zadymy. Gdyby opozycja z zasady odrzucała wszystko, co PiS uchwali, w niczym nie byłibyśmy lepsi od samego PiS.

Który prezes Władysław Kosiniak-Kamysz jest prawdziwy? Ten, który modlił się do św. Rity, czy ten, który okłaskiwał Leszka Jażdżewskiego?

Nie okłaskiwałem Leszka Jażdżewskiego. To manipulacja. Okłaskiwałem wchodzącego na scenę Donalda Tuska, a nie schodzącego ze sceny Jażdżewskiego, który tylko zapowiadał wystąpienie Tuska.

To było symboliczne. Mógł pan wyjść z sali, słysząc takie słowa o Kościele.

Co ja złego zrobiłem? Czy coś złego powiedziałem przeciwko komuś? Już na drugi dzień zabrałem bardzo jasne stanowisko w tej sprawie. Odciałem się od słów Jażdżewskiego, które były nieprawdziwe i niepotrzebne. Dla mnie sprawa

wiary jest wielką łaską, wielkim darem, jestem z tego bardzo dumny. Martwi mnie poziom emocji w polskiej debacie publicznej. Zalał mnie hejt zarówno z powodu obecności podczas wystąpienia Jażdżewskiego, jak i z powodu publikacji na Twitterze wizerunku św. Rity. To pokazuje, jak bardzo jesteśmy dziś społeczeństwem rozgrzanym i podzielonym.

Pańskich senackich kolegów z PO i SLD nie martwią ataki na Kościół. Odpowiada panu towarzystwo skrajnej lewicy?

My jako PSL jesteśmy osobnym podmiotem.

Jednak współpracujecie. I to nie od dziś – teraz jest pakt senacki, wcześniej była Koalicja Europejska.

Brytyjscy konserwatyści współpracują z PiS i wprowadzili małżeństwa homoseksualne w Wielkiej Brytanii. Czy z tego ma wynikać, że PiS takie rozwiązania odpowiada? Marek Balicki, dzisiaj pełnomocnik rządu ds. psychiatrii, był ministrem w rządzie SLD. Na pewno jest człowiekiem lewicy, a dzisiaj jest w rządzie Mateusza Morawieckiego. Jarosław Gowin był członkiem PO i zdobywał setki tysięcy głosów dla tej formacji. Można się umówić na współpracę i przecież są głosowania, w których PiS i PO głosują razem.

Przejdźmy do sprawy Mariana Banasia. PiS sugeruje zmianę konstytucji tak, by możliwe było odwołanie prezesa NIK. Czy PSL poparłoby taki pomysł?

Uważam, że nie można zmieniać konstytucji na potrzeby odwołania ze stanowiska jednego człowieka.

To przecież byłaby zmiana systemowa. Mógłby zapobiec również w przyszłości podobnym problemom.

Jako PSL opowiadamy się za innymi zmianami w konstytucji. To my zaproponowaliśmy wpisanie do ustawy zasadniczej członkostwa Polski w UE. Ideę tę poparł prezydent Duda, próbował nawet przeprowadzić w tej sprawie referendum, ale jego macierzysta partia na to nie pozwoliła.

Czyli konstytucja już nie jest świętością? Czyżby można było ją zmieniać?

Przestrzeganie konstytucji jest świętością. Zmiany – już nie. Konstytucja napisana w 1997 r. nie jest idealna. Jest najlepsza, jaką można było na tamten

czas wprowadzić. Dzisiaj wymaga już zmian. Moim zdaniem trzeba pójść bardziej w kierunku demokracji bezpośredniej i wzmocnić rolę obywateli w podejmowaniu decyzji. Natomiast na pewno zostawiłbym bez zmian obecną preambułę. Bardzo odpowiada mi jej treść.

Media opozycyjne wskazują, że mógłby pan powalczyć o wyborcę prawicowego, zniechęconego do PiS. Może jest pan takim przebrany, wysłanym przez opozycję do elektoratu prawicy?

Koń trojański to czyjś wysłannik. Mnie nikt nie przysyła.

To szczerza zmiana poglądów? A może po prostu zobaczył pan słupki poparcia i zorientował się, że warto postawić na konserwatyzm?

Nie, na centrowość. Tu się wiele nie zmieniło. W swoich dokumentach programowych, działaniu, głosowaniach, odwołujemy się jako PSL do spraw związanych z etyką chrześcijańską. Dla mnie ważniejsze są czyny. W ubiegłej kadencji do Sejmu trafił projekt ustawy autorstwa Barbary Nowackiej liberalizujący prawo aborcyjne. Nikt z PiS ani żadnej innej formacji nie zgłosił wniosku o odrzucenie projektu w pierwszym czytaniu. Ten wniosek, który przeszedł, zgłosiłem sam. Dlatego mówię o czynach.

PSL pod pańskim przywództwem nigdy nie poprze liberalizacji prawa aborcyjnego?

W PSL jest wolność światopoglądowa. Każdy głosuje zgodnie z własnym sumieniem. Dlatego jest u nas Marek Biernacki – on zagłosował zgodnie z własnym sumieniem razem z Jackiem Tomczakiem i zostali za to wyrzuceni z Platformy.

Na co pan nigdy nie pozwoli?

Uważam, że zachowanie dzisiejszych zasad, jeszcze przy tej rozgrzanej atmosferze, emocjach międzyludzkich, zachowanie kompromisu jest najlepszym rozwiązaniem.

Czy myśli pan, że opozycja połączy siły przed wyborami prezydenckimi?

Każdy idzie swoją drogą. My proponowaliśmy szersze prawyborcy, to byłoby innowacyjne rozwiązanie. Nie było woli po drugiej stronie. Szkoda. Szanujemy taką decyzję. My idziemy swoją drogą, centrową. Budujemy Koalicję Polską, która, mam nadzieję, przejmie w Polsce władzę po kolejnych wyborach.



POD WĄS

Odzłośliwienie

IGOR ZALEWSKI

Jakiś czas temu dostałem SMS z informacją, że planowane jest spotkanie mojej klasy z liceum. I że oczywiście powinienem wpaść.

Szczerze mówiąc, skrzywiłem się. Niestety, jestem kompletnie niesentymentalnym człowiekiem. Nie tęsknię za przeszłością, nie uważam, że kiedyś było lepiej (a już zwłaszcza nie w ponurych jak listopad latach 80. ubiegłego wieku), nie lubię muzyki z czasów mej młodości. Lubię natomiast tu i teraz.

Skrzywiłem się też dlatego, że nie wyniosłem ze szkoły średniej wielu ważnych, emocjonalnych relacji. A tak naprawdę może jedną. Liceum nie było dla mnie Wietnamem, po którym przyjaźnie trwają do końca życia.

Cóż, pewnie było tak również dlatego, że w szkole średniej byłem strasznie złośliwy. Teraz złośliwi są geje, którzy wyśmiewają innych za kiepskie spodnie albo słabą stylizację. Ja wyśmiewałem za inne rzeczy. Uważałem się wtedy za strasznie mądralę, bo czytałem sporo książek, więc kąsałem tych, którzy czytali mniej albo inne książki. Niby książki powinny mnie nauczyć, że poczucie wyższości jest dość żałosne. Jednak nie nauczyły. Widać czytałem sporo, ale bez zrozumienia. Zabawne, że dotyczy to nie tylko mnie kiedyś w liceum, lecz także wielu mądrych ludzi ze świata kultury tu i teraz.

W liceum musiałem być okropnym gościem. Raz nawet na godzinie wychowawczej klasa się wyżyła, że ma

dosyć naszych (znaczy moich i kumpli) złośliwości, co mnie zaskoczyło. Sądziłem bowiem, że skoro jestem tak cholernie dowcipny, to wszyscy mnie uwielbiają. Nie uwielbiali.

Ta złośliwość trochę mi się potem w życiu przydała. Na obśmiewaniu, podkpiwaniu i chichotliwych facecjach zarobiłem trochę pieniędzy jako dziennikarz. Zdobyłem też renomę kpiarza, którą niezawodnie szybko utracę. Z wiekiem bowiem utraciłem złośliwość. Zniknęła we mnie potrzeba uprawiania satyry i rażenia ludzi maczugą lub też skalpelem humoru. Obśmiewanie innych utraciło dla mnie powab, a także sens. Kiedyś myślałem chyba, że złośliwymi komentarzami czy też felietonami robię coś ważnego. Że coś jakoś poprawiam, w końcu Wolter zachęcał kiedyś do ośmieszania. Dzisiaj poważnie w to wątpię. Nie sądzę, żebym wyśmiewając się z kogoś, robił coś dobrego. A nawet kielkuje we mnie podejrzenie, że to trochę złe. Poza tym tylu ludzi wokół się wyzłośliwia. Świat chyba nie zubożeje od tego, że mi się już nie chce. Zubożeje najwyżej ja, bo w profesji felietonisty brak ciągu na bramkę to nie jest zaleta.

Do tych wszystkich przemysłów skłoniło mnie spotkanie klasowe, na które w końcu się wybrałem. Moje koleżanki i koledzy spotkani po latach okazali się sympatycznymi i zacnymi ludźmi. Miło spędziłmy czas i umówiliśmy się na wódkę w karnawale. Mam nadzieję, że po kielichu złośliwość mi nie wróci. Dobrze mi bez niej. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Polinezja – finezja

Na parę tygodni oddaliłem się od Polski, nie znam przebiegu walk, manewrów, pyskówek wypełniających nasze życie polityczne. W mediach światowych trwa serial jednego aktora Donalda T. pt. „Impeachment”.

Listopad zajął mi rejs od wyspy do wyspy: Tahiti, Bora-Bora, Samoa, Fidżi, Vanuatu, aż do naprawdę baśniowej Nowej Kaledonii, tego rajy wyśnionego w dzieciństwie. Poznawanego z opowieści Thora Heyerdahla, obrazów Gauguina. I powieści o Antonim Berezowskim, który dokonał w Paryżu nieudanego zamachu na cara i został skazany na zesłanie. W odróżnieniu od Syberii pobyt w tropikach musiał mu służyć, bo przeżył tam 50 lat.

Polinezyjska egzotyka trzyma się dobrze. Nie rozdeptała jej jeszcze masowa turystyka, za daleko tu do wielkich centrów cywilizacji, tubylcy zachowali sporo autentycznego wdzięku, choć malownicze chatki zamienili dawno na beton i baraki z blachy falistej. Wspomnienie kanibalizmu powraca tylko w groźnych pokazach tańców i obrzędów ludowych dla turystów. Tubylcy pielęgnują za to dawne języki, nadal używają własnej waluty. Frank polinezyjski jest ostatnim wspomnieniem pieniędzy zniesionych w Europie przez euro. Daje się też zauważyć podskórna tęsknotę za czasami kolonialnymi.

Jeszcze 10 lat temu mieszkańcy Fidżi byli poddani królowej Elżbiecie i półgębkiem przyznają, że wiodło im się lepiej. A przyszłość? Oddalenie od świata gwarantuje, że koralowe rafy nie ulegną zniszczeniu, a każdego skrawka plaży nie zabudują wielkie hotele. Globalne ocieplenie też niewiele zaszkodzi górzystym wyspom pokrytym przez wiecznie zielone lasy, pełnym rzek, strumieni i wodospadów. Bez groźnych węży, pajaków, a pływanie w stadzie płaszczyk i rekinów przekonywa, że nie każdy przedstawiciel kostnoszkieletowych musi być od razu potworem ludojadem. Nawet konflikt militarny jest w tych stronach mało prawdopodobny.

Przynajmniej raz w życiu należy się tam wybrać i spróbować wszystkich smaków Polinezji osobiście. ©©



Michaël Bar-Zvi był nie tylko ważnym filozofem, lecz także bardzo ciekawym człowiekiem FOT. YOUTUBE/FREQUENCY TEL AVIV

Przekazać obowiązek przekazu



Marek Jurek

Żydzi i chrześcijanie stoją dziś zarówno w obliczu islamu, jak i wątplenia Zachodu w sens obrony własnej cywilizacji

Michaël Bar-Zvi (1950–2018) był nie tylko ważnym filozofem, lecz także bardzo ciekawym człowiekiem. Pochodzący z francusko-żydowskiej rodziny o polskich korzeniach (jego rodowe nazwisko to Michel Herszlikowicz), poświęcił swe życie sprawie syjonizmu, dużo pisał też o antysemityzmie i jego źródłach. Jego nauczycielami byli Emmanuel Levinas i Pierre Boutang, przez Boutanga był więc „intelektualnym wnukiem” Charles’a Maurrasa. Tym bardziej że to Boutang, a nie Levinas, był jego ukochanym mistrzem. Zapytany kiedyś, jak godził to intelektualne przywiązanie i osobistą, dozwoloną przyjaźń z antysemitycznym charakterem Action Française, odpowiedział, że po pierwsze Pierre Boutang to jeden z najważniejszych myślicieli naszych czasów (Francuzi tak mają: co ważne we Francji, to najważniejsze dla świata), a po drugie – jak opowiadał – prof. Boutang kiedyś – ze łzami w oczach wyznał mu, że antyse-

mityzm to największy błąd jego życia.

Sam Pierre Boutang to istotnie niezwykle ciekawa postać. Wierny do końca Maurrasowi, również w czasie więzienia, już po śmierci mistrza, po powstaniu V Republiki, przyłączył się do gen. de Gaulle’a, uznając, że gaullistowska „monarchia republikańska” stanowi – w istniejących warunkach – optymalną realizację zasad narodowego monarchizmu. Rzeczą bardzo dyskusyjną, ale inne czasy, inny gaullizm.

PARYŻ–JEROZOLIMA

Michaël Bar-Zvi żył więc na pograniczu dwóch światów: kultury francuskiej i żydowskiej, Francji i Izraela. Ukształtowany przede wszystkim w tradycji syjonizmu rewizjonistycznego (której kluczowy fragment opisał w swej „Historii Irgunu”), był człowiekiem izraelskiej prawicy i przyjacielem prawicy francuskiej. Krótko przed przedwczesną śmiercią wydał książkę „Pour une politique de la transmission, réflexions sur la question sioniste”, w której centrum jest zaskakująca teza, że właśnie syjonizm jest uniwersalną, nie tylko żydowską, odpowiedzią na XX-wieczną katastrofę człowieczeństwa, katastrofę, która – z przekonaniem twierdzi Bar-Zvi – w swych skutkach ciągle trwa.

Jak dla większości żydowskich myślicieli, tak i dla Bar-Zviego zasadniczym punktem odniesienia jest Holocaust. Nie izoluje go jednak, ale umieszcza we

właściwym historycznym kontekście. W przeciwieństwie do radykalnych marksistów nie widzi w nim docelowego punktu rozwoju cywilizacji europejskiej (jako cywilizacji ucisku, wyzysku i supremacji, która zamknęła postęp wewnątrz nieprzekraczalnej historii państw i narodów), ale przeciwnie – Zagładę pokazuje jako kulminację nowoczesności, buntu przeciw prawu moralnemu, kulturze i historii właśnie, aż po ideę przekroczenia cywilizacji (otwarcie przecież krytykowanej przez Engelsa czy Spenglera).

„W otchłani Auschwitz, podczas wojny, świat się rozpadł. Taki jest wiek XX” – pisze Bar-Zvi. I pyta: „Czy to tylko kwestia Izraela? Czy sensem jego tragedii nie jest to, że ma znaczenie dla całej ludzkości? Czyż wszyscy ludzie nie znaleźli się w sytuacji Państwa Izraela? Państwo Izrael to kategoria [społeczna]”. Odpowiedzią na siłę barbarzyństwa musi być zatem siła cywilizacji; reakcją na jej polityczne i duchowe zniszczenie – jej afirmacja i odnowa. Największy triumf nad Zagładą i zniewoleniem to wola trwania i przekazu życia, jego prawdy, jego zasad, przede wszystkim jego narodowej, wspólnotowej formy. Józef Czapski w eseju o nowej, „Spowiedzi dziecięcia wieku” pisał o duchowym pokrewieństwie polskiego podziemia i Irgunu. Istotnie, czytając autora „Historii Irgunu”, słyszy się echo tego samego wołania o „silne dobro”, które było przewodnim

motywem wojennej publicystyki poetów „Sztuki i Narodu”. Wojnę Bar-Zvi miał w genach, jego ojciec był ocalonym z obozu koncentracyjnego.

ŻYCIE, NIE TRWANIE

By zapewnić życie narodom, „obrona tożsamości” nie wystarczy, do tego postulat Bar-Zvi odnosi się z irytacją, traktując go jako najwyżej połowiczny. Jeśli narody mają przetrwać, wówczas potrzebna jest polityka „przekazu i kontynuacji”, nie woli trwania, ale życia. „Nie chodzi o to, by być spadkobiercą, strażnikiem albo świadkiem dziedzictwa, którego szczątki lub wspomnienia powinniśmy zachować. Dziedzictwo trzeba ożywić”. Najpierw jednak trzeba je przekazać, tymczasem „jeden z największych problemów współczesnej cywilizacji zawiera się w trudności przekazywania wartości, wiedzy i zasad myślenia kolejnym przychodzącym pokoleniom. [...] Najważniejszy wymiar przekazu to przekazać obowiązek przekazu. Przekaz i kontynuacja to przede wszystkim świadomość, że nie jestem pierwszy, ale drugi lub kolejny, a najważniejsze jest to, że nie powinienem być ostatni”.

Jednak sam przekaz nie istnieje bez swego podmiotu. Przekaz kultury nie jest możliwy bez przekazu życia. To zaś jest główny problem nowoczesności i zarażonej nią Europy (w przynajmniej częściowym przeciwieństwie do przełamującego kryzys demograficzny Izraela). Nie można bowiem „zbudować międzypokoleniowej więzi w czasie, jeśli prokreację uważa się za jedno z praw, a nie za dar”. Nie można też jej zbudować bez rodziny, która jest przecież wspólnotą przynależności i zobowiązań, a nie „przestrzenią, w której ludzie decydują się być razem, a tym bardziej klubem, do którego wstępuje się po opłaceniu wpisowego”.

Oczywiście w pierwszym rzędzie to wyzwanie moralne, ale również cywilizacyjne i publiczne, bo „ideologie odrzucające idee przynależności do narodu, ziemi i historii przenoszą je na ciało. Naczelną zasadą naszego życia stało się przekonanie, że »nie jestem jedynie jakimś użytkownikiem mojego ciała, ono naprawdę jest moje i mogę z nim robić, co chcę«. Zadowolenie, przyjemność, szczęście urosły do rangi niepodważalnych praw, w imię których należy przebudować społeczeństwo [...] Naród, korzystając z instytucji demokratycznych [...] może popaść w »ontologiczne

szaleństwo«, przyjmując ustawy coraz okrutniejsze, bo niezwiązane żadną regułą. [...] Uleganie przez człowieka pragnieniom może w ostatecznym rozrachunku uczynić go bezbronny wobec przemocy lub manipulacji, gdy straci już zdolność oporu”.

SUWERENNOŚĆ

Życie narodowe może istnieć bez państwa, ale państwo jest konieczne do rozwoju i pełni życia narodowego. Dla nas to oczywistość, inaczej niż dla Francuzów. Idee te stanowiły jednak sto kilkadziesiąt lat temu również nowość dla Żydów. Bar-Zvi bardzo mocno podkreśla, że syjonizm był reakcją nie tylko na antysemityzm, lecz także na nowoczesność i płynące z niej zagrożenia duchowe. Syjonizm to „metoda zachowania życia narodu, gdy nowoczesność grozi mu tym, że zniknie”, to założenie, „że duchowa, kulturalna i intelektualna odnowa judaizmu możliwa jest jedynie dzięki polityce, więc dzięki istnieniu suwerennego państwa, które witalności, kreatywności i różnorodności judaizmu zapewnia swobodny rozwój”. Czyż w tak sformułowanym twierdzeniu nie pobrzmiewa echo Maurrasowskiego „la politique d'abord”?

Tymczasem nowoczesność to również zwątpienie w politykę, bo czyż „polityka może jeszcze nieść ocalenie? Syjonizm niewątpliwie – odpowiada Bar-Zvi – jest jednym z niewielu doświadczeń ludzkości w XX wieku, które na to pytanie udziela afirmatywnej odpowiedzi. [...] I dotyczy to nie tylko narodu żydowskiego, ale cywilizacji, dla której był kolebką”. Autor „Pour une politique de la transmission” jest przekonany, że „odzyskanie suwerenności państwowej przez naród, w którym widziano jedynie jednostki, mogące co najwyżej praktykować kult religijny, jest najlepszym oparciem dla narodów, które nie chcą dać się całkowicie roztopić w europejskim tyglu”.

O Izraelu mówi się niekiedy, że to państwo typu XIX-wiecznego, żyjące sprawami narodu, suwerenności i granic, definiujące swą tożsamość polityczną w sporze między religią a laicyzmem. To różnić ma go od krajów zachodniej Europy, które dziesięciolecia temu tę problematykę niemal zupełnie zamknęły. Ten rzekomy anachronizm dla Bar-Zviego jest w istocie świadectwem żywotności, tak jak rzekomy zachodnioeuropejski rozwój – jedynie objawem choroby i dekadencji.

W tej sytuacji Michaël Bar-Zvi apeluje do chrześcijan o „przymierze o charakterze politycznym i duchowym, bez wyowywania zamieszania teologicznego”. To rzeczywiście inna propozycja od zaciemniającego problemy pseudodialogu. To jakby próba nowego początku, cofnięcia się do progu nowoczesności i próby budowania relacji chrześcijańsko-żydowskich inaczej, niż rozwiązała to nowoczesność. Żydzi i chrześcijanie stoją dziś w obliczu zarówno islamu, jak i zwątpienia Zachodu w sens obrony własnej cywilizacji. Tymczasem syjonizm jest znakiem, że własnego życia (wraz z jego duchową treścią) można bronić w wymiarze zewnętrznym i wewnętrznym. Izrael ma więcej muzułmańskich obywateli niż jakiekolwiek europejskie państwo, a przecież – mimo dramatów i trudności – zachowuje i swe bezpieczeństwo, i narodowy charakter.

Perspektywę historyczną Bar-Zviego (który więcej o tym pisze w swym rozdziale „Czarnej księgi rewolucji francuskiej”) można porównać do Jana Pawła II z „Nie lękajcie się”, wywiadu z André Frossardem. Na pytanie, czy powinniśmy odwrócić się od oświecenia, papież odpowiada, że raczej zmienić kierunek, bo świat w XVIII w. poszedł w złą stronę. Nie chodzi więc o powrót, ale o drogę naprzód w dobrą stronę. Nie konserwatywne spowolnienie tempa, ale korektę status quo. Marsz nie tyle z powrotem, ile dokąś indziej. Dla Michaëla Bar-Zviego ideałem nie jest bowiem przedrewolucyjne getto, nie w imię tego odrzuca oświecenie. Chodzi raczej o sytuację, w której emancypacji Żydów powinno towarzyszyć zachowanie ich tożsamości, wbrew jakobińskiej koncepcji, że Żydom należy dać wszystko jako jednostkom, ale niczego jako narodowi.

U nas, w Polsce, po odzyskaniu niepodległości działo się w tych sprawach wiele dobrego, aż do ostatnich lat. Izraelskie reakcje na polską ustawę o obronie pamięci przyniosły (jak wtedy pisałem) ogromny zawód bardzo wielu Polakom, którzy wierzyli w owoce wcześniej wykonanej pracy. Jednak wszystkie uprzedzenia, które potem już po obu stronach wybuchły, nie unieważniają pytań o to, jakie powinny być nasze relacje. Dla przyszłości zawsze warto pracować, ale przede wszystkim należy o niej myśleć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest politykiem, byłym marszałkiem Sejmu, byłym europosłem.



Rewolucja Thunberg

FOT. CARLOS COSTA/APP/EAST NEWS



Łukasz Warzecha

Jeśli ktoś jeszcze miał wątpliwość, że Greta Thunberg reprezentuje skrajnie lewacki ruch zmierzający zniszczyć obecny porządek, to musi sięgnąć po jej manifest

Tekst podpisany przez Thunberg i dwie inne aktywistki klimatyczne (z Niemiec i Chile) ukazał się tuż przed madryckim szczytem COP 27 i zarazem ostatnimi protestami Młodzieżowego Strajku Klimatycznego, które miały miejsce również w Polsce. To już tradycja – Thunberg zagrzewa w ten sposób do boju swoich zwolenników. Chociaż może raczej należałoby powiedzieć: robi to ktoś, kto przygotowuje teksty i wystąpienia, podpisywane

następnie i wygłaszane przez 16-latkę ze Szwecji.

Tekst, który opublikowano w Polsce na portalu Krytyki Politycznej (nic dziwnego, że akurat tam), powtarza dobrze znane schematy klimatycznej histerii, którymi Thunberg epatuje od dawna. Główną tezą jest, że politycy nic nie robią.

„Zapoczątkowaliśmy ruch, który przekroczył nasze oczekiwania. Miliony ludzi użyczyły tej sprawie swojego głosu i swoich ciał. Robimy to nie dlatego, że takie mieliśmy marzenie, ale dlatego, że nie widzieliśmy nikogo innego, kto robiłby cokolwiek dla zabezpieczenia naszej przyszłości. A pomimo deklarowanego wsparcia, które otrzymujemy od wielu dorosłych – w tym od najbardziej wpływowych polityków świata – realnych działań nadal nie widzimy.

Strajkowanie nie jest czymś, na co zdecydowaliśmy się z przyjemnością; robimy to, bo nie widzimy innych opcji. Patrzyliśmy, jak zwoływane były

kolejne konferencje klimatyczne ONZ. Niezliczone negocjacje przynosiły wiele szumnych, ale ostatecznie pustych zobowiązań ze strony rządów wielu krajów – tych samych rządów, które zezwalały przedsiębiorstwom wydobywczym pozyskiwać coraz większe ilości ropy i gazu i tym samym puszczać z dymem naszą przyszłość dla zysku.

Politycy i firmy pozyskujące paliwa kopalne wiedziały o zmianie klimatu już od dziesięcioleci. A jednak rządy nadal pozwalają spekulantom wykorzystywać zasoby naszej planety i niszczyć ekosystemy. Szybkie zyski okazują się ważniejsze od naszej egzystencji”.

KŁAMSTWA I ABSURDY

Trudno o jaskrawszy przykład klimatystycznej demagogii. Teza, że nikt nic nie robi i nie ma żadnych „realnych działań”, jest zwyczajnym kłamstwem. Za realne działania, głównie w Unii Europejskiej, płacimy już wszyscy, choćby w cenie prądu – ale nie tylko.

Absurdalnie wyśrubowane na tle reszty świata cele klimatyczne, które stawia przed sobą UE, kosztują obywateli Unii miliardy euro. Jeszcze w 2013 r. dzisiejszy minister gospodarki i energii Niemiec Peter Altmeier (CDU) wywołał poruszenie, szacując koszt przeprowadzenia u naszych zachodnich sąsiadów Energiewende (transformacji energetycznej) na bilion euro, jeśli nie zostaną wprowadzone regulacje, mające w jakiś sposób obniżyć ten koszt. A przecież mówimy tylko o jednym kraju.

Nie chodzi więc o to, że nie robi się nic, ale o to, że nie idzie się w stronę maksymalistycznych, rewolucyjnych rozwiązań, których domagają się klimatystyczni radykałowie. Wrogiem – jak widać w manifestie – są firmy wydobywające ropę i gaz, nazywane bezpodstawnie „spekulantami”.

Thunberg i jej koleżanki utożsamiają wydobywanie i korzystanie z paliw kopalnych z niszczeniem Ziemi. Domagają się – jak można wnioskować – natychmiastowego lub bardzo szybkiego zerwania z tą gałęzią przemysłu. To pokazuje, że nie można ich traktować poważnie. Nie istnieje dzisiaj możliwość zastąpienia paliw kopalnych innym sposobem podtrzymania cywilizacji w ruchu. Klimatyści całkowicie ignorują czynniki, takie jak kształt infrastruktury, różnicowanie zamożności w różnych krajach świata, dostęp do odnawialnych źródeł energii, czas potrzebny na przedstawienie gospodarek, zmianę przyzwyczajęń. Przypominają pod tym względem zawziętych stalinowców, którzy na polecenie Józefa Wissarionowicza gotowi byli odwracać bieg największych rzek bez względu na skutki dla przyrody i ludzi.

„Badania pokazują, że wszędzie na świecie zanieczyszczenia pochodzące ze spalania paliw kopalnych są największym zagrożeniem dla zdrowia dzieci. Tylko w tym miesiącu w szkołach w New Delhi, stolicy Indii, rozdano pięć milionów masek z powodu toksycznego smogu. Paliwa kopalne dosłownie nas duszą”.

Wzruszające. Jest tylko jeden problem: ani Thunberg, ani pozostałe sygnatariuszki nie mają pojęcia o życiu w Indiach. Nie są w stanie wyobrazić sobie skutków zakazu używania paliw kopalnych lub nawet ich ograniczenia w tym kraju. To grupka rozpieszczonych bachorów, wychowanych w zachodnim

luksusie, zbudowanym zresztą dzięki temu wszystkiemu, z czym teraz walczą.

„Nasze wysiłki przyczyniły się do przesunięcia punktu ciężkości dyskusji na temat zmian klimatu. Coraz częściej mówi się o kryzysie, przed którym stoimy. Mówi się nie szeptem, nie na marginesie, ale publicznie i ze świadomością jego pilności. Badania społeczne potwierdzają zmianę postrzegania tego tematu. Jeden z ostatnich sondaży wykazał, że w siedmiu krajach na osiem przebadanych katastrofa klimatyczna jest uważana za najważniejsze wyzwanie dla świata. Inne badanie potwierdziło, że za tym wzrostem świadomości stały właśnie dzieci w wieku szkolnym”.

DZIECI NA FRONCIE

Aktywiści klimatystyczni słusznie – niestety – chwalą się swoim sukcesem. Wielka socjotechniczna operacja, której celem jest rozkręcenie wokół tematu maksymalnych emocji, rozpętanie irracjonalnej paniki i tym samym wykluczenie z debaty wszelkich wątpliwości, głosów sceptycznych, apeli o kalkulowanie zysków i strat – to się udało. Trudno się dziwić, że rozsądnikiem tej emocji są dzieci – nimi manipulować najłatwiej, a zarazem to one są najbardziej podatne na tematy, udające idealistyczną walkę o świetlaną przyszłość. W gruncie rzeczy mamy więc do czynienia z zaprzęgnięciem młodych ludzi do wielkiej propagandowej maszyny, która pracuje już na tak wysokich obrotach, że jest w stanie wpływać na politykę części przywódców państw. Ten mechanizm – miejmy nadzieję – ktoś kiedyś dokładnie przeanalizuje, bo przypomina on spektakularne operacje na opinii publicznej, z jakimi miewaliśmy już do czynienia. Tak funkcjonował choćby pozornie spontaniczny ruch sprzeciwu wobec rozmieszczania w Europie amerykańskich rakiet z głowicami jądrowymi w latach 80. Były wielkie demonstracje, podniosło słowa o pokoju, transparenty żądające, żeby Amerykanie wracali do siebie. Przy czym wówczas sterowanie opinią publiczną i inspirowanie jej – wiemy dzisiaj, a i wówczas było wiadomo, w czym interesie – było znacznie trudniejsze niż teraz, w epoce mediów społecznościowych, która sprzyja nie tylko łatwemu rozprzestrzenianiu się wiadomości, lecz także promuje prosty, emocjonalny przekaz kosztem racjonalnej debaty.

I wreszcie najsmakowitszy fragment manifestu:

„Kryzys klimatyczny dotyczy przecież nie tylko środowiska naturalnego. Jest to także kryzys praw człowieka, sprawiedliwości i woli politycznej. Stworzył go, a następnie podsycali, kolonialne, rasistowskie i patriarchalne systemy ucisku. Musimy je wszystkie zdemontować. Przywódcy polityczni nie mogą już dłużej uchylać się od odpowiedzialności”.

Tutaj jest pies pogrzebany. Gdy w Internecie krążyły zdjęcia Thunberg w koszulce Antify – skrajnie lewackiego quasi-terrorystycznego środowiska – można było początkowo pomyśleć, że to przypadek albo fałszywka. Ten akapit powinien rozwiać wątpliwości (zdjęcia były zresztą autentyczne). „Kolonialne, rasistowskie i patriarchalne systemy ucisku” – to język wzięty wprost z pism radykalnej lewicy, i to jeszcze tej z końca lat 60. Nie wiadomo dokładnie, co Thunberg i jej koleżanki mają na myśli i co chcą demontować. Co jest we współczesnym świecie „rasistowskim systemem nacisku”, wymagającym pilnego demonstażu w związku z rzekomą katastrofą klimatyczną? Tego – i wielu innych pytań – nikt jednak nie postawi, bo przecież nie można się czepiać pełnej ideałów nastolatki. Problem w tym, że ta nastolatka coraz bardziej sprawia wrażenie podstawionego „słupa”, za którym stoją ludzie dążący do zburzenia całego porządku, na którym opiera się nie tylko zachodnia cywilizacja. Nie miejmy wątpliwości – ktoś na tym zarobi.

Przeczytałem niedawno, że jeśli stawiam opór skrajnym postulatam MSK, Thunberg i innym podobnym, to należę do grupy „starych”, którzy nie chcą się pogodzić z nadejściem nowego ekologicznego ładu i że tym zjawiskiem zajmują się już psychologowie. Bądźmy przygotowani na taką narrację: klimatyści nie są zainteresowani żadną dyskusją, a każdego, kto nie akceptuje ich podejścia, będą a priori dyskredytować, tłumacząc jego opór problemami emocjonalnymi, wiekiem, patriarchalnym podejściem do nastoletniej aktywistki. W sprawie klimatu nie mamy bowiem do czynienia z próbą zajęcia się realnym problemem. To coś znacznie większego: to podbudowana skrajnie lewicową ideologią wojna na podstawami naszego dobrobytu, stabilności, z wolnym rynkiem. Trzeba być przerażająco ślepym, żeby tego nie dostrzegać.



Sprawiedliwość po 40 latach



Piotr Litka

Po latach od wprowadzenia stanu wojennego zapadają wreszcie wyroki skazujące ludzi ówczesnej władzy i służb odpowiedzialnych za bezprawne pozbawienie wolności opozycjonistów

Bez blasku fleszy i tłumów dziennikarzy, po długiej batalii sądowej, 12 lutego 2019 r. zapadł wyrok skazujący byłego emerytowanego dziś komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej ze Szczecina. Za decyzje o internowaniu kilkudziesięciu opozycjonistów Jarosław W. otrzymał karę roku i 10 miesięcy pozbawienia wolności w zawieszeniu. Wyrok w jego sprawie wraz z obszernym uzasadnieniem okazał się przełomem w osądzaniu przestępstw związanych z wprowadzeniem stanu wojennego w Polsce.

Akt oskarżenia w sprawie Jarosława W. trafił do Sądu Rejonowego Szczecin-Centrum 5 listopada 2009 r. Z pewnością na taki, a nie inny czas rozstrzygnięcia tej sprawy (blisko dekada!) miały wpływ nie tyle „wolno mielące młyny sprawiedliwości”, ile – jak tłumaczy „Do Rzeczy” prok. Andrzej Pozorski – „złożony charakter prawny” czynów, które miał ocenić sąd.

W 2009 r. Pozorski (obecnie szef pionu śledczego IPN i zastępca prokuratora generalnego) był autorem aktu oskarżenia przeciwko szczecińskiemu komendantowi MO. Nie ukrywa satysfakcji z zakończenia tej sprawy. Wymagała ona bowiem



ZOMO rozpędzające ludzi w Szczecinie po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 r. FOT. JERZY UDRÓ/PAF

przeanalizowania przez sądy kolejnych instancji „szeregu unormowań z aktów prawa międzynarodowego”. Byłemu komendantowi wojewódzkiemu MO ze Szczecina zarzucano przecież popełnienie zbrodni przeciwko ludzkości, która w polskim prawie się nie przedawnia.

Według orzecznictwa Sądu Najwyższego (m.in. postanowienie z 30 stycznia 2013 r.) zbrodniami przeciwko ludzkości mogą być m.in. prześladowania jakiegś grupy osób z powodów politycznych, rasowych czy religijnych. SN powołuje się przy tym m.in. na podpisaną przez Polskę konwencję z grudnia 1948 r. w sprawie za-

pobiegania i karania zbrodni ludobójstwa. Według tego dokumentu zbrodnie przeciwko ludzkości mogą być „dokonywane przez funkcjonariuszy publicznych albo przez nich inspirowane albo tolerowane”, zarówno w czasie wojny, jak i podczas pokoju.

Jak pisano w przywołanym już postanowieniu SN: zbrodnie przeciwko ludzkości nie muszą być zachowaniami, „które są nastawione na unicestwienie jakiegś grupy narodowościowej, politycznej, społecznej czy religijnej”. Mogą to być „także działania o nie tak drastycznym wydźwięku”, które mają „charakter prześladowań z powodów politycznych poszczególnych jednostek,

z racji ich poglądów” lub też „przynależności do określonej organizacji”, ale „prześladowania te dotyczą ją w związku z podejmowaniem przez funkcjonariuszy niedemokratycznego państwa określonych akcji [...]”.

Prokurator IPN za takie właśnie uznał działania związane z internowaniem działaczy opozycji w związku z wprowadzeniem stanu wojennego.

CO ZROBIŁ KOMENDANT MO?

Jarosław W. – najkrócej rzecz ujmując – podpisał jedynie wiele dokumentów. Były nimi decyzje o internowaniu, czyli krótkie urzędowe pisma z danymi osób, które zamierzano izolować w specjalnych ośrodkach odosobnienia przez dłuższy lub krótszy czas.

W kolejnych punktach wyroku z lutego 2019 r. powtarza się jedna fraza: „daty bliżej nieustalonej w Szczecinie jako funkcjonariusz państwa komunistycznego, tj. Komendant Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej, działając na szkodę interesu prywatnego i publicznego, przekraczając swoje uprawnienia wydał i podpisał decyzję numer (tu padały konkrety z zachowanego dokumentu) z dnia (data) o internowaniu” (a tu z kolei pojawiały się dane 67 zatrzymanych wówczas bezprawnie kobiet i mężczyzn). Wśród nich m.in. Artura Balaśza i Mariana Jurczyka.

Po wielokrotnych apelacjach i wyrokach sądów różnych instancji ważną decyzję w tej sprawie podjął Sąd Najwyższy. Stało się to 8 lutego 2018 r. Po rozpoznaniu kasacji Andrzeja Pozorskiego – wówczas już dyrektora Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – SN uchylił wyrok Sądu Okręgowego w Szczecinie w całości i przekazał sprawę temu sądowi do ponownego rozpoznania w tzw. postępowaniu odwoławczym.

Rok później nastąpił finał toczącego się od wielu lat procesu. Jak pisano w uzasadnieniu: „Sąd Najwyższy nakazał, by sąd niższej instancji przy wydawaniu wyroku raz jeszcze przeanalizował [następująco] przepisy: Kartę Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze, ustawę nr 10 Sojuszniczej Rady Kontroli dla Niemiec w sprawie karania osób winnych zbrodni wojennych, zbrodni przeciwko pokojowi i zbrodni przeciw ludzkości z dnia 20 grudnia 1945 r., sformułowane w 1946 r. na forum ONZ zasady norymberskie, Konwencję o niestosowaniu przedawnienia wobec zbrodni wojennych i zbrodni przeciw

ludzkości z dnia 26 listopada 1968 r., Statut Międzynarodowego Trybunału do Sądzenia Osób Odpowiedzialnych za Poważne Naruszenia Międzynarodowego Prawa Humanitarnego Popełnione na Terytorium Byłej Jugosławii od 1991 r., Statut Międzynarodowego Trybunału Karnego dla Rwandy, Statut Międzynarodowego Trybunału Karnego, a także inne międzynarodowe przepisy oraz regulacje prawne.

INTERNOWANIE ZBRODNIĄ

Najważniejsze tezy dotyczące definicji zbrodni przeciwko ludzkości padają na ostatnich stronach uzasadnienia wyroku szczecińskiego sądu. Uznano, że zbrodnie te można podzielić na dwie kategorie: ogólne (w których istotny jest „polityczny i systemowy kontekst ich popełnienia”) oraz szczególne. W tym drugim przypadku chodzi m.in. o „prawo do życia, wolności i bezpieczeństwa osobistego, prawo do niebycia poddanym niewolnictwu lub pracy przymusowej, prawo do niebycia poddanym torturom lub okrutnemu, nie-ludzkiemu lub poniżającemu traktowaniu lub karaniu i prawo do niebycia poddanym arbitralnemu aresztowaniu, zatrzymaniu lub wydaleniu, które stanowią wspólny rdzeń międzynarodowego prawa karnego i prawa międzynarodowego praw człowieka”.

Ofiarą zbrodni przeciwko ludzkości „zawsze jest konkretna osoba”. Sprawcą zaś „nie tylko ten, kto bezpośrednio wykonuje czynności sprawcze”, lecz także ten, kto wydał rozkaz egzekucji, bezprawnego aresztowania czy też prześladowania danego człowieka lub też grupy ludzi. Ważne przy tym jest to, że pomimo tego, iż ktoś działał „na rozkaz” (tak jak szczeciński komendant), nie zwalnia go to z odpowiedzialności karnej. Może jednak prowadzić do złagodzenia kary. I tak też się stało: prawomocny wyrok w tej sprawie wymierza karę w zawieszeniu.

W uzasadnieniu wyroku podkreślono, że do internowania szczecińskich opozycjonistów doszło w „określonym kontekście politycznym i systemowym”. Działania te zaś „godziły w podstawowe wolności obywatelskie (prawo do wolności i bezpieczeństwa osobistego), skierowane wprawdzie wobec jednostek, ale reprezentujących co do zasady określoną grupę polityczną (opozycję antykomunistyczną)”. Ponadto osoby te „nie popełniły żadnego czynu zabronionego, a kryterium ich wyboru stanowiły jedynie określone poglądy

i zaangażowanie przeciwko ówczesnej władzy”.

Szcheciński sąd w uzasadnieniu wyroku zaznaczył też, że skazanie byłego komendanta wojewódzkiego MO za bezprawne pozbawienie wolności kilkudziesięciu opozycjonistów należy traktować w kategoriach „swoistego moralnego zadośćuczynienia za doznane krzywdy. Cel ten może zostać osiągnięty poprzez: przypisanie oskarżonemu sprawstwa i winy oraz orzeczenie kary, którego warunkowe zawieszenie wykonania – [jej] nie przekreśla”.

Prokurator Andrzej Pozorski nie ukrywa, że skazanie za bezprawne internowanie szczecińskich opozycjonistów ma „duże znaczenie dla prowadzenia postępowań tej kategorii spraw”. A jest ich w oddziałowych komisjach IPN na terenie kraju sporo. – Przyjęcie bowiem w uchwale Sądu Najwyższego, że nawet krótkotrwałe pozbawienie wolności, przy spełnieniu szczególnych warunków, może być uznane za zbrodnię przeciwko ludzkości, ma istotne znaczenie dla prowadzenia śledztw, których przedmiotem jest pozbawienie wolności w okresie obowiązywania stanu wojennego w Polsce – mówi Pozorski.

Prawomocny wyrok szczecińskiego sądu ma bowiem już wpływ na bieg postępowań oraz decyzje procesowe także w innych śledztwach prowadzonych przez pion śledczy IPN. – Dzięki temu wyrokowi szczecińskiego sądu zagadnienia związane z pojęciem zbrodni przeciwko ludzkości stały się ponownie aktualne w polskim systemie prawnym – podsumowuje Pozorski.

GENERAŁOWIE TEŻ SKAZANI

Opinia publiczna mogła się o tym przekonać całkiem niedawno. 19 listopada 2019 r. warszawski sąd okręgowy wydał wyrok skazujący dwóch emerytowanych generałów SB: blisko 95-letniego Władysława C. oraz 85-letniego Józefa S. Prokurator IPN oskarżył ich o „wspólne i w porozumieniu” działanie w grupie, która była czynnie zaangażowana w proces powoływania na specjalne ćwiczenia wojskowe kilkuset opozycjonistów. W uzasadnieniu wyroku stwierdzono, że generałowie „dopuszcili się popełnienia zbrodni przeciwko ludzkości, która była jednocześnie zbrodnią komunistyczną”.

Proces, zakończony po blisko 11 latach, dotyczył ponad 300 poszkodowanych,

których od 5 listopada 1982 r. do 3 lutego 1983 r. „skoszarowano” w specjalnie utworzonym „obozie” w Chełmnie nad Wisłą. Oficjalnie zostali oni powołani do odbycia „trzymiesięcznego szkolenia wojskowego w ramach służby czynnej”. Według oskarżyciela publicznego – prok. Mieczysława Góry z pionu śledczego IPN – warunki w Chełmnie były zdecydowanie gorsze niż w ośrodkach internowania. Rezerwiści spali w namiotach, chodzili w starych mundurach.

Dlaczego do tego doszło? Ówczesne władze chciały zapobiec działalności podziemnych struktur (wtedy, po 13 grudnia 1981 r.) zdelegalizowanej Solidarności. Powołując na fikcyjne ćwiczenia w większości młodych ludzi – według sędziego, który wydał wyrok – generałowie „dopuszcili się stosowania represji ze względu na poglądy polityczne. Z pełną świadomością i premedytacją wykorzystali oni instytucję zasadniczej służby wojskowej i powołania rezerwistów do zwalczania przeciwników politycznych”.

CO Z PRZEŚLADOWANIEM KS. POPIEŁUSZKI?

W końcu października tego roku warszawski sąd okręgowy wydał postanowienie w innej sprawie, która nie dotyczyła już przestępstwa popełnionego w stanie wojennym. Chodziło o słynną i znaną historię oraz opinii publicznej „prowokację na Chłodnej”, do której doszło 12 grudnia 1983 r.

Do warszawskiego mieszkania ks. Jerzego Popiełuszki funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa podczas tzw. tajnego wejścia podrzucili tysiące nielegalnych wówczas ulotek, broń oraz materiały wybuchowe. W wyniku „przeszukania” księdzu postawiono nowe zarzuty i osadzono na jedną noc w areszcie w pałacu Mostowskich. Ksiądz Popiełuszko – w ramach prowadzonego przeciwko niemu „śledztwa” – do swojej męczeńskiej śmierci był inwigilowany, szykanowany i poniżany w oczach opinii publicznej przez reżim Kiszczaka i Jaruzelskiego.

30 października 2019 r. warszawski sąd w wydanym postanowieniu uznał, że „prowokacja na Chłodnej” w świetle przepisów polskiego prawa nie była zbrodnią przeciwko ludzkości, a jako zbrodnia komunistyczna przedawniła się 1 stycznia 1995 r. Pion śledczy IPN zaskarżył tę decyzję. Wszystko jest teraz w rękach sądu apelacyjnego.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Błędy Hitlera

Według obiegowej opinii Hitler przegrał wojnę ze Stalinem w 1943 r.

W lutym pod Stalingradem kapitulowała armia Paulusa. A w sierpniu Wehrmacht nie był w stanie rozstrzygnąć na swoją korzyść bitwy na Łuku Kurskim. Dopiero wówczas szala zwycięstwa miała przechylić się na korzyść bolszewików.

Bardziej przenikliwi badacze wskazują, że wojna na wschodzie została przegrana o wiele wcześniej. Już jesienią i zimą 1941 r. w trakcie bitwy o Moskwę. Jeżeli Hitler mógł powalić Związek Sowiecki, to tylko z marszu. Tylko za pomocą blitzkriegu.

W pierwszych tygodniach po ataku Niemiec czerwone imperium zła trzęsło się w posadach. Gdy Niemcy dotarli na przedpola sowieckiej stolicy, na jej ulicach doszło do wybuchu spontanicznej rebelii. Rosjanie spodziewając się rychłego wyzwolenia spod bolszewickiego jarzma, rzucili się na komitety partyjne, na ulicach dochodziło do samosądów na komunistach.

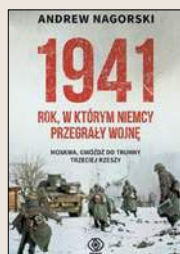
Gdyby wtedy Moskwa padła – padłby bolszewizm. Historia jednak potoczyła się inaczej. Sowietci zdołali obronić stolicę. A Hitler zamiast wyzwolić wschodnich Europejczyków – brutalnie ich mordował. W efekcie wojna

z błyskawicznej zamieniła się w przewlekłą. Opór sowiecki – dzięki terrorowi NKWD i dostawom zachodniego sprzętu – zaczął tężeć. Los Berlina przesądził się pod Moskwą.

W ciekawy sposób pokazuje to w nowej książce „1941. Rok, w którym Niemcy przegrały wojnę” brytyjski badacz Andrew Nagorski. Autor wskazuje na dwie katastrofalne w skutkach decyzje Hitlera – atak na Związek Sowiecki i wypowiedzenie wojny USA.

To właśnie w roku 1941 wyznaczony miał zostać bieg wydarzeń prowadzący do zniszczenia Trzeciej Rzeszy – pisze Nagorski. – Przed końcem 1941 r. Hitler popełnił niemal wszystkie możliwe błędy. Co też opanowało Hitlera, że wybrał politykę terroru i zniewolenia, gdy jego armie odnosiły początkowo sukcesy w zachodniej części ZSRS, gdzie wielu sowieckich jeńców i miejscowa ludność z radością powitaliby każdego, kto obiecałby im wyzwolenie od tyranii Stalina?”

Tak, bez wątpienia Hitler popełnił wtedy wojskowe i polityczne samobójstwo. Gdyby jednak udało mu się zdobyć Moskwę, mógłby zabrać ze sobą do piekła Stalina. Szkoda, że tak się nie stało. Gdyby w trakcie II wojny upadły zarówno III Rzesza, jak i ZSRS, świat byłby lepszym miejscem. A Polska byłaby wolna. ©



★★★★★

ANDREW
NAGORSKI
„1941. ROK,
W KTÓRYM
NIEMCY
PRZEGRAŁY
WOJNĘ”
REBIS



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Tramwajem w aleje

Wprawdzie po powstaniu styczniowym na kraj spadła fala represji, ale nie zatrzymało to rozwoju Warszawy. Klęska nie spowodowała spadku liczby mieszkańców i w ciągu 30 lat od chwili zdławienia powstania uległa podwojeniu. Symbolem rozwoju stało się uruchomienie tramwaju konnego, pierwszy skład wyjechał na miasto 11 grudnia 1866 r. Powitano to z dużym uznaniem i gdy po 40 latach przystąpiono do elektryfikacji sieci, spotkało się to z oporami zwolenników dotychczasowej formy transportu. Znaleźli się też tacy, którzy radzili ironicznie, by jednak sieć zelektryfikować, ale z przodu, dla tradycji, pozostawić konika.

Gorzej było z innymi inwestycjami miejskimi. Aż do pierwszej dekady następnego stulecia nie rozpoczęto budowy trzeciego mostu przez Wisłę, chociaż zabiegano o to jeszcze przed wybuchem powstania. Fatalnie prezentowały się też warunki sanitarne miasta. Powstały w latach 50. XIX w. wodociąg Marconiego nie zaspokajał nawet 10 proc. potrzeb, gdyż doprowadzał wodę tylko do gmachów rządowych, Teatru Wielkiego, dwóch szpitali i kilkunastu źródeł publicznych. Jeszcze gorzej było z kanalizacją, w którejś przypadków nieczystości płynęły do Wisły otwartymi kanałami, które „ziały paskudną wonią i służyły mieszkańcom, nie lubiącym porządków, do

pozbywania się przez nie najgrubszych nieczystości”. Tragicznie prezentowały się budynki niemające podłączenia do kanałów ściekowych, nieczystości gromadzone tam w specjalnych dołach-zbiornikach, tzw. kloakach, które co jakiś czas opróżniano. Stanowiły one obraz „niezrównanej obrzydliwości”, tym bardziej że czasami jedna kloaka przypadła na 700 lokatorów!!! Nie potrafiono także uporać się z problemem śmietników i wywózki śmieci.

Rozpoczęto natomiast eksperymenty z oświetleniem miasta. W latach 40. na ulicach miasta było już ok. 800 lamp ulicznych zasilanych olejem. Przygotowywano się do przejścia na instalację gazową, ale projektom tym sprzeciwiał się wszechwładny namiestnik, feldmarszałek Iwan Paskiewicz. Dopiero po jego śmierci wybudowano sieć latarni ulicznych, czerpiących gaz z zakładu przy ul. Ludnej. W 1864 r. podjęto pierwsze doświadczenia z oświetleniem elektrycznym na moście Kierbedzia, a 13 lat później użyto elektryczności dla oświetlenia rampy w teatryku ogródkowym Belle-Vue. Pomimo jednak wszystkich braków Warszawa „w oczach licznych przybyszów z zagranicy, a także wielu warszawian, była miastem pięknym o bogatych pałacach, ruchliwych ulicach, zasobnych sklepach i wielkomiejskim stylu życia”. ©



Republika (prawie) z niczego



Piotr Semka z Kowna

Nasi dziadowie patrzyli na osobne państwo litewskie jak na dziwadło. Jednak niewielka republika całkiem nieźle dawała sobie radę. A tuż przed wojną uładziła się nawet z Polską

Litwa rozciągnęła obchody stulecia swojej niepodległości na okres lat 2017–2020. Uroczystym obchodom towarzyszył plebiscyt w mediach. Litwini głosowali w nim na najbardziej istotne wydarzenie w międzywojennej historii Litwy. Swoje typy przysłało 20 tys. uczestników – na liczący 2,8 mln ludzi kraj to dużo. Z tych zgłoszeń specjalna komisja stworzyła listę stu najważniejszych wydarzeń, które przedstawiono na specjalnej wystawie w dawnym pałacu prezydenckim w Kownie.

Z ciekawością wybrałem się do stolicy Republiki Litewskiej z lat 1919–1939, aby sprawdzić, co wybrali nasi bracia

z północy i jak w tym rankingu usytuowano spory z Polską.

ZACISZNE KOWNO

Na tle naszego Pałacu Prezydenckiego na Krakowskim Przedmieściu czy Zamku Królewskiego, który przed wojną gościł prezydentów RP – litewski pałac prezydencki w Kownie jawi się bardzo skromnie. Były pałac carskiego gubernatora z XIX w. przy Wilniaus gatvė 33 zbudowany był według ówczesnych gustów. Nieco podobny można obejrzeć dziś w Suwałkach, które w XIX w. również były stolicą gubernialną. To przypomnienie, jak bardzo prowincjonalne było Kowno, które niespodziewanie w 1919 r. stało się zastępczą stolicą Litwy. Zastępczą, bo Litwini, tworzący swe państwo pod ochroną Niemców, nigdy nie przestali uważać Wilna za swoją stolicę i zapisali to nawet w swojej konstytucji. To w dawnej metropolii Wielkiego Księstwa Litewskiego ogłosili swą niepodległość aktem z 16 lutego 1918 r. Jednak po przegranej I wojnie światowej Niemcy, ustępując pod naciskiem Sowietów, wycofali się w ostatnich dniach 1918 r. na zachód w kierunku Kowna. Miasto nad Wilią zajęli najpierw bolszewicy ze swoją Litewsko-Białoruską

Socjalistyczną Republiką Rad, a w kwietniu 1919 r. Piłsudski z sukcesem odbił swoje „Miłe miasto”. Odtąd Kowno, które do wiosny 1919 r. znajdowało się pod wojskowym parasolem Niemiec, stało się stolicą Republiki Litewskiej. To niewielkie państwo nasi dziadowie przeżywali Litwą kowieńską.

Stary pałacyk gubernatora jest dziś wypielęgnowaną pamiątką narodową i mieści muzeum prezydentów Litwy. W ogrodzie stoją pomniki litewskich głów państwa z lat 1918–1940. Wszystko małe, skromne, ale dla kogoś potrafiącego uszanować cudze ambicje państwowe – w jakiś sposób ujmujące.

Sto lat temu Polacy dość długo patrzyli na tworzenie niepodległej Litwy jak na dziwaczny eksperyment, który nie ma szans na przetrwanie próby czasu. Trochę jak Niemcy, którzy nasz kraj, budowany z trudem po 1918 r., określali lekceważącym terminem „Saisonstaat” – państwo sezonowe. Tak jak politycy Republiki Weimarskiej uważali Polskę za kreację Paryża – tak w Warszawie i Wilnie widziano w państwie litewskim skuteczną, acz nietrwałą intrygę Berlina. W polskiej prasie pojawiały się wtedy ironiczne uwagi na temat braku kadr

nowego państwa. Kpiono z konieczności kaperowania do litewskiej armii carskich oficerów czy utrzymania długi czas w kowieńskiej radzie miasta ruszczyzny jako języka obrad, bo liczni w mieście Żydzi nie znali litewskiego, a polszczyznę unikano z przyczyn politycznych.

Był to kraj o przewadze ludności wiejskiej. Tylko 20 proc. obywateli Litwy mieszkało w miastach, z czego tylko Kowno i Kłajpeda, zamieszkała w większości przez Niemców, mogły aspirować do i tak dość skromnej wielkomiejskości.

A jednak minęło 15 lat i na początku lat 30. Kowno było już nowoczesnym miastem z reprezentacyjnymi gmachami rządowymi w stylu moderny, a waluta litewska była jedną z najstabilniejszych walut w Europie. Państwo wykształciło młodą generację inteligencji, ukształtowaną już na własnych narodowych symbolach, własnych bohaterach, ale także – co szokowało naszych dziadków – wyrazistym antypolonizmem.

Ten okres zimniej wojny skończy się w marcu 1938 r. nawiązaniem stosunków dyplomatycznych między Litwą a Polską i odprężeniem, co na wystawie zostanie zaznaczone. Jednak wtedy zbliżała się już wojenna pożoga. Zniszczyła ona w 1939 r. wolność Polski, a niecały rok potem także Litwy.

NARODOWY DEKALOG

Spójrzmy na listę najważniejszych wydarzeń z epoki międzywojennej.

Na pierwszej pozycji – co zrozumiałe – jest proklamacja wznowienia niepodległości Litwy – 16 lutego 1918 r. Ta data jest dziś świętem narodowym Litwy. Jej okoliczności z polskiego punktu widzenia nie były budujące. Grupa działaczy litewskich za zgodą Niemców ogłosiła ją, mając nadzieję, że Berlin pozwoli stworzyć osobne państwo pod kuratelą Niemców okupujących wówczas Litwę.

Na tron tworu państwowego, mającego stanowić część zdominowanej przez kajzera „Mitteleuropę”, umyślono zaprosić Wilhelma Karla von Uracha, arystokratę z Wirtembergii, któremu w lipcu 1918 r. nadano tytuł króla Mendoga II. Sam Urach nigdy nie pojawił się nawet na Litwie, ale Berlin wspierał te plany jako element szachowania Polaków. Niemcy nie śpieszyli się jednak z ostatecznymi decyzjami. W końcu, w listopadzie 1918 r., Niemcy przegrali I wojnę światową i Litwini powołali niezależną republikę. Jednak kuratela niemiecka nad

Litwą trwała aż do 1923 r. Dzisiaj data ta jest bardziej symbolem wskrzeszenia własnego państwa. O dość kłopotliwych okolicznościach deklaracji niepodległości mówi się niechętnie.

Pozycja druga to lot przez Atlantyk pilotów Steponasa Dariusa i Stasysa Girėnasa, 15–17 lipca 1933 r. Ci dzielni lotnicy byli Amerykanami, którzy na początku wieku jako dzieci wyemigrowali z Litwy do USA. W 1933 r. postanowili rozślawić swoją ojczyznę (ich samolot nosił nazwę „Lituanica”) i zaplanowali przelot na trasie Nowy Jork–Kowno. Gdy udało im się przelecieć Atlantyk i wydawało się, że najgorsze już za nimi, 17 lipca 1933 r. wskutek złej pogody rozbili się niedaleko wsi Pszczelnik koło Myśliborza, leżącej obecnie w województwie zachodniopomorskim, a ówczesnie znajdującej się na terenie III Rzeszy.

Ich lot oraz bohaterska śmierć były wydarzeniami, które zbudowały dumę patriotyczną Litwy w latach 30. Dwa lata po katastrofie kolejny litewski pilot Feliksas Vaitkus znów przeleci Atlantyk samolotem „Lituanica II”, tym razem w pojedynkę.

Na pozycji trzeciej znalazło się powołanie Uniwersytetu Litwy w Kownie, 16 lutego 1922 r., przez szczupłe początkowo grono naukowców litewskich z uczelni na terenie Rosji i ziem polskich.

Pozycja czwarta to wprowadzenie w 1922 r. lita – własnej waluty państwa litewskiego. Była to jedna z najstabilniejszych walut w Europie, oparta na parytecie złota. Pozycja piąta to wybór 4 kwietnia 1919 r. pierwszego prezydenta Litwy – Antanasa Smetony. To postać w Polsce mało znana, ale odcisnęła ona silne piętno na dziejach międzywojennej Litwy. Kilka lat po zakończeniu swej pierwszej kadencji (1919–1920), w 1926 r., organizuje on pucz wojskowy, który wynosi go do roli dyktatora Litwy. Na jego wizerunek cieniem kładą się przyjęcie w 1940 r. ultimatum Stalina, które zakończyło niepodległość kraju, a potem rychły wyjazd za granicę. Zmarł w USA w 1944 r., jednak po 1990 r. jako najważniejsza postać międzywojennej Litwy honorowany jest jako ojciec niepodległości kraju. Pozycja szósta to przyjęcie Konstytucji Litwy 7 marca 1921 r. Na wysokiej siódmej pozycji jest odzyskanie przez Litwę 30 marca 1921 r. dostępu do morza w okolicach Połagi. Dlaczego tak późno? Wynikało to ze sporu o rejon Połagi między Litwą a Łotwą. W XIX w. władze carskie włączyły Połagę – jedyną czysto litewską miejscowość



Od góry: reklama kurortu Połaga, lotnik F. Vaitkus, prezydent Antanas Smetona, Pogoń Litewska, trasa przelotu Dariusa i Girėnasa przez Atlantyk i pamiątki po polsko-litewskich meczach z 1939 r.

FOT. PIOTR SEMKA, MATERIAŁY PRASOWE

■ na brzegu Bałtyku – do guberni kurlandzkiej, która w 1918 r. weszła w skład Łotwy. Trzeba było paru lat sporu i mediacji mocarstw zachodnich, by wojsko litewskie objęło swój skrawek wybrzeża. Pozycja ósma to data 12 grudnia 1918 r., gdy Szwecja jako pierwszy kraj na świecie uznała niepodległość Litwy. Jako pozycja dziewiąta uplasowała się długa, ale pomyślna walka o międzynarodowe uznanie kraju między styczniem a wrześniem 1921 r. I wreszcie pozycja dziesiąta: inauguracja Seimasa – parlamentu litewskiego – 15 maja 1929 r.

To, co rzuca się w oczy na tej liście, to przewaga aktów państwowotwórczych nad wydarzeniami militarnymi. Tylko lot Dariusa i Girėnasa oraz zajęcie wybrzeża w okolicy Połagi to wydarzenia symboliczne. Reszta to epizody z budowania zrębów państwa.

A co z Polską? W okresie międzywojennym na drodze do pojednania z Warszawą stały trzy przypominane do znudzenia przez Kowno wydarzenia. Po pierwsze, „pucz Żeligowskiego” w 1920 r., złamanie rozejmu sejneńskiego z 7 października 1920 r. oraz jako najpoważniejszy zarzut – „polska okupacja Wilna”.

Na liście stu najważniejszych wydarzeń tych trzech epizodów nie ma.

Najwyżej umiejscowione wydarzenie litewsko-polskie to dopiero pozycja nr 34 – wejście wojsk litewskich do Wilna 28 października 1939 r. Dla Polaków to mało przyjemne wspomnienie. Litwa otrzymała miasto nad Wilią w prezencie od Sowietów, którzy zajęli je po „ciosie w plecy” 17 września. W odróżnieniu od Lwowa litewska okupacja uchroniła polskich wilnian od sowieckich wywózek przez 10 długich miesięcy – do czerwca 1940 r. Z drugiej strony data ta przesądziła o włączeniu Wilna do Litewskiej SRS po wojnie. Mało kto wie, że Sowietci, chcąc w 1939 r. zmusić Litwę do przyjęcia na swój teren baz wojskowych, grozili w negocjacjach, że zajęte Wilno mogą wcielić do Białoruskiej SRS. Cztery pozycje niżej, na pozycji 38., jest wkroczenie Litwinów do Wilna 26 sierpnia 1920 r., w ramach umowy z uciekającymi bolszewikami. Ówczesne litewskie panowanie nad Wilnem trwało półtora miesiąca, do 9 października 1920 r., gdy do miasta wkroczył gen. Lucjan Żeligowski. Na pozycji 48. znajduje się data 19 marca 1938 r. – ultimatum Polski żądającej przywrócenia normalnych relacji dyplomatycznych.

WISI BALSUKITE UŽ L.KRIKŠČIONIŲ-DEMOKRATŲ.
L.KATALIKIŲ MOTERŲ DRAUGIJOS IR „PAVASARIO”
SAJUNGOS SARAŠA N^o 2.



KRYŽIUS IR TĖVYNĖS MEILĖ SIITRINS VISAS ŠIN ŽAIGIO
Plakat litewskiej partii chrześcijańskich demokratów
z lat 20. Na pobożnego litewskiego chłopca czyha Polak
(Lenkai), obok spekulanta, socjalisty i bolszewika

FOT. PIOTR SEMKA

matycznych. Na pozycji 69. jest wreszcie wspomniany już traktat sowiecko-litewski z 10 października 1939 r., który oddawał Wileńszczyznę Litwie, ale za cenę wstępu do jej zniewolenia. I ostatnia pozycja, nr 96, na liście – 26 kwietnia 1925 r. – powstanie Związku Wyzwolenia Wilna.

Ta stworzona ze wsparciem władz organizacja masowa przez kolejne 13 lat, w latach 1925–1938, będzie organizować wyrażające antypolskie uroczystości potępiające Rzeczpospolitą za „okupację” Wilna. Do dziś klują w oczy litewskie plakaty z lat 20. z Białym Orłem jako wszą (nie ma ich na ekspozycji). W tym kontekście niska pozycja daty powstania związku może tylko cieszyć. Co ciekawe, w opisie tej pozycji nie ma ani słowa, że w listopadzie 1938 r., wraz z normalizacją relacji z Polską, związek po cichu zlikwidowano.

NAJGORSZE ZA NAMI?

Jak więc widać, najbardziej zapalne epizody ze sporów litewsko-polskich nie zajmują dziś wysokich pozycji w tym rejestrze pamięci. O wiele silniejsza jest duma z pierwszych instytucji młodego państwa. Komuś, kto pamięta polskie symbole dumy z lat II RP, rzucają się w oczy analogie. Kult pilotów Stepanasa Dariusa i Stasysa Girėnasa nietrudno skojarzyć z polskimi hołdami dla lotników Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury, którzy zginęli w katastrofie w 1932 r. Nasz 20 lutego 1920 r.

– dzień zaślubin gen. Józefa Hallera z morzem – przypomina datę 30 marca 1921 r. – odzyskanie przez Litwę dostępu do morza. Analogie snuć można między postaciami prezydenta Antanasa Smetony a Józefa Piłsudskiego. Obaj stali na czele swych państw w pierwszej fazie walki o niepodległość, obaj opuścili swój urząd po utrwaleniu nowej państwowości i obaj wrócili do władzy drogą zamachu stanu w tym samym 1926 r. Co ciekawe, polska marynarka nadała kanonierce nazwę „ORP Komendant Piłsudski”, a podobny okręt marynarki litewskiej ochrzczono „Prezidentas Smetona”. Notabene Užułany na Wiłkomierszczyźnie, gdzie urodził się Smetona, od Zułowa, rodzinnego dworku Piłsudskiego, dzieliło tylko 120 km. Na tej dziwnej wystawie nie brak starych plakatów ze stereotypowym Polakiem jako wrogiem Litwinów. Z drugiej strony oglądam ekspozycję z krótkiego okresu normalizacji stosunków między Polską a Litwą w 1938 r. Oto pamiątka z towarzyskiego meczu futbolowego w Kownie z 14 maja 1939 r. – ryngraf sprezentowany Litwinom z wygrawerowaną inskrypcją z kurtuazyjnym użyciem litewskiej nazwy Kowna: „Pierwsze zawody piłki nożnej Warszawa – Kaunas, 14 maja 1939 r. W.(arszawski) O.(kręgowy) Z.(wiązek) P.(iłki) N.(ożnej)”. Ryngraf przedstawia polskiego orła z łacińską dewizą: „Jeśli Bóg z nami, kto przeciw nam?”. Na innym wręczonym gospodarzom proporczyku, tym razem Polskiego Związku Piłki Ręcznej, wykonanym z okazji meczu z 21 maja 1939 r., jest dla odmiany napis: „Warszawa–Kowno”.

Jak się okazuje, lepiej czy gorzej, ale próbowano wówczas dyplomacji sportowej. Czy gdyby nie wojna, Litwa i Polska znalazłyby jakieś w miarę przyjazne modus vivendi już 80 lat temu? Nigdy się tego nie dowiemy. Za to na pytania przybysza z Polski o dzisiejszą wizję przeszłości u zwykłych Litwinów wystawa udziela odpowiedzi dość optymistycznej. Litwa dumna jest z odzyskania Wilna, ale stare urazy wokół akcji Żeligowskiego i sarkania na „polską perfidię i wiarołomstwo” wyraźnie wydają się blednąć. Czas leczyć rany.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Sto najważniejszych wydarzeń Pierwszej Republiki Litewskiej (1918–1940)” w Kownie potrwa do 15 lutego 2020 r. Szczegóły na stronie: www.istorineprezidentura.lt.

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Płonąłem żywcem.

Szokujący wywiad z ofiarą
niemieckiej pacyfikacji

Maciej Rosalak – **Epopeja „Czarnych Diabłów”**

Alojzy Jedamski – **Z Wehrmachtu do Maczka**

Marcin Bartnicki – **Gorzki los polskiego generała**

Michał Mackiewicz – **Czołgi II RP**

Sławomir Koper – **Seks Czesława Miłosza**

Grzegorz Janiszewski – **Brytyjscy komandosi w akcji**

Sławomir Cenckiewicz – **Pochwała niemieckich antykomunistów**

Tomasz Stańczyk – **Kulisy pogromu Żydów we Lwowie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Jak islamista oszukał system



Jacek Przybylski

Zamach na giełdę, ambasadę USA w Londynie i Borisa Johnsona. To tylko niektóre cele powiązanej z Al-Kaidą organizacji, której członkiem był Usman Khan. Mimo to terrorysta odzyskał wolność aż osiem lat przed terminem i zabił dwie młode osoby. Gdyby nie bohaterski Polak, za błąd obrońców praw terrorystów życiem zapłaciłoby jeszcze więcej ludzi

Usman Khan, Pakistańczyk z pochodzenia, mieszkaniec hrabstwa Staffordshire, w piątek 29 listopada w centrum brytyjskiej stolicy, na słynnym London Bridge, zadźgał dwie osoby: 25-letniego Jacka Merritta oraz 23-letnią Saskię Jones. Trzy inne osoby,

w tym dwie kobiety, uzbrojony w dwa noże terrorysta ranił w środku Fishmongers' Hall – zabytkowego i prestiżowego budynku położonego tuż obok London Bridge.

To tam walkę z islamistą podjął pracownik pobliskiej restauracji, pochodzący z Polski 38-letni Łukasz.

Zmywający akurat naczynia Polak, gdy tylko usłyszał krzyki, pobiegł na ratunek. Szybko zorientował się w sytuacji, złapał za wiszącą na ścianie dekoracyjną pikę i próbował ugodzić nią zamachowca. Khan miał jednak na sobie kamizelkę (jak się później okazało – atrapę ładunku wybuchowego), która zablokowała cios naszego rodaka.

Terrorysta zadał mu kilka pchnięć nożem, po czym wybiegł z budynku. Ranny Polak i tak pobiegł za islamistą i przy pomocy dwóch innych mężczyzn – jednego z gaśnicą i jednego uzbrojonego w kiel narwala – powalił terrorystę na ziemię. Chwilę później na miejsce przybyli policjanci, którzy w obawie, że islamista może mieć na sobie ładunki wybuchowe, szybko zastrzelili sprawcę. Eksperci ds. terroryzmu nie mają wąt-

pliwości: gdyby nie bohaterska postawa Polaka i dwóch innych mężczyzn, muzułmański zamachowiec mógłby zabić i ranić jeszcze wiele osób. Panu Łukaszwowi oraz dwóm pozostałym bohaterom podziękowali królowa Elżbieta II, premier Boris Johnson, a także polscy politycy, w tym Zbigniew Ziobro oraz Andrzej Duda.

Polski bohater chciał pozostać anonimowy. Mimo to jego nazwisko wypłynęło do brytyjskich bulwarówek. Również część mediów w Polsce upubliczniła nie tylko nazwisko Polaka (nie podajemy go celowo, aby pomóc w ochronie jego bezpieczeństwa i uszanować jego prywatność), lecz także jego zdjęcia, a nawet fotografie jego ukochanej. Przez media islamiści mają już większość informacji potrzebnych do przeprowadzenia akcji odwetowej. Na zabiciu bohatera islamiści mogą sporo ugrać, więc Polaka bohatera czeka teraz zapewne zarówno zmiana pracy, jak i miejsca zamieszkania. Podobnie bywało już z innymi przypadkowymi „antyterrorystami”.

OPUSZCZONY PIEKARZ

3 czerwca 2017 r. biały van z trzema muzułmańskimi terrorystami na pokładzie z dużą prędkością wjechał w przechodniów na moście London Bridge. Niedaleko zjazdu z mostu islamiści – dobrze znany brytyjskim służbom specjalnym 27-letni Khuram Shazad Butt, 30-letni Rachid Redouane oraz 22-letni Youssef Zagħba – rozbili auto i zaatakowali nożami przypadkowych ludzi w pobliżu Borough Market, okolicy pełnej popularnych barów i knajpek. Dźgając swe ofiary, terroryści mieli krzyczeć: „To dla Allaha”.

Z relacji świadków wynika, że ludzie bronili się, jak potrafili: rzucali w muzułmanów krzesłami, butelkami oraz kuflami od piwa. Scotland Yard apelował wówczas na Twitterze, aby każdy szukał bezpiecznego schronienia zgodnie z zasadą „run, hide and tell”, czyli „biegnij, ukryj się i zawiadom służby”. Terrorystów udało się zastrzelić po ośmiu minutach od pierwszego wezwania, ale w zamachu i tak zginęło osiem osób, a 48 trafiło do szpitali. Ofiar zapewne byłoby więcej, gdyby nie rumuński piekarz. Wówczas 31-latek o imieniu Florin najpierw skrzynką dzielił przez głowę jednego z islamskich terrorystów, a następnie udzielił schronienia w swojej piekarni aż 20 osobom.

Ówczesna premier Theresa May publicznie chwaliła go w parlamencie. Rumuński piekarz twierdzi jednak, że na słowach się skończyło. W 2018 r. oskarżył władze w Londynie o to, że odmówiły mu zarówno ochrony przed islamskimi ekstremistami, jak i pomocy zdrowotnej (piekarz po zamachu zaczął cierpieć na zespół stresu pourazowego).

– Powiedzieli mi, że nie mogą mnie włączyć do programu ochrony świadków, ponieważ trzech terroryści zostali zabici, a 12 innych zostało aresztowanych – żalił się w rozmowie z brytyjskimi dziennikarzami. Jak informowała BBC, po ataku rumuński bohater musiał opuścić mieszkanie, które wynajmował, ponieważ jego właścicielka obawiała się, że islamscy terroryści będą chcieli się zemścić, i nie chciała ryzykować, iż coś stanie się z nieruchomością. W końcu piekarz musiał opuścić Wielką Brytanię i wrócić do Rumunii.

MASAKRA W POCIĄGU

O wiele lepiej w podobnej sytuacji zachowały się władze Francji. Gdy 21 sierpnia 2015 r. szybki pociąg z Amsterdamu do Paryża przejeżdżał przez terytorium Belgii, powiązany z ekstremistycznymi organizacjami muzułmańskimi 26-letni Marokańczyk Ajub El Khazzani – uzbrojony w karabin automatyczny, pistolet, nóż oraz osiem zapasowych magazynków – zaczął ostateczne przygotowania do ataku. Znany dźwięk ładowania broni usłyszało przypadkiem dwóch amerykańskich wojskowych – 23-letni żołnierz sił powietrznych, 22-letni członek Gwardii Narodowej – oraz 23-letni student. Natychmiast wkroczyli do akcji. W walce z terrorystą pomogli im jeszcze jeden Amerykanin oraz Brytyjczyk. Ranny został 23-letni wojskowy.

W pociągu znajdowało się ponad 150 podróżnych. Gdyby więc nikt nie powstrzymał Marokańczyka, to mogłoby dojść do prawdziwej masakry. Prezydent Francji François Hollande odznaczył bohaterskich Amerykanów oraz Brytyjczyka Legią Honorową. – Naprzeciw zła o nazwie „terroryzm” stoi dobro, człowieczeństwo. Jesteście tego uosobieniem – zauważył wówczas Hollande.

LOT NR 93

Bez zwykłych ludzi, których los nagle przemienił w bohaterów, o wiele

tragiczniej skończyłyby się zamachy z 11 września 2001 r. Terroryści z Al-Kaidy porwali wówczas cztery samoloty. Dwa z nich skierowali na bliźniacze wieże nowojorskiego World Trade Center. Trzeci uderzył w stojący na przedmieściach Waszyngtonu budynek Pentagonu. W zamachach zginęło prawie 3 tys. osób, w tym Polacy, niemal 6 tys. zostało rannych. Plan szefa Al-Kaidy był jednak jeszcze bardziej okrutny. Cztery porwany samolot najprawdopodobniej miał zniszczyć Kapitol lub Biały Dom. Diabelski plan się jednak nie powiódł. Pasażerowie na jego pokładzie podjęli bowiem bohaterską walkę z czterema muzułmanami, którzy chcieli zgotować piekło mieszkańcom Ameryki. Terrorystów miało być pięciu. Jeden z nich nie dostał jednak wizy. Akcję przeprowadziło więc czterech muzułmańskich ekstremistów.

Libańczyk Ziad Dżarrah i trzej Saudyjczycy – Saeed al-Ghamdi, Ahmed al-Nami i Ahmed al-Haznawi – zajęli miejsca w klasie biznes. Za pomocą noży, a także atrap bomb i pistoletów mieli zabić pilotów, a także pilnować ponad 30 pasażerów wraz ze stewardesami, aby nie przeszkadzali Libańczykowi w realizacji zabójczej misji. Nie przewidzieli jednak, że samolot może wystartować z opóźnieniem, co uniemożliwi wzorową synchronizację z atakami na wieże World Trade Center.

Z odgłosów zarejestrowanych przez czarne skrzynki boeinga linii United lot nr 93, a także z zapisu łączności samolotu z wieżą kontroli lotów wynika, że terroryści wdarli się do kabiny o godz. 9.26. Dokładnie dwie minuty po tym, jak piloci otrzymali informację o zderzeniu z wieżami World Trade Center i ostrzeżenie przed próbą wdarcia się do kokpitu. Piloci nie mieli szans. Gdy terroryści zamordowali ich małymi nożami, a następnie zadźgali stewardesę, kontroler ruchu lotniczego usłyszał tylko krótkie: „W imię Allaha”.

O 9.32 pasażerowie feralnego lotu usłyszeli komunikat wygłoszony przez pilota z arabskim akcentem, który zwrócił się do nich z rozkazem pozostania w fotelach. Samolot obrał prosty kurs na Waszyngton. Terroryści nie byli jednak w stanie uniemożliwić pasażerom korzystania z telefonów komórkowych. Po pokładzie szybko rozeszła się wiadomość o tym, że islamiści używają samolotów jako latających bomb.

Wówczas grupa bohaterskich pasażerów zdecydowała się odbić samolot. Nie wiadomo na pewno, czy udało im się wdrzeć do kokpitu czy też terroryści rozbili maszynę w szczerym polu zanim pasażerowie weszli do środka. Wiadomo jedynie, że to terroryści po godz. 10 podjęli decyzję o rozbiciu lecącej ponad 900 km/godz. maszyny – tuż przed uderzeniem w ziemię w kokpicie słychać było bowiem głośnie modlitwy i cytaty z Koranu.

Islamiści zamordowali 40 osób, o których przypomina postawiony w szczerym polu Pensylwanii pomnik. Na podstawie tych wydarzeń reżyser Paul Greengrass – mieszając wszystko to, co publicznie wiadomo o wydarzeniach z 11 września z absolutną fikcją – w hołdzie poległym nakręcił również film „Lot 93”.

Gdyby nie bohaterska postawa pasażerów, w Waszyngtonie zginęłoby zapewne kolejnych kilkaset osób. Dochodzenie po 11 września wykazało bowiem, że wojskowe myśliwce z kilku powodów nie byłyby w stanie zestrzelić porwanej maszyny. Po pierwsze, o porwaniu samolotu armia dowiedziała się zbyt późno. Po drugie, myśliwce nie były uzbrojone, więc piloci musieliby po prostu staranować porwany samolot, a po trzecie, oficjalna zgoda na zniszczenie pasażerskich maszyn wydana przez wiceprezenta Dicka Cheney’a zapadła zbyt późno, aby móc uratować stolicę.

DOBRE ZNANI TERRORYŚCI

Kilkanaście miesięcy po atakach na World Trade Center i Pentagon wyszło na jaw, że amerykański wywiad wiedział o przygotowywanych przez islamistów zamachach. Według mediów prezydent George W. Bush i jego najbliżsi doradcy już na początku sierpnia ubiegłego roku otrzymali raport, z którego wynikało, że terroryści Osamy bin Ladena rozważali przeprowadzenie ataków z użyciem porwanych samolotów pasażerskich. O zbliżających się zamachach ostrzegało polityków CIA.

Agent FBI w lipcu 2001 r. ostrzegał zaś w swym raporcie przed związkami z Al-Kaidą arabskich studentów amerykańskich szkół lotniczych. Jeszcze wcześniej, bo w kwietniu 2001 r., Amerykanów publicznie ostrzegł przed potężnymi zamachami Ahmad Szah Masud, afgański dowódca zwany „Lwem Pandższiru”, przestrzegając podczas przemówienia

w Parlamencie Europejskim, że w Afganistanie szykowany jest atak na Amerykę. Najprawdopodobniej mimo różnych sygnałów ostrzegawczych nie znalazł się człowiek, który na czas poskładałby je w całość. Po zamachach Kongres przyjął więc ustawę zwaną Patriot Act, przyznając służbom bezpieczeństwa uprawnienia do podsłuchu bez nakazu sądowego i zwiększając możliwość inwigilacji wszystkich obywateli.

Często służby doskonale wiedzą jednak, kto jest niebezpiecznym terrorystą, ale mają zbyt mało dowodów, aby udowodnić to przed sądem, i zbyt mało pieniędzy oraz ludzi, aby śledzić każdy krok wszystkich podejrzanych. Jeszcze przed mordem dokonany w 2017 r. dobrze znany brytyjskim służbom specjalnym był np. 27-letni zamachowiec Khuram Shazad Butt. Muzułmański dżihadysta nie ukrywał poparcia dla terrorystycznych metod i publicznie modlił się w parku przed czarną flagą tzw. Państwa Islamskiego. Nic mu jednak nie zrobiono. Jego kolega zamachowiec Youssef Zaghba – syn Marokańczyka i Włoszki – na kilkanaście miesięcy przed zamachem został zatrzymany na lotnisku w Bolonii. Z biletem w jedną stronę próbował wejść na pokład samolotu lecącego do Stambułu, aby stamtąd przedostać się do Syrii i walczyć u boku mużulmańskich bojowników tzw. Państwa Islamskiego. Włosi postawili mu nawet zarzut międzynarodowego terroryzmu, ale musieli go ocyścić z tych zarzutów. Mimo to władze w Rzymie umieściły Zaghbę na liście podejrzanych. Mógł jednak w Londynie spokojnie przygotowywać się do zamachu.

Zamachowiec z pociągu El Khazzani jako radykalny islamista był dobrze znany służbom czterech europejskich państw. Mimo to jego adwokat twierdził, że biedaczek był po prostu bezdomnym, który kałasznikowa znalazł w parku i głodny wszedł do pociągu, aby obrabować pasażerów i zgromadzić pieniądze na jedzenie...

Brytyjczycy doskonale wiedzieli też, jak groźny jest Usman Khan. Mężczyzna w 2010 r. został aresztowany, a w roku 2012 skazany wraz z ośmioma innymi osobami za przestępstwa związane z terroryzmem, w tym za współpracę przy planowaniu zamachów na budynku giełdy papierów wartościowych i ówczesnego burmistrza Londynu, a obecnego premiera Borisa Johnsona, a także spisek mający na celu utworzenie terrorystycznego obozu treningowego w Kaszmirze.

Sędzia kazał go tak długo trzymać za kratami, aż przestanie zagrażać innym. Rok później sąd ograniczył jednak wymiar kary do 16 lat.

CEL: DERADYKALIZACJA

Już w roku 2018 – po odbyciu połowy kary – przedterminowo warunkowo opuścił więzienną celę. Khan wziął też udział w dwóch programach „deradykalizacji” islamskich ekstremistów. Na specjalnych kursach organizowanych przez ministerstwo spraw wewnętrznych terrorystów uczy się pokojowej wykładni islamu, która ma sprawić, że będą żyć „jak dobrzy mużulmanie”. Kłopot w tym – jak zauważyło BBC – że żaden z dwóch programów, w których Khan brał udział, nie został odpowiednio przetestowany. Nikt nie sprawdzał, czy uczestnicy kursów rzeczywiście stają się mniej radykalni i czy rządowe programy zapobiegają ponownemu popełnianiu przestępstw terrorystycznych. I to mimo że inny flagowy rządowy program, stosowany od 25 lat wobec przestępców seksualnych, został niedawno wstrzymany, ponieważ okazało się, iż zamiast zmniejszać, zwiększał ryzyko recydywy.

Khan miał zakaz podróży do Londynu, a na kostce nosił elektroniczną bransoletę, która podawała władzom jego aktualną lokalizację. Dostał jednak jednodniową przepustkę, aby móc wziąć udział w konferencji dotyczącej resocjalizacji byłych skazanych, odbywającej się w Fishmongers’ Hall. Wykorzystał tę okazję do ataku terrorystycznego.

Dopiero po zamachu władze w Londynie zaczęły przyglądać się programom „rehabilitacji”, a także systemowi warunkowych zwolnień, który nawet najbardziej niebezpiecznym przestępcom pozwala wychodzić z więzień na długo przed zakończeniem wyroku. Rządzący Wielką Brytanią politycy zapowiedzieli więc zmianę skompromitowanego systemu i zaapelowali, aby osoby skazane za terroryzm odsiadywały pełne wyroki. Ta deklaracja nie spodobała się wielu lewicowym aktywistom, a nawet rodzinie zabitego w zamachu Jacka Merritta.

W zachodnich społeczeństwach wciąż jest zaskakująco wielu miłośników obrony praw terrorystów. Przypadkowi „antyterroryści” z pewnością wciąż będą więc potrzebni. Nie tylko Brytyjczykom.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



MOZART ZAKAZANY

W bazylice św. Krzyża we Florencji zaplanowano koncert muzyki Wolfganga Amadeusza Mozarta. Program obejmował „Requiem” oraz „Ave Verum Corpus” (napisany na uroczystość Bożego Ciała). Już nawet rozwieszono w mieście plakaty reklamujące koncert, ale odwołał go przeor florenckiej bazyliki. Według włoskich mediów duchowny stwierdził, że nie będzie koncertu, bo Mozart był masonem. Muzyczne wydarzenie przeniesiono do znajdującego się obok bazyliki wieczernika.

FOT. WIKIPEDIA

BIZNES NA FIKCYJNEJ GRANICY

Pewien pomysły mieszkaniec Rosji w lesie pod Petersburgiem powbił fałszywe słupy graniczne i nawet skonstruował „placówkę graniczną”. Przeprowadził tam grupę Azjatów, którym wmówił, że za pieniądze przemycą ich do Unii Europejskiej, a konkretnie – do Finlandii. Biznes się jednak nie udał. Jak informują rosyjskie agencje, przy fikcyjnej granicy w lesie wszystkich złapała prawdziwa straż graniczna. Azjatów deportowano z Rosji, przemytnika aresztowano.

TELEFON TYLKO ZA TWARZ

W Chinach obowiązywać zaczęło nowe prawo. Zgodnie z nim sprzedaż nowej karty SIM do telefonu jest możliwa tylko klientowi, który zgodzi się na zeskanowanie swojej twarzy i umieszczenie tych danych w rządowej bazie. Rząd twierdzi, że ten obowiązek „zwiększy bezpieczeństwo obywateli w cyberprzestrzeni”. Systemy rozpoznawania twarzy wprowadzane są przez władze Chin w wielu miejscach, bez zgody obywateli.

SZWEDZCY BEZDOMNI Z ZAGRANICY

W Szwecji rośnie problem bezdomności. W raporcie firmy Veidekke wskazano, że w Szwecji jest obecnie już 33 tys. osób bezdomnych. Jak to się stało? Głównie przez przyjmowanie imigrantów. Tylko w Malmö ok. 70 proc. bezdomnych urodziło się poza granicami Szwecji, a połowa z nich mieszka w tym kraju krócej niż trzy lata. W latach 2015–2019 liczba bezdomnych w Malmö wzrosła o 253 proc. Wszystko wskazuje więc na to, że dobru duszni Szwedzi, którzy niby ocalają uchodźców, w rzeczywistości zostawiają ich na lodzie.

WŚCIEKŁY KLIENT

W Japonii zatrzymano 71-latkę, który dzwonił na infolinię operatora telekomunikacyjnego KDDI. Pan Okamoto miał w kilka dni wykonać tysiące połączeń. Pracownikom infolinii wyrażał swoje niezadowolenie z działań firmy oraz ich obrażał. Starszego pana aresztowano za „utrudnianie prowadzenia działalności gospodarczej”.

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

#muremzaBanasiem

Pod koniec rządów SLD powstała najbardziej chyba dziwaczna sytuacja w polskiej polityce: ówczesny premier Marek Belka, który wszedł do nowo powstałej

jest, ale i tak jest ciekawie i nieco podobnie.

PiS, który Banasia przepchnął, zanim służby skończyły go sprawdzać, chce teraz, żeby ustąpił. Banaś już prawie to zrobił, ale zdaje się, że pociśnięto za mocno i usztywnił stanowisko. Jak śpiewał Kaczmarski w piosence „Warcho!":

Wola moja jest jak szabla [...]

*A niewprawną puścisz dłonią –
W pysk odbije stali siłą.*

Z wydanego przez Banasia oświadczenia wynika, że ustępować nie zamierza i broni niezawisłości izby

przed naciskami politycznymi. Czyimi? To nie pada wprost, ale przecież jest jasne: PiS i prezesa Kaczyńskiego. Czekam zatem, aż w Internecie pojawią się zdjęcia Mai Ostaszewskiej z kartką z napisem: „#muremzaBanasiem”.

Gdyby przyjąć, że spór między PiS a prezesem NIK nie jest elementem jakiejś gry, a Banaś ma szansę wybronić się przed zarzutami – czy nie jest to sytuacja idealna? Zamiast prezesa NIK, zaprzyjaźnionego z władzą, mielibyśmy prezesa NIK z władzą pokłóconego, czyli patrzącego jej na ręce tym uważniej. Ot, paradoks. ©

Ustępować nie zamierza i broni niezawisłości izby przed naciskami politycznymi

partii Demokraci.pl, znalazł się tym samym w formalnej opozycji wobec własnego rządu. Marian Banaś premierem nie



Z José Javierem Esparzą,
hiszpańskim dziennikarzem i autorem książek
rozmawia Małgorzata Wołczyk

Komunizm działa jak psychotropy

MAŁGORZATA WOŁCZYK: Franco uratował Hiszpanię przed sowietyzacją, a jednak to przegrani napisali wam na nowo historię. Wydaje się, że sporo kłopotów, które dziś ma Hiszpania, wynika właśnie z konfliktu pamięci. Wciąż są dwie Hiszpanie?

JOSÉ JAVIER ESPARZA: Oczywiście, w dodatku to konflikt, który sami sobie zafundowaliśmy. Pokolenia, które mogły zachować pamięć tych wydarzeń, pogrzebały ją umyślnie za cenę świętego spokoju. Nikt nie chciał nic pamiętać. I po okresie gigantycznego rozwoju Hiszpanii w latach 60. wydawało się, że wszystkie rany są już wreszcie kompletnie zabliznione, ale pojawił się Zapatero, wskrzesił ducha wojny i od 2004 r. obserwujemy otwarcie wszystkich ran. Zresztą lewica zawsze żywiła się konfliktem.

Obserwując Hiszpanię, mam wrażenie, że fenomen ojkofofii jest u was bardzo duży. Stąd zagrożenie „bałkanizacją” kraju?

To problem, który pojawił się już pod koniec XIX w., ale wtedy był ograniczony do wyższych sfer. Razem z utratą kolonii zaczyna pojawiać się w dyskursie publicznym, zwłaszcza w bogatej Katalonii, myśl, że Hiszpania stanowi problem. I dla pewnej części lewicowych elit w XX w. już było jasne, że trzeba pogrzebać dawną Hiszpanię, aby rozkwitła nowa. Rezultatem była prawdziwa demencja i nienawiść.

Istnieje też konflikt pamięci w samej Europie. Niemcy nie są specjalnie zainteresowani powracaniem do trudnej przeszłości, a silny tandem francusko-niemiecki narzuca ton całej Unii, która zresztą zdaje się być skolonizowana przez socjaldemokrację.

No, nie jest to już tandem, ale zupełnie inny twór. Rodzaj laboratorium do przeprowadzenia procesu globalizacji. A elity, które przewodniczą temu zamiarowi...

wi, są i w Brukseli, i w Madrycie, a nawet w Warszawie pod wodzą Tuska. Tym, co je łączy, jest chęć zapomnienia o przeszłości, bo tylko tak można skonstruować ten ich nowy wspaniały świat bez państw narodowych i granic.

Prawnikom imperium, gdzie słońce nie zachodziło, nie podoba się pomysł świata bez granic?

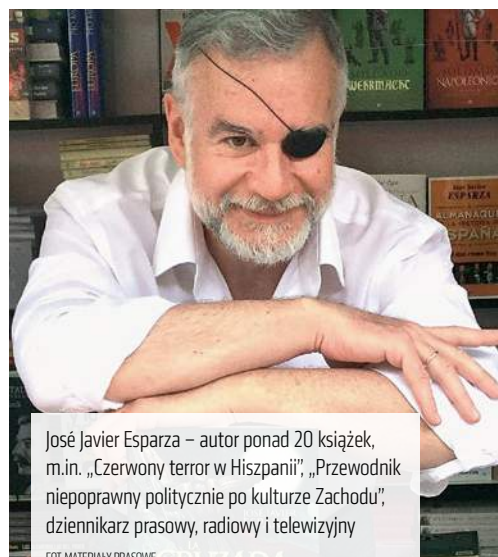
To inna sprawa. Świat, w którym horyzont technologii i ekonomii tłumi tożsamości narodowe, jest starym projektem kosmopolitycznym wywiedzionym jeszcze z Kanta. W dyskursie oświeceniowym to, co tradycyjne, przeszkadza budować świat racjonalny. Jednak jeśli ktoś myśli, że można zbudować idyllę na podstawie rynku i nowych technologii, to ma duży problem. I dziś częściej nas zatrutym cukierkiem, ale w zamian najpierw każą się wyrzec nas samych, wspólnoty i korzeni, które nas uformowały.

Kto zamieszka i wygra życie w tym nowym lepszym świecie?

Najsilniejszy: ponadnarodowy kapitał i jego służby.

Już od czasów ateńskich lud tolerował elity, o ile zapewniały bezpieczeństwo, względny rozwój i poczucie dumy. Kiedy zaczyna szwankować jeden z tych elementów, lud zaczyna się buntować. Wydaje się, że obecne elity całkowicie zawiadły?

Nie ma porównania. Różnica polega na tym, że dawne elity poświęcały dla sprawy samych siebie, a dziś nasi wybrańcy chcą poświęcić wszystkich wokół oprócz siebie. Myślę, że jesteśmy świadkami procesów, które nie są porównywalne z żadnym z etapów naszych dziejów. Chociaż może są pewne podobieństwa do dawnej teokracji...



José Javier Esparza – autor ponad 20 książek, m.in. „Czerwony terror w Hiszpanii”, „Przewodnik niepoprawny politycznie po kulturze Zachodu”, dziennikarz prasowy, radiowy i telewizyjny

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

No tak, my, Polacy, jesteśmy przyzwyczajeni do kazań płynących z Brukseli.

Jeśli nie przyjmujesz ich dogmatów, to jesteś odstawiony poza margines, stajesz się grzesznikiem, który musi odpokutować i nauczyć się żyć zgodnie z regułami nowej religii. Przedziwne tylko, że najważniejsze treści tej religii nigdy nie zostały poddane pod głosowanie, tak jak sprawy aborcji, imigrantów, LGBT. O tym się nie dyskutuje, bo to jest dogmat, za to możemy poddać pod głosowanie sprawę najzupełniej trzeciorzędne. To jedna z najbardziej ponurych form władzy, z którą można mieć do czynienia, przy czym cały czas decyzje tej ponadnarodowej oligarchii przedstawiane są za pomocą słów: „wolność” lub „emancypacja”.

Éric Zemmour powiedział kiedyś, że Niemcy poruszają się między skrajnościami: od szaleństwa czystej rasy do nieokiełzanego projektu wymieszania wszystkich ras.

Jest racja w tym, co powiedział Éric, ale wcześniej to samo zrobili też Francuzi. To odgórne zarządzanie elit ponadnarodowych. Chociaż oczywiście prawdą jest, że Niemcy z ciężarem swojej przeszłości uprawomocnili ten utopijny projekt. Jednak przecież wasz kolega Tusk zapewne też ma problem z pamięcią o przeszłości i dlatego stara się być tak fajnym kosmopolitą. Zacošana, katolicka Polska nie może być przecież powodem dumy na salonach Europy. Trzeba się za nią wstydić, trzeba ją karać. Powinna się wreszcie pokłonić złotemu cielcowi europejskiego nihilizmu.

Mamy w Polsce powiedzenie, że „prawda się sama obroni”. Tymczasem Europa wydaje się walczyć z prawdą, która ją ufundowała.

Owszem, prawda się obroni, jeśli rozumiemy przez nią odwieczne prawdy antropologiczne, które pozwoliły przeżyć narodom w czasie największych katastrof. Koncept antropologiczny nie jest ideologią, należy do prawa naturalnego, tak jak pojęcie rodziny, wspólnoty. Gatunek ludzki nie przetrwa, jeśli zaprzeczmy jego naturze. Na przykład rozmawiając o aborcji, automatycznie podajemy w wątpliwość prawo do życia. Tylko że dziś próbuje się skonstruować nowego człowieka przy całkowitym zaprzeczeniu praw natury i przeciwko temu musimy się zbuntować.

No tak, ani się obejrzelśmy, a zmieniono nam kod kulturowy w Europie. Czy Hiszpanie wstydzą się swoich katolickich korzeni? Kto ma więcej zwolenników: Almodóvar czy Opus Dei?

Opus Dei ma tysiące członków, podczas gdy szczęśliwie grono admiratorów Almodóvara niknie. Nowi idole zużywają się szybko. Chrześcijaństwo stworzyło Europę, nadało jej kształt z powodu fundamentu wiary i rozumu. Europa jest projektem rozumowym i – jak mówił papież Benedykt XVI – chrześcijaństwo jest z definicji religią racjonalną. Jeśli człowieka stworzył Bóg, to to, co ludzkie, świat i prawdy o nim, nie mogą być przeciwne Bogu. Dopóki ludzie to rozumieją, dopóty cywilizacja chrześcijańska będzie trwała, pomimo fatalnej kondycji Kościoła współczesnego, który zdaje się zdeorientowany i już sam nie wie, komu ma służyć.

Wierzy pan w coś takiego jak przyjaźń między narodami? Czy istnieją tylko krótkie aliance, a przede wszystkim egoizmy narodowe?

Jakakolwiek relacja łącząca ludzi, grupy obciążona jest ryzykiem konfliktu, bo zwyczajnie taki już jest człowiek. I UE powinna służyć przede wszystkim wzajemnej współpracy i niwelowaniu konfliktów, ale jest inaczej. Ciągle wierzę, że jest możliwe wypracowanie formuły współpracy nawet między narodami mocno skonfliktowanymi. Bez napędzającej rozwój rywalizacji byłibyśmy niczym stado owiec. To też nasza specyfika europejska. Każdemu marzy się dominacja nad innym narodem, co nie znaczy, że zdejmuje to obowiązek jak najbardziej pokojowego współistnienia.

Ekshumacja zwłok gen. Franco to akt pogwałcenia wielu umów. W ogóle profanacja grobów wydaje się znakiem rozpoznawczym lewicy hiszpańskiej.

O tym i o wielu innych aktach specyficznego terroru lewicy piszę od wielu lat w moich książkach i esejach.

Zwłaszcza tak jak w tym przypadku, gdy wszystko ma podłoże zemsty po 80 latach od przegranej wojny?

Lewica hiszpańska, tak zresztą jak cała europejska, ma pewien problem. To, co obserwujemy przez ostatnie 40 lat wśród socjaldemokratów, cały ten pochod przez instytucje, to tragedia Zachodu. Lewica odgrywa tylko jakieś spektakle światła i cieni, dając ludziom złudzenie, że walczy o wolność i emancypację. Dla mnie jest porażające, że ta sama lewica, która tak szybko roztrwoniła majątek państwa, zgromadzony przez sprawne rządy Franco, wszystko sprywatyzowała, obsiadła najbardziej intratne stanowiska i zarządy, poddała Unii rolnictwo, niszcząc je w zamian za jakieś dopłaty – doprawdy nie ma żadnego mandatu, aby naruszać spokój głowy państwa pochowanej 44 lata temu. Tutaj chodzi tylko o wykorzystanie emocji, czystej pomsty po latach, aby utrzymać się przy władzy.

A skąd się bierze ta agresja ludzi lewicy czy obecnej socjaldemokracji wobec inaczej myślących?

Pareto – socjolog włoski – wyjaśniał, że ideologie są zawsze racjonalizacją uczuć instynktownych i w przypadku lewicy to jest nienawiść. To, co najbardziej ponure, to fakt, że władzy zupełnie nie przeszkadza to wzniecanie konfliktów. Ona w tym właśnie odniesie swój sukces według starego powiedzenia „divide et impera”. Kiedyś biedny Zapatero, myśląc, że mikrofon jest już wyłączony, powiedział: „Ale w naszym interesie jest niepokój społeczny”. To jest karygodne, ponieważ oni wiedzą, że „ciemny lud” kupił narrację o demokracji, emancypacji, podczas gdy władza w zanzardzu ma zupełnie co innego.

Jednak jak wytłumaczyć niesłabnącą naiwność i liczbę tego lewicowego elektoratu w Hiszpanii?

To jest dość hiszpańskie, takie głosowanie „plemienne”. Nieważne, jak bardzo mnie zawiedli, ale kibicuję im, bo to mój klub od dzieciństwa.

Parlament Europejski właśnie wydał rezolucję zrównującą zbrodnie komunizmu i nazizmu. Czy można wreszcie oczekiwać, że wraz z tą rezolucją coś sobie uprzytomnią i przestaną paradować z flagą URSS przez centrum Madrytu?

Nie sądzę. Problem w tym, że rezolucja wyszła od państw, które doskonale wiedzą, co to jest komunizm, bo przerobiły go na własnej skórze. Polska, Węgry, wy to macie wciąż w żywej pamięci, wyście zapisali krwią tę pamięć.

No tak, ale my to przyjęliśmy jako coś oczywistego, podczas gdy obserwując wasze sieci społecznościowe, miałam wrażenie, że ludzie wierzą, iż wreszcie coś się odgórnie skończy.

Niestety, to garstka osób. Mnóstwo Hiszpanów broni komunizmu, bo mają jego wyobrażenie zupełnie niezgodne z waszym doświadczeniem. Znają go z jakichś książek, zaklęć, uprawiają alienację. Ostatni akt terroru komunistów wydarzył się w 1939 r. No więc kto by to jeszcze pamiętał? Zwłaszcza że – jak mówię – ruszyła cała machina propagandowa za publiczne pieniądze, aby narzucić rozumienie komunizmu jako demokracji.

Jednak jest tyle filmów, tyle książek. Jak to możliwe? Taki stopień alienacji?

A wie pani, co się wydarzyło, kiedy przyjechał do nas Sołżenicyn? Pojawił się wtedy jako gość w programie o sporej oglądalności i prasa lewicowa przypuściła tsunami oburzenia. Jeden z jej największych intelektualistów, Juan Benet, dziś już szczęśliwie odstawiony na boczny tor i zapomniany, napisał: „Mocno wierzę, że tak długo, jak istnieją ludzie tacy jak Sołżenicyn, obozy koncentracyjne będą istnieć i muszą istnieć. Może tacy jak on powinni być trochę lepiej strzeżeni, aby nie mogli się wydostać”. To choroba, komunizm działa jak psychotrop.

Nie jest pan już zmęczony? Tu separatysty, tu odrodzona ETA, tam chaos migracyjny, demograficzne samobójstwo Hiszpanii...

Jestem optymistą! Dzisiaj jest lepiej niż 10 lat temu, wreszcie pojawiła się reakcja, jest partia Vox. I myślę, że wciąż trzeba prosić tych ostatnich sprawiedliwych, niezłomnych, aby się nie poddawali. Mur nie upada, jeśli podtrzymują go ręce tych kilku śmiałków.

A Europa? Co z nami będzie?

Demolują Europę, ale powtarzam, że to będzie wygrana batalia, bo my nie bronimy żadnej ideologii, tylko starych prawd antropologicznych, prawa naturalnego. Ludzie wszystkich czasów we wszystkich zakątkach cywilizacji chrześcijańskiej bronili tego samego: miłości do ojczyzny, do rodziny, wspólnoty i prawa do wyznawania jedyne Boga. Tutaj przecież walka toczy się o bycie człowiekiem, w pełni. Tego nam przegrać zwyczajnie nie wolno.

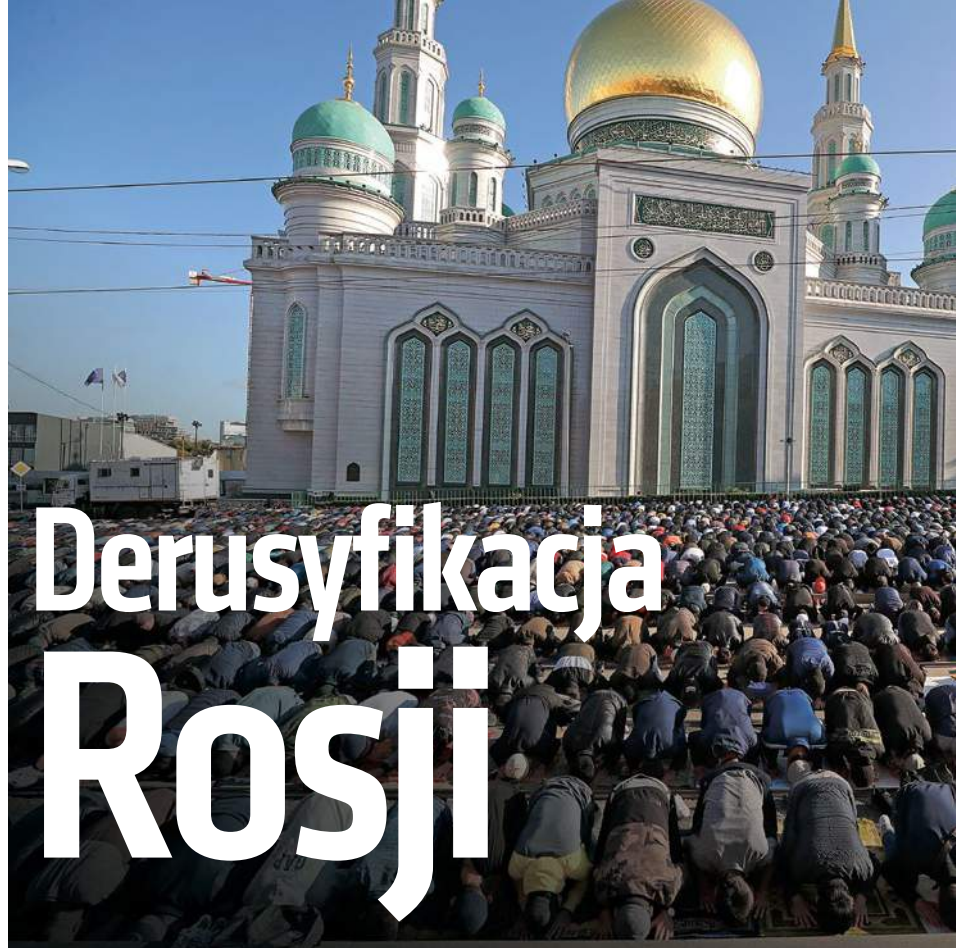


Witold Repetowicz

W Federacji Rosyjskiej ubywa Rosjan i jest coraz więcej muzułmanów. Kraj ten może ulec islamizacji szybciej niż Francja, Szwecja czy Holandia. Aby powstrzymać negatywne tendencje, Rosja stara się importować słowiańską krew: ukraińską i białoruską

Oficjalne statystyki nie wskazują na to, by Rosji groziła demograficzna katastrofa. Owszem, przyrost ludności jest niewielki, ale jakiś jest, a przecież cała Europa ma z tym problem. Tyle że jeśli zagłębić się w szczegóły, to przyszłość etnicznych Rosjan maluje się już w znacznie ciemniejszych barwach. Dzisiaj, według oficjalnych statystyk, Rosja ma 146,8 mln mieszkańców, a według spisu z 2010 r. 80 proc. stanowią etniczni Rosjanie. Warto jednak porównać dane z kolejnych wyborów w Rosji, a właściwie jeden element: liczbę uprawnionych do głosowania. Do wyborów parlamentarnych w 2016 r. wartość ta rosła i wyniosła wówczas 110 mln, ale w ubiegłorocznych wyborach prezydenckich wyniosła już tylko 109 mln, czyli o 0,2 mln mniej niż w wyborach w 2011 r. Nie można jednak zapominać o tym, że w międzyczasie przybyło 0,8 mln nowych wyborców ze względu na aneksję Krymu. Oznacza to, że w rzeczywistości przez siedem lat liczba wyborców w Rosji zmniejszyła się o 1 mln, mimo że jednocześnie setkom tysięcy migrantów przyznano rosyjskie obywatelstwo. W 2013 r. było to 136 tys. osób, ale pięć lat później już niemal dwa razy więcej.

Ponieważ pół miliona wyborców rosyjskich głosuje za granicą, po ich odliczeniu od 109 mln i dodaniu 31 mln niepełnoletnich wykazanych w oficjalnych statystykach (przy czym nie wszyscy z nich mają obywatelstwo) wychodzi co najwyżej 139,5 mln rosyjskich obywateli wśród 147 mln mieszkańców Rosji. Jeśli założymy, że etniczni Rosjanie rzeczywiście stanowili 80 proc. mieszkańców Rosji w 2010 r. i ten odsetek nie uległ zmianie, to wyszłoby, że jest ich teraz ok. 111,6 mln. Jednak to założenie nierealnie optymistyczne dla Rosjan, bo wskaźniki przyrostu naturalnego nie pozbawiają złudzeń, że



Derusyfikacja Rosji

jest on niezrównoważony na korzyść nierosyjskich grup etnicznych, przede wszystkim muzułmanów. Dlatego znacznie bardziej realistyczne jest założenie, że etnicznych Rosjan jest tylko niewiele więcej niż 100 mln, a liczba osób mieszkających w Federacji Rosyjskiej to nie 147 mln, lecz 152 mln, w tym minimum 12 mln migrantów, przy czym niektórzy oceniają tę liczbę nawet na 18 mln. W Moskwie mieszka ponad 3 mln imigrantów, a w Petersburgu – 2,5 mln. Ocenia się też, że co trzecie dziecko rodzące się w rosyjskiej stolicy pochodzi z rodziny imigranckiej. A dwie trzecie imigrantów to muzułmanie.

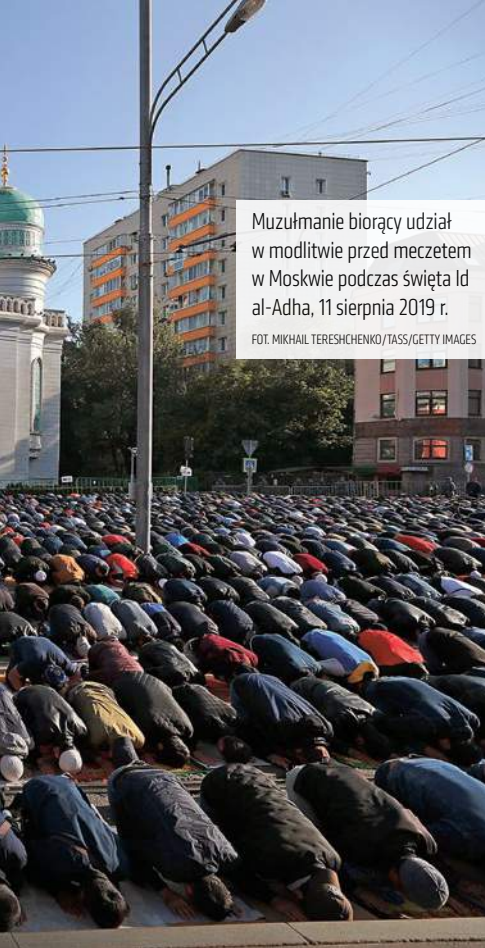
KIEPSKIE PROGNOZY

W Rosji muzułmanów można podzielić na dwie grupy: tzw. etnicznych muzułmanów oraz muzułmańskich imigrantów (przeważnie z krajów byłego ZSRS). Są jeszcze konwertyci, ale ich liczba (2–20 tys.) jest niewielka. Etniczni muzułmanie to narody podbite przez Rosję i tradycyjnie wyznające islam. Nie jest przy tym ważne, czy osoby o danym pochodzeniu etnicznym faktycznie są wierzącymi muzułmanami. Islam jest w tym przypadku także czynnikiem determinującym tożsamość kulturową. Dlatego, choć niektóre badania wykazują, że tylko 42 proc. muzułmanów w Rosji jest wierzących i liczba wyznawców

Allaha wynosi 4,7 proc. populacji Federacji Rosyjskiej, jest to bez znaczenia. Etniczny muzułmanin nie jest bowiem słowiańskim, prawosławnym Rosjaninem i nigdy nie będzie, za to wierzącym może się stać w każdej chwili. On albo jego dzieci.

W Rosji mieszka 27 narodów, które uznawane są za etnicznych muzułmanów, przede wszystkim Tatarzy, Baszkirzy, Czeceńcy i Awarowie, a według spisu z 2010 r. stanowili oni 10,7 proc. populacji Federacji. Jednak 4 proc. ankietowanych w spisie nie podało swojej tożsamości etnicznej i wielu sądzi, że liczba ta była już wówczas zaniżona. Nie wiadomo też, jak bardzo zmieniła się ona od tego czasu, gdyż brak jest nowych statystyk dotyczących pochodzenia etnicznego.

Jednak wiele mówiące są dane o zróżnicowaniu przyrostu naturalnego i współczynnika dzietności między regionami muzułmańskimi i etnicznie rosyjskimi. W całej Federacji przyrost naturalny ma obecnie wartość ujemną (w 2018 r. populacja zmniejszyła się o prawie 250 tys. osób, przy czym zostało to częściowo zrekomensowane 125 tys. migrantów). Jednak za połowę tego ubytku odpowiedzialny jest Centralny Okręg Federalny, obejmujący rdzennie rosyjskie ziemie, przy czym nastąpił w nim też największy przyrost ludności ze względu na wysoką migrację



Muzułmanie biorący udział w modlitwie przed meczetem w Moskwie podczas święta Id al-Adha, 11 sierpnia 2019 r.

FOT. MIKHAIL TERESHCHENKO/TASS/GETTY IMAGES

tylko dzięki napływowi 7 mln migrantów z postsowieckich mużułmańskich republik Azji Środkowej. Rosjanie nie mają przy tym złudzeń, że inni migranci coraz chętniej będą migrować na Zachód. Zjawisko to już zresztą zostało zaobserwowane w statystykach, a Rosja bez migrantów żyć nie może. Gdy kilka lat temu władze w środku zimy nakazały ponowną rejestrację wszystkich migrantów i musieli oni jednego dnia stać się w urzędach, Moskwa i Petersburg zostały sparaliżowane, gdyż nie miał kto odśnieżać ulic.

ZASTRZYK SŁOWIAŃSKIEJ KRWI

Dlatego właśnie Rosja coraz chętniej rozdaje swoje paszporty migrantom, co niekoniecznie budzi zachwyt większości etnicznych Rosjan, którzy do przybyszów z Kaukazu i ze środkowej Azji odnoszą się, delikatnie mówiąc, niechętnie. Zamieszki na tle antymigranckim wybuchały już w Rosji wielokrotnie, a badania socjologiczne wskazują na to, że rdzenni Rosjanie uważają, iż imigranci są odpowiedzialni za przestępstwa i szerzenie chorób oraz nie kryją swej niechęci do „czarnych”. Muzułmanie nie są też dopuszczani do najwyższych władz. Nie ma ich na kluczowych stanowiskach w wojsku czy służbach specjalnych. W Dumie wiceprzewodniczącym Jedynej Rosji jest Kabardyniec Adalbi Szhagoszew, a wiceprzewodniczącym Rady Federacji pochodzący z Dagestanu Ilias Umahanow i są to najwyższe stanowiska piastowane przez etnicznych mużułmanów. Ponadto na terenach nieetnicznie mużułmańskich, np. w Moskwie czy Petersburgu, choć są tam miliony mużułmanów, jest ledwie kilka meczetów.

Na 269 tys. nowych osób, które uzyskały obywatelstwo rosyjskie w 2018 r., 83 tys. to Ukraińcy, a 27 tys. Ormianie. Jednak to dopiero początek. W sierpniu rosyjskie władze ogłosiły, że wprowadziły uproszczoną procedurę przyznania obywatelstwa rosyjskiego, która obejmuje aż 3 mln Ukraińców. Jeżeli do tego dodamy prawie 2 mln słowiańsko-prawosławnych mieszkańców Krymu i kilkadziesiąt tysięcy innych prawosławnych, którym przyznano obywatelstwo rosyjskie w ostatnich latach, to mamy ogromny zastrzyk „słowiańsko-prawosławnej” lub przynajmniej „prawosławnej” krwi, której wchłonięcie przez Rosję ma zapobiec jej derusyfikacji. Ukraińca czy Białorusina łatwo zrusyfikować ze względu na kulturowo-językowe pokrewieństwo, a Czeczen, Tatar czy Baszkir nigdy nie staną się prawdziwymi Rosjanami, nawet jeśli

są zsovietyzowanymi ateistami. Choć to zsovietyzowanie budzi wątpliwości. Już w 2010 r. spis wykazał, że większość osób należących do tych narodów mówi w swoim języku ojczystym. Burzę wywołały też plany Tatarstanu wprowadzenia obowiązkowej nauki języka rosyjskiego. Przywódca tej republiki Rustam Minnichanow, choć jest członkiem Putinowskiej Jednej Rosji, promuje w Tatarstanie narodowe odrodzenie.

Z kolei czeczeński prezydent Ramzan Kadyrow, choć w Polsce uważany często za „człowieka Putina”, w rzeczywistości jest pijawką wysysającą pieniądze z Moskwy w zamian za formalną lojalność, wysyłanie swoich ludzi na różne wojny i wspieranie dobrych relacji z sunnickim światem islamu. Poza tym Kadyrow zaprowadza w Czeczenii porządku czeczeńskie, mużułmańskie, a nie rosyjskie i tym bardziej prawosławne. Na przykład gdy Moskwa zakazała w całej Federacji noszenia chust w szkołach, Kadyrow po prostu się temu nie podporządkował i parlament czeczeński przyjął ustawę o przeciwnej treści. W rzeczywistości istotą konfliktu wewnętrznego w Czeczenii nie jest nieistniejący problem rusyfikacji tego kraju, lecz spór między sufitami, do których należy ród Kadyrowów, i salafitami, którzy na Kaukazie są ciałem obcym. Popularność salafitów wynika jednak częściowo z politycznej uległości religijnych liderów tzw. tradycyjnego islamu. Na przykład w Tatarstanie liczbę salafitów ocenia się na 3 tys. Gdy w 2011 r. muftim Tatarstanu został Ildus Fajzow i zaczął usuwać tolerujących salafitów imamów, po roku został tak ciężko ranny w zamachu, że musiał ustąpić ze stanowiska.

RATUNKIEM ANEKSJA?

Kilka miesięcy temu wielki mufti Rafil Gajnnudtin ocenił populację mużułmańską w Rosji na 25 mln i stwierdził, że już w 2030 r. mużułmanie będą stanowić jedną trzecią mieszkańców Federacji Rosyjskiej. Nikt w Rosji nie ocenił tej prognozy jako czystej fantazji. Co więcej, niektórzy uważają, że odsetek ten będzie znacznie wyższy, a według innych prognoz do 2050 r. odsetek Rosjan w Rosji spadnie do 46,5 proc.

Jest jednak koło ratunkowe. Anektowanie Białorusi to 9,5 mln ludności prawosławno-słowiańskiej. A potem kolejne terytoria Ukrainy i kolejne miliony ludzi, których wchłoniąć mógłby rosyjski naród, spowalniając proces islamizacji i derusyfikacji.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tym, co uderza mnie za każdym razem, gdy przyjeżdżam do Izraela, jest liczba dzieci. Już w samolocie jest ich sporo, a gdy człowiek wysiadzie już z niego i pojedzie do Tel Awiwu czy Jerozolimy (a także do Cezarei Nadmorskiej czy Hajfy), widzi dziesiątki dzieci. Świeccy Izraelczycy mają ich troje, czasem czworo, ale widok rodziny i z pięciorgiem dzieci nie jest niczym zaskakującym, religijni zaś wędrują po ulicach Jerozolimy z sześciorgiem, siedmiorgiem, a czasem ośmiorgiem dzieci. I nie zawsze jest tak, że dzieci prowadzi matka, często widać ojców w chałatach, którzy jedną ręką trzymają wózek, drugą prowadzą małego, rocznego czy dwuletniego, brzdąca, i jeszcze poganiają kolejne dzieci, które już jedno prowadzą drugie. Tutaj wielodzietność nikogo nie szokuje i nawet miejscowe „lemingi” z dobrych telawiwskich dzielnic oprócz piaska mają zazwyczaj przynajmniej troje dzieci.

DEMOGRAFICZNA EKSPLOZJA

I żeby nie było, że moje obserwacje są wypaczone moją własną wielodzietną sytuacją czy zadowoleniem, że z moim pięciorgiem dzieci nie czuję się tu w żaden sposób dziwakiem, to warto przywołać dane. Taub Center for Social Policy Studies opublikowało w lutym 2019 r. statystyki, z których wynika, że Izrael ma najwyższy przyrost naturalny wśród państw członków OECD, a porównać go można tylko z amerykańskim baby boorem. Dla Polski, a nawet dla jakiegokolwiek kraju europejskiego, takie wskaźniki są nie do osiągnięcia. Tak się bowiem składa, że przeciętna Izraelka ma 3,1 dziecka. Dla porównania: przeciętna Polka miała w 2018 r. 1,4 dziecka, przeciętna Meksykanka – 2,15, a jeśli szukać krajów, w których wskaźniki są podobne do izraelskich, to będą to Egipt i Syria.

Gdy o tym komukolwiek mówię, natychmiast pojawia się stwierdzenie, że „dzietność robią” Izraelczykom ultraortodoksi. I choć oczywiście wśród nich dzietność jest najwyższa (wynosi ponad siedmioro dzieci na jedną kobietę – a weźmy pod uwagę, że również tam część kobiet jest bezpłodna), to i wśród świeckich Izraelczyków płodność jest zdecydowanie większa niż w jakimkolwiek kraju europejskim i wynosi dobrze ponad 2,5 dziecka na kobietę. Prosta zastępowalność pokoleń to wskaźnik 2,1.

Ciekawe też, że na liczbę dzieci nie mają wpływu takie czynniki jak wykształ-



Tomasz P. Terlikowski

Palestyńczycy, podkreślał jeszcze kilkanaście lat temu Jaser Arafat, pokonają Izrael płodnością swoich kobiet. I choć wtedy dane demograficzne wskazywały na to, że może mieć rację, to dziś już wiemy, że Izrael odwrócił trend i dziś jest potęgą, jeśli chodzi o dzietność

cenie czy wiek, w którym pierwsze z dzieci przychodzi na świat. Tak się bowiem składa, że zarówno dobrze wykształceni, jak i niewykształceni niereligijni Izraelczycy mają tyle samo dzieci, a choć ultraortodoksyjne i dobrze wykształcone Żydówki mają pierwsze dziecko zdecydowanie później niż ich niewykształcone ultraortodoksyjne współwyznawczynie, to po trzydziestce liczba dzieci w rodzinach jednych i drugich się wyrównuje.

Bez znaczenia jest także z perspektywy demograficznej wiek, w którym pierwsze dziecko przychodzi na świat. Tak się bowiem składa, że średnio wśród arabskich obywateli Izraela jest to 23. rok życia, a wśród Izraelek – 28. rok życia. Te pięć lat nie robi jednak różnicy w ogólnych statystykach i tak się składa, że Izraelki mają obecnie więcej dzieci niż Arabki z Izraela.

I tu dochodzimy do drugiego elementu, który zaskakuje. Otóż tak się składa, że



FOT. ARTUR WIDAK / NURPHOTO/GETTY IMAGES

przyznane są wszystkim tym, którzy mają izraelskie dokumenty, niezależnie od tego, czy są Palestyńczykami, Beduinami czy Druzami. Jeśli więc społeczność palestyńska wytraca demograficzny impet, to nie wynika to z kwestii finansowych.

DUMA Z BYCIA IZRAELCZYKIEM

Baby boom nie jest oczywiście jedynym zjawiskiem, które wzmacnia demograficznie Izrael. Dwadzieścia procent nowych obywateli tego państwa stanowi bowiem migranci. Tylko w 2018 r. do Izraela przybyło na stałe (i zgodnie z prawem o prawie do powrotu otrzymało obywatelstwo) 30 tys. Żydów. Część z nich uciekała przed rosnącym antysemityzmem w krajach zachodnich, a część odkryła swoją żydowską tożsamość i zdecydowała się ją realizować w Izraelu. I choć ta liczba nie jest jeszcze szokująca, to wiadomo, że Izrael podejmuje kolejne próby ściągania obywateli żydowskiego pochodzenia z krajów zachodnich. W grudniu roku 2018 ministerstwo diaspyry wraz z Krajową Radą Gospodarczą zasugerowało konieczność przygotowania gigantycznego programu przyciągnięcia do Izraela 200 tys. Żydów z Francji. Na razie większość francuskich Żydów nie jest zainteresowana przyjazdem na stałe do Izraela, ale na lotniskach i w żydowskich miejscach świętych widać ich coraz więcej, a narastający we Francji antysemityzm może przyspieszać ich decyzje.

Jednak w najbliższych latach to nie imigracja, ale rosnący wskaźnik urodzin będzie najważniejszy dla utrzymania zwycięstwa Izraelczyków w walce demograficznej z Palestyńczykami. Jak udało się go osiągnąć?

Pierwszą przyczyną jest ogromna rola, którą judaizm przypisuje dietności. Dzieci są tu – i to zarówno w rodzinach ultraortodoksów, jak i łagodniejszych ortodoksów czy neoortodoksów – traktowane jako dar Boży, którego się nie odrzuca. Laicycy Żydzi zaś, nawet jeśli nie utożsamiają się z syjonizmem czy jego rozmaitymi wersjami, mają gdzieś głęboko w głowach wpojone przekonanie, że posiadanie dzieci (i to wielu) jest ogromnym zwycięstwem nad Hitlerem i Holokaustem. Każde dziecko przypomina, że nie udało się wymordować narodu wybranego. Nie bez znaczenia jest także świadomość, że państwo Izrael funkcjonuje pośród morza wrogiego mu świata arabskiego, a jeszcze niedawno zagrażała mu demograficznie także wewnętrzna grupa arabska. Wszystko to razem uświadamia

Izraelczykom, że od tego, czy będą mieli dzieci, i to dużo dzieci, zależy przyszłość ich kraju. Izrael ma świadomość, że jest państwem frontowym, że stoi naprzeciw wielkiej społeczności arabskiej i muzułmańskiej, która za wszelką cenę chce go zniszczyć. Broń, nawet atomowa, sprawna armia, to za mało, żeby się obronić. Tutaj potrzebni są też obywatele. Armia, a służba w niej jest obowiązkowa także dla kobiet, wpaja im obowiązek poświęcenia dla ojczyzny. Odmowa posiadania dzieci byłaby więc, nawet z tej perspektywy, odmową służby ojczyźnie. Ojczyźnie, która jest wciąż egzystencjalnie zagrożona.

CZY POLSKA MOŻE TO SKOPIOWAĆ?

W Polsce, w odróżnieniu od Izraela, choć statystyki dzięki „500+” lekko drgnęły, nie widać nadziei na głęboką zmianę demograficznego trendu. A przecież jeśli nic się nie zmieni, to nasza przyszłość także jest zagrożona. W ciągu kilkudziesięciu najbliższych lat możemy stracić jedną trzecią obywateli i ze średniego państwa europejskiego przekształcić się w państwo dużo mniejsze. Drenaż mózgów, masowa emigracja także nie napawają optymizmem.

Czego Polska może nauczyć się od Izraela? Odpowiedź jest prosta. Pierwszą rzeczą jest dalsze tworzenie systemu podatkowego i finansowego przyjaznego dużym rodzinom. Tutaj nie chodzi o socjał, ale o to, by duże, dobrze zarabiające rodziny płaciły o wiele niższe podatki (albo nie płaciły ich wcale), żeby na każde dziecko powyżej drugiego przysługiwały spore zapomogi (bo do pierwszego dziecka nie trzeba Polek zachęcać), by stworzyć system pozwalający łączyć pracę z wychowaniem dzieci (choćby za sprawą krótszego dnia pracy dla matek, możliwości wykonywania pracy z domu itd.). Jeszcze istotniejsza do wykonania jest jednak praca formacyjna. Trzeba pokazać, że wielodzietność jest normą, jest wyzwaniem, ale też szczęściem, i że jeśli chce się służyć ojczyźnie, to poza bieganiem po lesie z karabinami (co jest ważne), poza segregacją śmieci, wspomnianiem przeszłości (celowo pokazując różne przestrzenie zaangażowania) warto mieć dzieci. Dużo więcej dzieci niż w tej chwili. Jeśli tego nie zrobimy, to na nic się zda upamiętnianie przeszłości, bo nie będziemy mieć przyszłości. Izrael postawił na demografię, formuje do niej, Polska – jeśli ma przetrwać – musi zrobić to samo.

TEST „DO RZECZY”: GALAXY NOTE 10+

Niesamowity, olbrzymi ekran Dynamic AMOLED, świetne aparaty fotograficzne, wydajność niczym z prawdziwego komputera oraz dobre słuchawki AKG w zestawie – to główne zalety najnowszej odsłony serii Note.

Note 10+ jest elegancki, smukły i świetnie wykonany. Cienkie metalowe ramki łączą ze sobą dwie tafle zagiętego szkła Corning Gorilla szóstej generacji. Jeżeli ktoś jednak liczyłby na jakieś fajewerki – np. wysuwana niczym płetwa rekina kamera do selfie – to w tym modelu niczego takiego nie znajdzie. To bowiem telefon stworzony raczej z myślą o biznesmenie niż o rozpieszczonym nastolatku z bogatego domu. Obudowa otrzymała za to certyfikat IP68 – teoretycznie smartfon więc możemy wrzucić do basenu na głębokość 1,5 m i przez 30 minut nic nie powinno mu się stać.

Jedną z największych zalet testowanego modelu jest piękny wyświetlacz o przekątnej 6,8 cala. Dynamic AMOLED o rozdzielczości 1440 x 3040 pikseli. Obraz jest ostry i pełen detali, barwy naturalne, a czerń naprawdę głęboka. Bardzo wysoki jest współczynnik kontrastu. Na pochwałę zasługuje też maksymalna jasność ekranu, dzięki której wyświetlane treści są czytelne nawet w silnym słońcu. Miłośnicy oglądania filmów na smartfonowym ekranie docenią też wsparcie dla wyświetlania treści w standardzie HDR10+. Świetny jest również poczwórny główny aparat fotograficzny z tyłu. Zrobione nim zdjęcia są wysokiej jakości, pełne szczegółów i o naturalnych kolorach. Nieźle sprawdza się też tryb nocny.

Piętym aparatem z przodu można zrobić zaś przyzwoite selfie.

Duże wrażenie robi także specyfikacja podzespołów. Wydajny ośmiordzeniowy procesor Samsung Exynos 9825, bardzo szybki LTE 20. kategorii, aż 12 GB pamięci RAM oraz 256 lub 512 GB pamięci wewnętrznej. Dodatkową zaletą jest możliwość zainstalowania jeszcze karty pamięci microSD o pojemności do 1 TB. Miejsca na zdjęcia długo więc nie zabraknie (zastosowano gniazdo hybrydowe, więc korzystamy albo z karty pamięci, albo z drugiej karty SIM).

Do serii „notesów” od lat przyciąga klientów również funkcjonalny rysik Galaxy S, którym można nie tylko swobodnie pisać po ekranie (Samsung sprawnie radzi sobie z zamianą pisma ręcznego na tekst maszynowy i eksportem do Worda), lecz także przewijać listę odtwarzanych utworów, robić zdjęcia czy zmieniać slajdy w prezentacji.

Na pochwałę testowanego modelu zasługuje również bateria o pojemności 4300 mAh, dzięki której smartfon z tak potężnym ekranem spokojnie wytrzyma na jednym ładowaniu cały dzień intensywnej pracy. Note 10+ obsługuje także szybkie ładowanie przewodowe, a także ładowanie bezprzewodowe (dużo wolniejsze, ale za to flagowy model Samsunga może służyć jako indukcyjna ładowarka dla innych urządzeń: telefonów czy zegarków).



Wady? W Note 10+ brakuje nie tylko złącza słuchawkowego minijack 3,5 mm, lecz nawet przejściówki z USB-C na minijacka. Na szczęście w zestawie jest oryginalny zestaw bardzo przyzwoitych słuchawek AKG. Ponarzekać można również na brak diody powiadomień oraz skanera siatkówki oka, a także na ultradźwiękowy czytnik linii papilarnych (działa niezawodnie, ale wolniej niż czytniki we flagowcach konkurentów). Irytujące dla niektórych może być też to, że Bixby – osobisty asystent stworzony przez Samsunga – nadal nie włada językiem polskim.

Mimo tych minusów Note+ to i tak jeden z najlepszych smartfonów dostępnych obecnie na rynku. Cena: ok. 4,4 tys. zł. ©©

Jacek Przybylski

INSTRUMENT JAK GREJPFRTUT

Wygląda jak połówka grejfruta. A jest? Prostym, niewielkim instrumentem do zabawy w tworzenie muzyki tylko przy użyciu palców. Fajna rozrywka w przerwie biurowej pracy. W przerwie – podkreślam.

Orba to przenośny kontroler syntezy, pętli i MIDI, który umożliwia tworzenie utworów w kilka sekund. Minimalistyczny projekt Orby przypomina skrzyżowanie kontrolera gier i połówki owocu, jest wrażliwy na dotyk, co pozwala na przełożenie gestów z palców i rąk bezpośrednio na dźwięk. Wybieramy, czy urządzenie ma odtwarzać (zapisać) dźwięk na przykład gitary czy perkusji, uderzamy palcami i...

„komponujemy”.

Urządzenie kosztuje w podstawowej wersji ok. 350 zł, zamawiać można na Kickstarterze, a dostawa w kwietniu przyszłego roku.

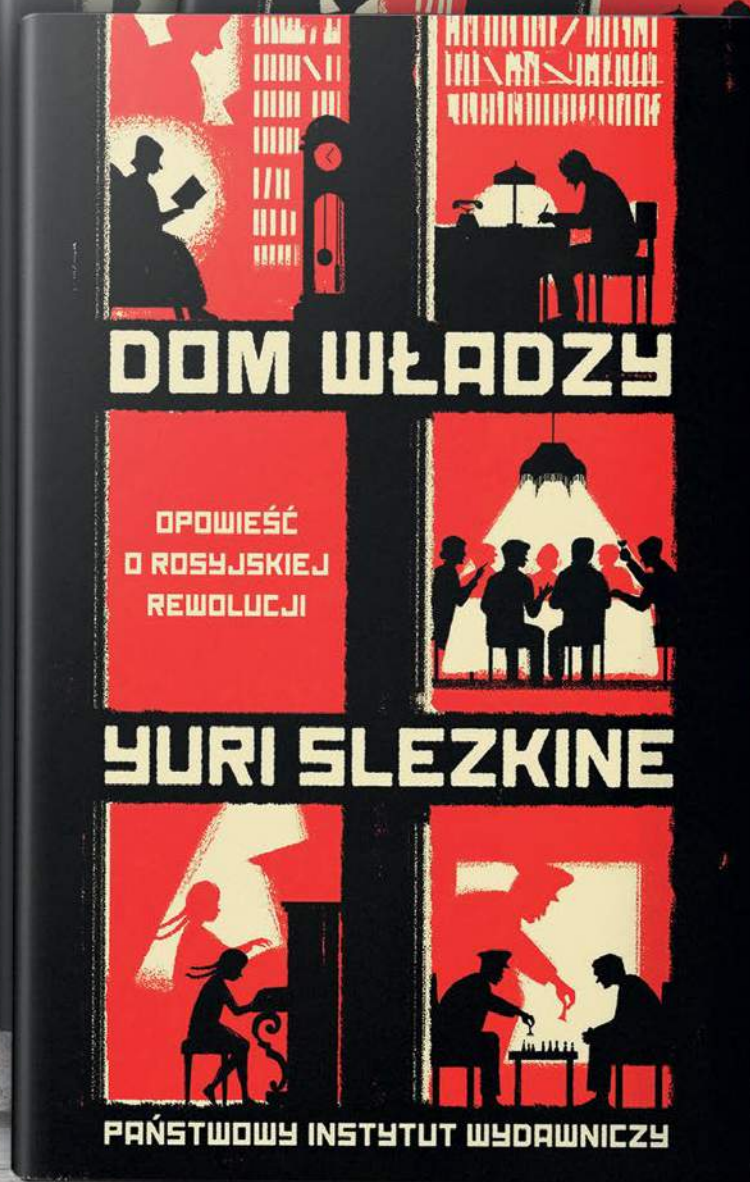


KOLEJNY ELEKTRYCZNY SKUTER

Elektryczne rowery, hulajnogi i skutery. Jest tego trochę na rynku. Ten akurat uderza minimalistycznym designem. Skuter Raine One jedzie z szybkością ok. 30 km/godz., może rozpędzić się na prostym terenie nawet do 50 km/godz., ma specjalne nocne i dzienne oświetlenie, a sterowany jest prostym ekranem dotykowym umieszczonym przy obudowie kierownicy.

Kosztuje ok. 3 tys. zł, zamawiać można na Kickstarterze, a dostawa w maju przyszłego roku. ©©

Wojciech Wybranowski



ŚWIATOWY BESTSELLER JUŻ W POLSCE

Znakomita wiwisekcja sowieckiego reżimu ukazana przez pryzmat losów lokatorów „Domu władzy” – budynku, w którym mieszkali przedstawiciele najwyższych władz partii. Kariery, dramaty rodzinne, aresztowania, łagry, kary śmierci. A jednak bolszewicy to też ludzie...

Pierwsze polskie wydanie książki, która zachwyciła recenzentów „The New Yorker”, „The Washington Times”, „London Review of Books” czy „The Guardian”.



Państwowy
Instytut
Wydawniczy

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano
ze środków
Ministra Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Książka dostępna na piw.pl

oraz w księgarni Państwowego Instytutu Wydawniczego na ul. Foksal 17 w Warszawie.

eprasa.pl_f06fba98bb

(Nie)bezpieczna technologia?



Tomasz Cukiernik

5G to piąta generacja technologii sieci bezprzewodowej. Ma być szybsza, inteligentniejsza i mniej energochłonna niż sieć 4G. Smartfony będą znacznie szybciej pobierać dane, z siecią będzie się mogło łączyć więcej urządzeń, a technologia ma rozwijać tzw. Internet rzeczy

Z siecią 5G łączą się rowery, samochody, kamery monitoringu czy żarówki albo zabawki, a nawet będzie możliwość wprowadzenia telechirurgii czy inteligentnych leków. We wspólnym opracowaniu Ministerstwa Cyfryzacji, Instytutu Łączności i Collegium Medicum UJ czytamy, że sieć 5G „to szansa na rozwój Polski, to warunek wzrostu konkurencyjności naszej gospodarki i tworzenia nowych miejsc pracy”.

FUNDAMENT CZWARTEJ REWOLUCJI PRZEMYSŁOWEJ

Przygotowana przez Ministerstwo Cyfryzacji nowelizacja ustawy o wspieraniu rozwoju usług i sieci telekomunikacyjnych, która na początku września została podpisana przez prezydenta Andrzeja Dudę, nie wprowadza sieci 5G. Ma ona natomiast umożliwić i ułatwić jej wdrożenie przez operatorów. Dlatego obniża koszty inwestycji w infrastrukturę telekomunikacyjną, takie jak opłaty za zajęcie pasa drogowego. Ustawa ma także ułatwić budowę infrastruktury w lasach oraz zezwala na jej lokalizowanie w uzdrowiskach, parkach narodowych i rezerwatach przyrody. Umożliwia budowę infrastruktury 5G nawet wbrew potrzebom i decyzjom samorządów. Ponadto ustawa przenosi kompetencje w zakresie ustalania norm dotyczących ekspozycji na promieniowanie elektromagnetyczne z ministra środowiska na ministra zdrowia, co ma prawdopodobnie doprowadzić do 100-krotnego podnie-

sienia tej normy. To umożliwi zbudowanie gęstej sieci nadajników 5G. – Sieć 5G ma być fundamentem czwartej rewolucji przemysłowej przenoszącej gospodarkę na zupełnie inny poziom – mówił w radiowej Jedynce Piotr Wołejko, ekspert Pracodawców RP.

Sieć ta posługuje się nowym protokołem transmisji, co powoduje konieczność zakupu przez użytkowników nowego, kosztownego smartfona czy tabletu. Paweł Wypychowski, ekspert Instytutu Spraw Obywatelskich, w raporcie pt. „Megastawa 5G. Czy ta księga rzeczywiście jest biała?”, wylicza, że korzystanie z 5G będzie kosztowało Polaków ok. 200 mld zł, zapłaconych operatorom i producentom sprzętu. Natomiast państwo na przestrzeni lat zyska 20 mld zł z aukcji sprzedaży częstotliwości, z czego 3 mld zł trafi do Funduszu Szerokopasmowego. Ustawa tworzy też Fundusz Szerokopasmowy z budżetem ok. 140 mln zł rocznie, który ma umożliwić przyspieszenie równomiernego rozwoju nowoczesnych sieci łączności elektronicznej. W rzeczywistości, jak pisze Wypychowski, „te 3 mld zł z wpłat za licencje trafi w całości z powrotem do operatorów w postaci państwowego wsparcia finansowego i marketingowego”.

W związku z obawami przed promieniowaniem elektromagnetycznym, a także pod wpływem raportu NIK rządzący zdecydowali, że Instytut Łączności i Centrum Projektów Polska Cyfrowa mają zbudować system publicznej informacji o polu

elektromagnetycznym (PEM), w ramach którego będzie można sprawdzić poziom natężenia tego pola. Jednak zdaniem przeciwników ustawy będzie to system dezinformacji społeczeństwa, gdyż będzie on bazował na deklaracjach operatorów. Nowelizacja poprawia też system nadzoru państwa nad operatorami telekomunikacyjnymi i stacjami bazowymi telefonii komórkowej wytwarzającymi PEM.

BRAK DOWODÓW

Rosną jednak obawy o bezpieczeństwo nowej technologii. W białej księdze Ministerstwa Cyfryzacji pt. „Pole elektromagnetyczne a człowiek” czytamy, że „nie są znane żadne bezspornie potwierdzone mechanizmy bezpośredniego, nietermicznego wpływu mikrofal na rozwój choroby nowotworowej”. Jednym słowem, sieć 5G będzie działać dopóty, dopóki nauka nie udowodni, że jest szkodliwa, co może trwać latami. Tymczasem Wypychowski logicznie sugeruje, że producenci i operatorzy wprowadzający tę technologię na obszar Polski, czerpiący korzyści finansowe z tego tytułu, powinni najpierw udowodnić bezpieczeństwo technologii 5G dla zdrowia i życia. – Dla każdej nowej technologii, której skutków zdrowotnych nie umiemy przewidzieć, odpowiedzialne społecznie postępowanie nakazuje w pierwszym rzędzie wstrzymanie się z jej rozwojem do czasu, kiedy pojawią się przekonujące i akceptowalne społecznie dowody jej bezpieczeństwa – uważa Wypychowski.

Jeszcze ostrzej opisuje temat Koalicja Polska Wolna od 5G, której przedstawiciele uważają, że ustawa „umożliwi bezprecedensowe zwiększenie skażenia elektromagnetycznego środowiska oraz pozwoli przemysłowi telekomunikacyjnemu wprowadzić w Polsce nieprzebadaną technologię 5G”. Organizacja podkreśla, że „5G jest narzucane obywatelom bez konsultacji lub jakiegokolwiek odniesienia do zasady ostrożności” i że „obywatele będą królikami doświadczalnymi w tym niebezpiecznym eksperymencie, a środowisko naturalne ulegnie degradacji na niespotykaną dotąd skalę, bowiem sztuczne PEM stanowi zagrożenie nie tylko dla zdrowia i życia ludzi, lecz również zwierząt, owadów i roślin”. W związku z tym Koalicja domaga się moratorium na 5G do czasu, aż badania przeprowadzone przez naukowców niezależnych od przemysłu nie wykażą ponad wszelką wątpliwość, że technologia ta jest bezpieczna dla ludzi i środowiska.

Sceptyków uspokaja dr Jacek Wszółek z Katedry Telekomunikacji AGH, który w rozmowie z PAP wyjaśnił, że w technologii 5G stacji bazowych ma być znacznie więcej, ale właśnie dzięki temu sygnał ma być emitowany z mniejszą mocą, bo fala radiowa będzie musiała dotrzeć na znacznie mniejsze odległości niż w przypadku 4G. Zdaniem dr. Wszółki dzięki technologii kształtowania wiązki sygnał radiowy może być precyzyjnie wysyłany w kierunku użytkownika, co oznacza, że nie będzie on – jak to jest obecnie – oddziaływał na wszystkich użytkowników znajdujących się w danej komórce.

Doktor Wszółek podkreśla, że w przypadku częstotliwości w sieciach 5G nie ma żadnych dowodów naukowych ani potwierdzających, ani obalających ich szkodliwość. „Na podstawie analizy dostępnych – choć nielicznych – danych o potencjalnych zagrożeniach dla zdrowia można stwierdzić, że nie ma dowodów na negatywne skutki zdrowotne ekspozycji na EFM (elektromagnetyczne fale milimetrowe z zakresu 15–100 GHz) o wartościach, jakie spodziewane są na podstawie szacunkowych danych technicznych wokół urządzeń nadawczych systemów 5G” – czytamy w raporcie Narodowego Programu Zdrowia pt. „Oddziaływanie elektromagnetycznych fal milimetrowych na zdrowie pracowników projektowanych sieci 5G i populacji generalnej”, przygotowanym pod redakcją prof. Konrada Rydzyńskiego z Instytutu Medycyny Pracy w Łodzi. – 5G to technolo-

gia, która korzysta z tych samych zjawisk co obecna 4G. Jeśli ktoś się jej obawia, to powinien się też obawiać technologii, z której już korzysta – mówiła w RMF FM wiceminister cyfryzacji Wanda Buk.

KE NIE WIDZI PROBLEMU

Profesor Henryk Banach z Politechniki Lubelskiej wskazuje jednak na negatywny wpływ PEM na zdrowie człowieka. Niektórzy naukowcy uważają, że efektem stałego narażenia na promieniowanie elektromagnetyczne mogą być takie choroby jak nowotwory, uszkodzenie genów i układu odpornościowego, bezpłodność, choroba Alzheimera czy autyzm. Ministerstwo Zdrowia przytacza prace zagranicznych naukowców, którzy potwierdzają związek przyczynowo-skutkowy pomiędzy polem elektromagnetycznym emitowanym przez telefon komórkowy a występowaniem glejaka. – Ten rodzaj promieniowania zwiększa szkody w naszym DNA, a jeśli DNA jest uszkodzone, to znacznie zwiększa się ryzyko nowotworu – mówi dr Anthony Miller, emerytowany profesor uniwersytetu w Toronto. Z kolei naukowcy ze Szwajcarskiego Instytutu Zdrowia Publicznego udowodnili, że regularne korzystanie ze smartfonów powoduje pogorszenie pamięci u nastolatków.

Międzynarodowa Agencja Badań nad Rakiem w 2011 r. zakwalifikowała promieniowanie elektromagnetyczne do grupy czynników potencjalnie rakotwórczych, co potwierdziły badania Krajowego Programu Toksykologicznego amerykańskiego Departamentu Zdrowia z 2018 r. Doktor Jacek J. Nowak, emerytowany profesor Szkoły Wyższej im. B. Jańskiego, w liście do parlamentarzystów wskazał, że liczne badania naukowe potwierdzają wysokie prawdopodobieństwo fatalnych skutków technologii 5G na zdrowie ludzi i środowisko. Niektórzy straszą nawet, że sieć 5G ma na celu depopulację Ziemi. W 2017 r. emerytowany profesor Rainer Nyberg z Finlandii oraz prof. Lennart Hardell z Zakładu Onkologii Wydziału Medycyny i Zdrowia Szpitala Uniwersyteckiego w Örebro w Szwecji napisali list do Komisji Europejskiej, w którym domagają się wstrzymania wdrażania sieci 5G dopóty, dopóki badania przeprowadzone przez niezależnych naukowców nie wykażą, że technologia ta jest bezpieczna dla ludzi i środowiska. Dotychczas pod listem podpisało się ok. 250 naukowców i lekarzy z ponad 40 krajów. Apel doczekał się dwóch odpowiedzi ze strony KE. Czytamy

w nich, że opinia niezależnych naukowców ze stycznia 2015 r. przygotowana dla Komisji nie dostarczyła uzasadnienia dla zmiany limitów dotyczących narażenia na działanie pola elektromagnetycznego, a unijne normy ekspozycji na to pole mają zastosowanie do wszystkich zakresów częstotliwości przewidzianych dla 5G.

KE zdecydowała również, że do 2020 r. sieć 5G ma być dostępna w co najmniej jednym mieście w każdym kraju członkowskim, a do 2025 r. wszystkie kraje UE mają mieć szerokie pokrycie tą siecią. W uzasadnieniu omawianej ustawy napisano, że zniwelowanie obciążeń administracyjno-prawnych, proceduralnych i finansowych jest warunkiem realizacji przez Polskę m.in. zobowiązań w zakresie zapewnienia dostępu do nowoczesnych usług telekomunikacyjnych, wynikających z członkostwa w UE.

LIDEREM RZESZÓW

Jako pierwsze na świecie sieć 5G na początku kwietnia br. uruchomiły telekomunikacyjne w Korei Południowej. W Europie standard ten działa w Tallinnie, stolicy Estonii, i Tampere w Finlandii. Sieć ta już funkcjonuje lub będzie wkrótce działała w USA, Wielkiej Brytanii, Szwajcarii, Niemczech, Chinach, Japonii, Rosji, Turcji czy Katarze. Z kolei władze Brukseli przeciwstawiły się uruchomieniu 5G z uwagi na możliwe negatywne skutki zdrowotne. Jak podkreśla wiceminister Buk, to, kiedy technologia pojawi się w Polsce, zależy od operatorów. Przed szereg wyszły natomiast władze Rzeszowa, które już podpisały list intencyjny w sprawie pierwszej publicznej sieci 5G. W jej ramach mają zostać uruchomione autonomiczne autobusy i drony monitorujące bezpieczeństwo, szybki dostęp do Internetu w środkach komunikacji czy systemy wirtualnej rzeczywistości.

Przez Polskę przetoczyły się protesty przeciwko wprowadzeniu sieci 5G, w tym przed siedzibą PAP, gdzie manifestanci sprzeciwiali się blokadzie informacji na ten temat. – Widzę szanse rozwojowe dla Polski w związku z powstającymi miejscami pracy, ale to nie może być kosztem zdrowia ludzi – mówi poseł Jarosław Sachajko, opowiadając się za zastosowaniem zasad przezorności i prewencji w tej sprawie. Dlatego przeciwnicy sieci 5G proponują, by do czasu dokładnego zbadania problemu zamiast technologii bezprzewodowej rozbudowywać Internet w oparciu o światłowody.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Jaki budżet jest dobry?

Czy zrównoważony budżet państwa na 2020 r. odejdzie od historii, zanim ten rok się zacznie?

Kilka tygodni przed wyborami, pod koniec sierpnia 2019 r., rząd poinformował o chęci skonstruowania przyszłorocznego budżetu w postaci zrównoważonej, czyli bez deficytu. To miał być pierwszy taki budżet w historii III RP. Od początku tych starań było jasne, że nie pozostają one bez związku z nadchodzącymi wyborami i mają przekonać wyborców o poważnym traktowaniu przez rząd także kwestii zrównoważonych finansów publicznych.

Nikt z władz już wtedy specjalnie nie ukrywał też, choć się tym nie chełpił, że taki zbalansowany budżet na 2020 r. nie byłby możliwy do zaplanowania, a tym bardziej do zrealizowania, gdyby nie wielomiliardowe jednorazowe wpływy, które właśnie w przyszłym roku mają zasilić kasę państwa – m.in. z tzw. opłaty przekształceniowej OFE. A także gdyby nie nowe, zaplanowane na 2020 r. rodzaje wpływów fiskalnych. Jednym z nich, który miał zapewniać budżetowi od 2020 r. po kilka miliardów złotych rocznie, miały być pieniądze ze zlikwidowania limitu zarobków w wysokości 30-krotności średniej pensji, po przekroczeniu którego nie płaci się dziś składek do ZUS. Piszę: miały być, bo – jak wiadomo – wskutek protestów wielu organizacji biznesowych i związkowych, a także polityków Porozumienia Jarosława Gowina – partii zapewniającej Zjednoczonej Prawicy więk-

szość w Sejmie – od pomysłu tego (na razie?) odstąpiono.

Niewykluczone, że w związku z tym – z konieczności – odstąpić też trzeba będzie od pomysłu zaplanowania zrównoważonego budżetu na rok 2020, choć premier zapewnia, że starania o to, aby tak się nie stało, trwają. Niestety, obawiam się, starania nie aż tak daleko idące, by rząd zechciał w tym celu przyciąć wydatki, np. na nazbyt rozszerzone w 2019 r. prawo do „500+” – na każde dziecko bez względu na wysokość dochodów rodziny. Jeśli się więc nie mylę – a bardzo chciałbym się w tej sprawie mylić, to wkrótce zapowiedź o budżecie zrównoważonym na rok 2020 pozostanie już tylko ambitną zapowiedzią.

Wszelako – jak o tym napisałem kilka miesięcy temu – tuż po ogłoszeniu zapowiedzi sformułowania projektu zrównoważonego budżetu na 2020 r.: „Najważniejsze, iż swą deklaracją o jego przygotowaniu premier przyznał, że długi, zadłużanie się, a więc życie na kredyt – ponad stan, są złem; czasami – np. w czasie recesji – złem koniecznym, wszelako złem. A zasadą, którą powinny się kierować władze poważnie myślące o przyszłości państwa, jest niezadłużanie go”.

I mam cichutką nadzieję, że mimo fiaska, którym – wiele na to wskazuje – skończy się historia pierwszego zrównoważonego budżetu Polski, tamta deklaracja pozostanie w mocy: że dobry budżet to budżet zrównoważony, a budżet najlepszy – to taki z nadwyżką. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Polityczny wiek emerytalny

Demokracja to ustrój, w którym obywatele wybierają taki parlament i prezydenta, którzy realizują program zgodny z preferencjami większości wyborców. Oczywiście w wielu krajach mamy inny ustrój, czyli demokrację medialną. W demokracji medialnej na ważne funkcje publiczne wybiera się osoby, które są popularne w mediach i mają znane nazwiska. W demokracji medialnej program wyborczy nie ma większego znaczenia, liczą się osobowość, wizerunek, charyzma i osobiste poglądy polityka lub celebryty startującego w wyborach. Demokracja medialna ma tyle wspólnego z demokracją co pole minowe z polem.

Krytycy demokracji twierdzą, że przeciętny wyborca nie rozumie złożoności procesów gospodarczych oraz społecznych i jest rozszczeniowy, a w konsekwencji ten ustrój w czystej formie prowadzi do patologicznych wyborów i populistycznych rządów. Dlatego preferują demokrację medialną, w której elity, tzw. superklasa, może lansować swoich polityków, którzy realizują jej agendę.

Ostatnie dekady pokazały jednak, że interesy „superklasy” prowadzą do zubożenia klasy średniej, baniek kredytowych, zwiększenia nierówności dochodowych. Efektem wdrażania agendy „superklasy” są też ujemne stopy procentowe, co niszczy oszczędności klasy średniej. A to w dłuższym okresie może mieć skutki podobne do tych, które znamy z faszystowskiej III Rzeszy.

Dlatego potrzebna jest dyskusja, czy większą szkodę czynią mechanizmy demokratyczne i populizm, czy rządy demokracji medialnej i możliwe pojawienie się neofaszyzmu. W tym kontekście ważnym wątkiem jest wiek emerytalny. Większość wyborców, która popierała obniżenie wieku emerytalnego do 60/65 lat, z pewnością poprze propozycję przejścia na emeryturę po 35/40 latach pracy. Dzięki temu pokolenia 50-latków i starszych będą mogły się cieszyć wyższym standardem życia, ponieważ będą mogły pracować i jednocześnie pobierać emeryturę. Podobnie zadziałała propozycja „500+”, która pozwoliła PiS wygrać dwukrotnie wybory. I dlatego PiS nie musi obawiać się PO, bo ludzie tej partii już nigdy nie wybiorą, bo boją się, że podniesie wiek emerytalny i zlikwiduje „500+”. Natomiast konkurencją dla PiS jest Lewica, która o takie działania nie będzie podejrzywana.

Jednocześnie ekonomiści i demografowie wiedzą, że propozycja emerytur stażowych to obciążenie dla finansów publicznych i w długim okresie system przetrwa tylko, jeśli wzrost gospodarczy będzie bardzo wysoki i liczba osób aktywnych zawodowo będzie rosła. Niestety, dzietność w Polsce pozostaje bardzo niska, a gospodarka właśnie zwalnia i nie wiemy, czy jest to przejściowe, czy trwałe. Dlatego finanse publiczne uratują przed bankructwem pracujący emeryci. ©©

Author pełni funkcję chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

LIMUZyna DLA EKOLOGÓW

Polacy coraz chętniej kupują limuzyny. Według danych IBRM Samar od stycznia do października tego roku najczęściej zamawiane było BMW serii 5 (2234 egzemplarze, co oznacza wzrost aż o 10,2 proc.), przed Toyotą Camry oraz Audi A6.

Wśród różnych wersji „piątek” BMW oferuje m.in. hybrydowy model BMW 530e, którego średnie spalanie w cyklu mieszanym wynosi według producenta zaledwie 1,9 l/100 km. Limuzyna z napędem hybrydowym plug-in (łącącym silnik elektryczny z 4-cylindrowym silnikiem benzynowym TwinPower Turbo) o łącznej mocy 252 KM może się sprawdzić zwłaszcza w mieście. Na samym prądzie przejechać można bowiem teoretycznie ok. 45 km (praktycznie ok. 35 km). Jeśli więc proekologiczny prezes lub menedżer będą ładowali limuzynę w domu i w biurowym garażu, to spokojnie będą mogli całymi dniami jeździć zupełnie bezemisyjnie, a także wyjątkowo tanio. Akumulator w pełni naładować można w niecałe pięć godzin, chyba że do limuzyny dokupi się specjalną domową ładowarkę – wówczas czas ładowania spadnie do niecałych czterech godzin.

Oczywiście jeśli chcemy wyjechać na autostradę i cieszyć się dynamiczną jazdą, to możemy zapomnieć o spalaniu niecałych 2l/100 km – wówczas należy spodziewać się średniego spalania ok. 8 l/100 m, co i tak jest świetnym wynikiem. Niezależnie od tego, czy jeździmy po mieście czy w trasie, we wnętrzu auta



możemy spodziewać się przyjemnej ciszy. Dzięki niskiemu zawieszeniu hybrydowa „piątka” pozbawiona jest też typowej wady „elektryków”, czyli problemów z dynamicznym pokonywaniem serpentyn. W przypadku BMW 530e wysoka masa własna kompletnie nie przeszkadza. Auto ma precyzyjny układ kierowniczy i rewelacyjnie zestrojone zawieszenie. 530e xDrive powinno więc spodobać się nawet tym, którzy nie mają możliwości tak częstego podłączania auta do gniazdka z prądem. Zwłaszcza że przyspiesza od zera do 100 km/godz. w zaledwie 6,2 s.

W luksusowej kabinie królują nowoczesny design i niemiecki minimalizm. Ponad 10-calowy wyświetlacz systemu multimedialnego można obsługiwać za pomocą klasycznego pokręta iDrive, dotykowo, a także głosowo lub za pomocą gestów.

Wadą wersji hybrydowej jest mniejszy bagażnik niż w klasycznych wersjach (410 l) oraz mniejszy zbiornik paliwa (tylko 46 l).

Cena 530e z automatyczną skrzynią biegów i napędem na jedną oś zaczyna się od 241,1 tys. zł, a napędem xDrive – 251,8 tys. zł.

E-CIĘŻARÓWKA DLA RODZIN



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

Miłośnicy masywnych elektryków już wkrótce będą mieli do wyboru więcej modeli niż tylko Teslę Cybertruck. Neuron EV zaprezentowało prototyp modelu T-One, którego nazwa ma być połączeniem ciężarówki (Truck) oraz samochodu łączącego cechy pickupa oraz rodzinnego vana.

Równie intrygujące jak nadwozie jest wnętrze tego pojazdu przyszłości z kierowcą siedzącym pośrodku auta. Projektanci mają nadzieję, że T-One trafi w gusta młodych profesjonalistów w wieku od 30 do 50 lat, którzy „używają technologii, aby wieść dynamiczny styl życia”.

W POLSCE PRZYBYWA „ELEKTRYKÓW”

541 samochodów elektrycznych zarejestrowano w Polsce w III kwartale obecnego roku – wynika z danych Europejskiego Stowarzyszenia Producentów Samochodów ACEA. W stosunku do III kwartału 2018 r. wzrost wynosi aż 83 proc. Mimo to taki wolumen sprzedaży sprawia, że Polska zajmuje zaledwie 16. miejsce wśród wszystkich krajów Unii Europejskiej. Najwięcej nowych „elektryków” rejestrują Niemcy (niemal 27 tys. sztuk w III kwartale 2019 r.), Brytyjczycy (21 tys.) oraz Norwegowie (17,6 tys.). Z 541 samochodów 245 stanowiły pojazdy w pełni elektryczne, a 296 – hybrydy plug-in. Od początku stycznia do końca września Polacy zarejestrowali w sumie 1815 samochodów elektrycznych (w pełni elektrycznych oraz hybryd plug-in). Ich łączny udział w rejestracji wszystkich nowych aut osobowych wynosi jednak tylko 0,44 proc. Rynek aut elektrycznych ma jednak rozkręcić plan szybkiej rozbudowy sieci stacji ładowania. © ©

Jacek Przybylski

HISTORICAL
COLLECTION

ORP ORZEŁ

Scale 1:100
1240

SUPERMARINE SPITFIRE MK. VB

280

www.cobi.pl

cobi.zabawki
CobiToysUSA

Cobi_Toys

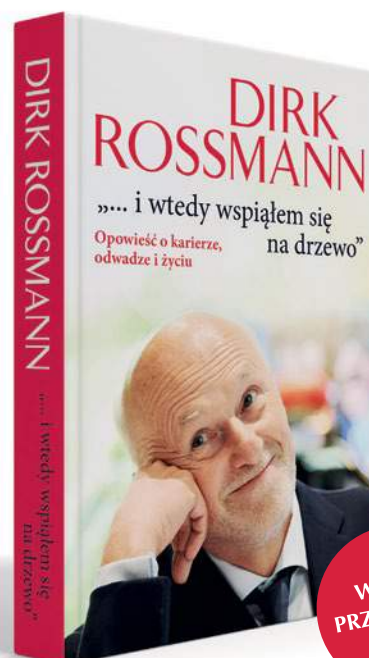
cobi.zabawki
cobi.toys

COBI SA

Opowieść człowieka, którego **nazwisko** **stało się marką**

Dla większości ludzi Rossmann to po prostu nazwa ulubionej drogerii. Niewielu wie, że Rossmann (Dirk Rossmann) to również oddany mąż i ojciec, wierny przyjaciel, szanujący konkurentów biznesmen, zaangażowany społecznik. Książka „... i wtedy wspiąłem się na drzewo” w szczerzy i fascynujący sposób pokazuje wszystkie twarze Dirka Rossmanna.

Nr 1 na liście bestsellerów tygodnika der Spiegel



**WARTO
PRZECZYTAĆ
!!!**

Shimmer Stars – Błyskotki

Kolekcja 4 przepięknych pluszaków. Każdy w zestawie z uroczymi ozdobami, dzięki którym można ozdabiać nie tylko swojego pupila, ale i siebie. Ozdoby (w tym brokatowe cekiny) nadają się do wielokrotnego użytku. Cekiny z włosów można łatwo wycesać grzebieniem. Do wyboru: kotek, piesek, jednorożec i panda.



Magia Gwiazd, zabawka interaktywna

Uruchom Księżycowy Projektor w zaciemnionym pokoju i zobacz, jak na ścianach pojawiają się gwiazdy. Użyj różdżki, by je jak najszybciej złapać!

Magia Gwiazd to fantastyczna gra, która korzystnie wpływa na rozwój umiejętności zręcznościowych oraz sprytu dziecka, a także oswaja z ciemnością. By ułatwić dziecku zasypianie, projektor z zestawu można przełączyć w tryb lampki nocnej, która emituje delikatne światło i odtwarza wyciszającą muzykę. W trybie lampki nocnej projektor wyłącza się automatycznie po 10 minutach.

Łowca Duchów Piraci, zabawka interaktywna

Gra dla wszystkich, którzy chcą przeżyć przygodę, jak z filmu o piratach. Rozwijają umiejętności zręcznościowe, spryt i oswajają z ciemnością. Statek piracki wyświetla w pomieszczeniu zjawy piratów, które trzeba ustrzelić, by zebrać złote monety i zdobyć skarbiec. Produkt wydaje niesamowite efekty dźwiękowe, dzięki czemu poczujesz się jak prawdziwy pogromca duchów!



Luna – Bajkowy Jednorożec

Interaktywny jednorożec, który opowiada trzy – znane i kochane przez dziewczynki na całym świecie – bajki: „Małą Syrenkę”, „Kopciuszka” oraz „Rozpunkę”! Ponadto przepięknie mruga oczkami, a jej róg świeci tęczbowymi kolorami.





Łukasz Majchrzyk

Chętnych do zatrudnienia Roberta Kubicy nie brakuje. Polak znów pokazał, że ma wielką zdolność do wychodzenia z kłopotów

Jedno z najsłynniejszych powiedzeń Marka Twaina o tym, że pogłoski o jego śmierci są stanowczo przesadzone, idealnie pasuje do kariery najlepszego polskiego kierowcy. Już wiele razy wydawało się, że nic z tego nie będzie, że pogrzebał swoje szanse i nie będzie chętnych, żeby go zatrudnić.

Tak już było po wypadku w Ronde di Andora, gdy najpierw były poważne obawy, czy Polak przeżyje, a potem nie było wiadomo, czy wróci do zdrowia. Przeszedł kilka operacji, opiekowali się nim światowej sławy chirurdzy, miał dostęp do najlepszych metod rehabilitacji, ale i tak były powody, by wątpić, czy kontuzjowana ręka pozwoli mu kiedykolwiek usiąść za sterami wyścigówki. Ręka niby spisywała się coraz lepiej, ale przecież przy ogromnych prędkościach rozwijanych na torze Formuły 1 trzeba być sprawnym w stu procentach, bo najmniejszy błąd może oznaczać wypadnięcie z toru. Nie ma miejsca na błąd, na zawahanie – trzeba reagować błyskawicznie i bez zawahania.

Podobne wątpliwości pojawiły się, kiedy Kubica zaczął jeździć w rajdach samochodowych w serii WRC. Z każdym kolejnym wypadkiem można było się zastanawiać, czy to dobry pomysł. Polak dachował, przebił oponę, przeleciał w pobliżu stada krów (taka sytuacja zdarzyła się podczas treningów przed Rajdem Polski). Wypadki się zdarzają, ale w przypadku polskiego kierowcy takie sytuacje bardziej rzucały się w oczy.

Kubica mimo wszystko robił postępy. Dla kibiców pewne sytuacje wyglądały dramatycznie, ale widocznie w środowisku oceniano je inaczej, bo chętnych do zatrudnienia Polaka nie brakowało. Jeździł w ekipie M-Sport i okazało się, że fizycznie dał sobie znakomicie radę. Wystartował we wszystkich rajdach, z których ukończył osiem. Pojawiał się w imprezach okolicznościowych, takich jak Motor Show w Bolonii, gdzie radził sobie bardzo dobrze.

Na pewno mógłby się czuć zadowolony, biorąc pod uwagę, z jakiego poziomu

Kolejka po Kubicę



zaczynał, ale dla Kubicy to było ciągle za mało. Rajdy to była droga powrotu do ścigania się w Formule 1. Wydawało się to nieprawdopodobne, wręcz niemożliwe do spełnienia. Przecież w bolidach F1 jest co roku ledwie 20 miejsc. Do tego dochodzą kierowcy rezerwowi, rozwojowi, ale to wciąż nieliczna grupa. Młodych, zdolnych, nawet bogatych, wspieranych przez tatusiów czy zaprzyjaźnionych miliarderów jest na pęczki. Można przebierać w ofertach, a nawet kazać sobie płacić za możliwość pojeżdżenia w królewskiej serii wyścigowej.

Po co inwestować w coraz starszego polskiego kierowcę, który co prawda ma wielki talent, miłość, pasję i świetne wyuczucie inżynierskie oraz wiedzę, ale ma też swoje ograniczenia? Trzeba było próbować i małymi krokami przekonywać środowisko, że byłby w stanie poprowadzić jedyniemiejscowy samochód wyścigowy, czyli taki, jaki staje na starcie w Formule 1. Już w 2013 r., czyli niewiele ponad dwa lata po wypadku, który przerwał jego karierę, Kubica usiadł w symulatorze bolidu Mercede-

sa. Ot, ciekawostka, bo to przecież niewiele kosztuje i do niczego nie zobowiązuje.

REHABILITACJA W SYMULATORZE

Jeśli ktoś był sceptyczny co do tego pomysłu, to musiał być zaskoczony, że się udało, a Kubica pokazał swoje największe zalety, dzięki którym m.in. trafił do Formuły 1. Jak pisała prasa branżowa, Polak spędził w symulatorze osiem godzin i zaproponował inżynierom Mercedesu poprawki, dzięki którym bolid znacząco poprawił swoje wyniki. Szef zespołu Toto Wolff mówi, że korzystają obie strony: Kubica przekazuje cenne informacje, a jednocześnie przechodzi kolejny etap rehabilitacji.

Okazało się, że w świecie Formuły 1 polski kierowca, mimo problemów ze zdrowiem, ma ciągle renomę. Wiele musiało się też dziać za kulisami, skoro w 2017 r. na serio pojawiły się plotki o tym, że Kubica mógłby wrócić do występów w najbardziej wymagającej serii wyścigowej. Polaka o pomoc poprosiło Renault.



Według nieoficjalnych informacji w przyszłym sezonie F1 Robertem Kubicą zainteresowana jest ekipa Haas. O Polaka ma się też starać Racing Point. FOT. XPB/PA IMAGES/FORUM

Kubica znów usiadł za sterami symulatora i wykręcał tak znakomite czasy, że ponownie zachwycił przedstawicieli Mercedesa. Chcieli mu zaproponować nawet jakąś umowę, ale okazało się, że francuski koncern był szybszy. Co ciekawe, to właśnie w barwach Renault Kubica jeździł, gdy doznał ciężkiej kontuzji. Nikt nie miał do Polaka żalu albo uznał, że obrażanie się nie opłaca.

Coś, co wydawało się nierealne, zaczęło nabierać kształtów. Trzeba było jednak dokonać jeszcze ostatecznych sprawdzianów na torze. Kubica usiadł za kierownicą bolidu Renault na torze Hungaroring i jeździł... normalnie. Ktoś, kto nie wiedziałby o jego problemach, pewnie by się ich nie domyślił. Oczywiście były to „jedynie” testy, a nie normalny wyścig, ale pokazały, że w Polaku wciąż drzemią olbrzymie możliwości.

Potrzeba było jeszcze jednego ważnego argumentu, który przekonałby szefów jakiegoś zespołu Formuły 1. Wtedy pojawił się Orlen, który gotów był wyłożyć odpowiednie pieniądze za miej-

sce Polaka w bolidzie oraz odpowiednią reklamę. Jeszcze w 2017 r. w ostatniej chwili polskiego kierowcę uprzedził Siergiej Sirotkin (a właściwie stojące za nim pieniądze), ale rok później Williams postawił na Polaka i w ten sposób historia zatoczyła koło. Kubica wrócił do Formuły 1 jako pełnoprawny wyścigowy kierowca. Znów miał stanąć na starcie.

NAJGORSZY CZAS WILLIAMSA

Niestety, trafił na najgorszy okres w historii brytyjskiej ekipy. Prace nad bolidem się opóźniły, Williams stracił kilka bezcennych dni testów. Samochód – słaby już w 2017 r. – jeszcze bardziej stracił dystans do reszty stawki. Kłopotów nie brakowało przez cały sezon, bo co chwila okazywało się, że brakuje części zamiennych albo pojawiają się inne problemy.

Kubica się denerwował, dawał do zrozumienia, że jest niezadowolony. O wyjaśnienia w pewnym momencie poprosił nawet Orlen. Drogi obu partnerów coraz bardziej się rozchodziły. Kubica dojeżdżał na końcu stawki, nie był zadowolony

ny, a znów pojawiły się wątpliwości, czy jeszcze nadaje się do tego sportu. Może gdyby był w pełni sprawny, wycisnąłby z samochodu więcej?

Okazuje się, że te obawy były nieuzasadnione i eksperci wiedzą, że jeśli ktoś odpowiada za słabe wyniki, to zespół, a nie polski kierowca. Dowód? Gdy Kubica ogłosił, że odejdzie z Williamsa, w kolejce po niego stanęły dwa zespoły. Polak ma zostać w świecie Formuły 1, wprawdzie nie jako kierowca wyścigowy, ale pozycję w negocjacjach ma mocną.

Przez jakiś czas Kubicę łączono z ekipą Alfa Romeo – ostatecznie nic z tego nie wyszło. Od dawna mówi się, że Polaka chce zatrudnić ekipa Haas. Amerykański zespół nie ma najlepszego sezonu i już od dawna pracuje nad samochodami na kolejne mistrzostwa. Ktoś taki jak Kubica przydałby się bardzo, bo od 2021 r. Formułę 1 czekają rewolucyjne zmiany. Jest wiele niewiadomych, a Polak ze swoim doświadczeniem i umiejętnościami pomógłby zaprojektować odpowiedni bolid. Oznaczałoby to wiele godzin spędzonych w symulatorze, a mniej na torze, ale z drugiej strony – wtedy w Haasie teoretycznie mogą być dwa wolne miejsca do obsadzenia, bo kontrakty skończą się obu podstawowym kierowcom. Być może miejsce jednego z nich zająłby Kubica?

Amerykanie mówią, że czekają na decyzję Polaka, a tymczasem do walki włączył się Racing Point. Jego właściciel, Lawrence Stroll, jest zachwycony Kubicą i chciałby go ściągnąć. Tutaj Kubica mógłby liczyć na więcej godzin spędzonych na torze, udział w sesjach treningowych, co mogłoby pokazać jego prawdziwe możliwości, w porządnym samochodzie i być dobrą reklamą dla potencjalnych kolejnych pracodawców. Dlaczego? O miejsce w Racing Point będzie bowiem ciężko. Jednym z kierowców jest Lance Stroll (syn właściciela), a za drugim Sergio Pérezem stoją bardzo poważni sponsorzy (Meksykanin ma trzyletni kontrakt). Tylko że pracę w Racing Point Polak mógłby łączyć z wyścigami w niemieckiej serii DTM, o czym mówi się coraz głośniej.

Sam Kubica na razie milczy, nie chce zdradzać ostatecznych planów, ale nie zanosi się na to, by on i Orlen mieli opuszczać Formułę 1. Po ostatnim wyścigu tego sezonu, czyli GP Abu Zabi, polski kierowca z pewnością powróci.

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

Potrzebne inne podejście

W debacie „Paszport dla chorych z dystrofią Duchenne’a” wzięli udział: dr hab. n. med. Anna Potulska-Chromik (Warszawski Uniwersytet Medyczny), dr Zbigniew Król (pełnomocnik ministra zdrowia ds. Narodowego Programu ds. Chorób Rzadkich), dr hab. Andrzej Śliwczyński (NFZ), Joanna Parkinta (AOTMiT), dr Michał Jachimowicz (ekspert ochrony zdrowia, MAHTA), Izabela Wójcik (Fundacja Parent Project Muscular Dystrophy)

FOT. IWO JABLONSKI/PROFESJONALNA TV



Katarzyna Pinkosz

– To choroba rzadka, nieznana, ale chorujący chłopcy są tacy sami jak rówieśnicy, mają tylko problem z mięśniami. Staramy się im pomagać, ale potrzebujemy wsparcia ze strony państwa – mówiła Izabela Wójcik z Fundacji Parent Project Muscular Dystrophy podczas debaty w „Do Rzeczy”

Kacper, syn Izabeli Wójcik, chodzi do pierwszej klasy liceum w Warszawie; interesuje się motoryzacją, chciałby podróżować, zobaczyć Australię. Spełnienie marzeń jest bardzo trudne, gdyż chłopiec cierpi na dystrofię mięśniową Duchenne’a.

Choroba niszczy mięśnie; już dziś Kacper porusza się na wózku inwalidzkim.

Co roku rodzi się w Polsce ok. 30–40 chłopców z dystrofią Duchenne’a (dziewczynek choroba najczęściej nie dotyka). Przyczyną jest defekt genetyczny: mutacje w genie odpowiedzialnym za kodowanie białka (dystrofiny). Gdy go brakuje, mięśnie zanikają. Dystrofię można podejrzewać już w drugim–trzecim roku życia (opóźnienie rozwoju ruchowego, trudności ze wstawaniem z podłogi, chodzeniem po schodach), jednak objawy w pełni ujawniają się dopiero ok. czwartego–piątego roku życia. – Chłopiec traci siłę, zaczyna coraz gorzej chodzić. Gdy ma ok. 10–15 lat, zwykle musi już poruszać się na wózku inwalidzkim. W drugiej dekadzie życia zaczynają się też kardiomiopatia, czyli postępująca choroba mięśnia sercowego, oraz problemy oddechowe – tłumaczyła dr hab. Anna Potulska-Chromik z Katedry i Kliniki Neurologii UCK WUM. Pod opieką tej kliniki, prowadzonej od wielu

lat przez prof. Annę Kosterę-Pruszczyk, znajduje się ponad 500 chłopców z dystrofiami mięśniowymi, m.in. Duchenne’a.

ZATRZYMAĆ POSTĘP CHOROBY

Standardem leczenia jest obecnie podawanie sterydów i rehabilitacja, by jak najdłużej mięśnie dziecka funkcjonowały. – Około 70 proc. pacjentów przyjmuje sterydy, pozwoliło to przedłużyć możliwość chodzenia być może nawet o dwa–trzy lata, a także dłużej utrzymać w lepszym stanie mięśnie oddechowe i lepiej chronić przed kardiomiopatią – mówiła dr hab. Anna Potulska-Chromik.

Sterydy mogą częściowo spowolnić rozwój choroby, nie leczą jednak jej przyczyny. Nadzieją są badania kliniczne nad nowymi lekami. – Na stronie www.clinicaltrials.gov można znaleźć ok. 240 toczących się obecnie badań klinicznych w tej chorobie; jednak tak naprawdę liczą się leki, które potrafią ominąć mutację genu. Jeden z leków

został dopuszczony do stosowania przez Europejską Agencję Leków (EMA). Ma szansę pomóc ok. 13 proc. pacjentów z dystrofią Duchenne’a mających tzw. mutację nonsensowną. Pod naszą opieką jest obecnie kilkunastu chłopców, którzy dostają lek w ramach badań klinicznych, a ośmiu otrzymuje go jako darowiznę od firmy – zaznaczyła dr hab. Anna Potulska-Chromik. Jej zdaniem leczenie przynosi efekty. – Część pacjentów z pierwszego badania klinicznego ma dziś kilkanaście lat i nadal chodzi samodzielnie. W dystrofii Duchenne’a u nastolatków zdarza się to rzadko – oceniła.

NEGATYWNA OCENA

Mimo dobrych opinii lekarzy stosujących terapię została ona niedawno oceniona negatywnie przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji (AOTMiT). – Prezes Agencji zwrócił uwagę na brak wiarygodnych badań naukowych, które potwierdzałyby skuteczność leczenia. Firma nie przedstawiła wyników jednoznacznie udowadniających efektywność stosowania leku – mówiła Joanna Parkitna, dyrektor Wydziału Oceny Technologii Medycznych AOTMiT. Zwróciła uwagę, że w większości badań klinicznych brały udział dzieci powyżej piątego roku życia, tymczasem producent wnioskował o refundację dla dzieci powyżej drugiego roku życia. – Pan prezes nie powiedział, że lek nie działa, podkreślił, że ma wątpliwości. Podobne wątpliwości miała brytyjska agencja NICE – tłumaczyła Joanna Parkitna.

– Jestem lekarzem praktykującym medycynę opartą na faktach i dowodach naukowych, dla mnie statystyka także ma znaczenie. Natomiast w przypadku tej choroby i tak małych grup pacjentów statystyka może okazać się niewystarczająca – przekonywała dr hab. Anna Potulska-Chromik. Trudno udowodnić działanie leku w chorobie, która postępuje powoli, a objawy stają się ewidentne dopiero, gdy jest zaawansowana i występuje już duży zanik mięśni. – Musimy mieć pacjenta, który będzie współpracować, wykona wiele testów. Dwulatek ich nie wykona, dlatego w badaniach klinicznych biorą udział dzieci powyżej pięciu lat. Tymczasem rozpoczęcie leczenia już po drugim roku życia mogłoby jeszcze bardziej wydłużyć okres dobrego funkcjonowania – przekonywała.

Michał Jachimowicz, ekspert systemu ochrony zdrowia, zwrócił uwagę, że

Europejska Agencja Leków także musiała sobie poradzić z niepewnością dotyczącą różnych aspektów działania leku, mimo to jednak zarejestrowała go w trybie przyspieszonym, uznając, że korzyści z terapii znacznie przewyższają ryzyko, choćby nieskuteczności. – Prezes AOTMiT wyraża wątpliwości, jednak minister wydaje czasem pozytywną decyzję, wykorzystując instrumenty dzielenia ryzyka. Ważne byłoby też wykorzystanie danych z rejestru STRIDE, w którym obserwowani są chorzy leczeni od prawie pięciu lat; cały czas chodzą o własnych siłach – podkreślił.

Z opinią prezesa AOTMiT trudno pogodzić się zwłaszcza rodzicom. Izabela Wójcik doskonale pamięta sytuację sprzed 11 lat, gdy jej syn był diagnozowany: nie było wtedy wielu badań naukowych, które potwierdzałyby skuteczność działania sterydów w dystrofii Duchenne’a, a dziś są uznawane za standard. – Podobnie może być w przypadku tego leku. Mój syn nie kwalifikowałby się do niego, jednak dla mnie, jako matki, opieranie się na statystyce przy tak rzadkiej chorobie jest nie do przyjęcia – zaznaczyła. Gdyby w Polsce lek stał się refundowany, do leczenia nim kwalifikowałoby się zaledwie 30–40 chłopców.

– To terapia zarejestrowana przez EMA, a więc wykazuje wystarczający profil bezpieczeństwa, jest również obiecująca, tzn. potencjalnie może spowalniać przebieg choroby, jednak na dziś chyba jeszcze za krótko ją badamy, by mieć pewność co do efektów klinicznych. Gdy finansujemy lek ze środków publicznych, chcielibyśmy mieć pewność, że jest skuteczny. Niestety, ocena klinicznej skuteczności leków w chorobach rzadkich jest utrudniona – przyznał dr hab. Andrzej Śliwczyński, zastępca dyrektora Departamentu Świadczeń Zdrowotnych NFZ.

PODZIELIĆ RYZYKO

Do dziś udało się zdiagnozować ponad 9 tys. chorób rzadkich: tylko dla kilku procent z nich istnieje terapia lekowa. Trudno udowodnić skuteczność leku, zwłaszcza gdy choroba postępuje powoli, a przy tym jest tak zróżnicowana genetycznie jak dystrofia Duchenne’a, gdzie nie ma w zasadzie dwóch takich samych chorych.

– Wątpliwości prezesa AOTMiT odnoszą się do oceny klinicznej, natomiast minister zdrowia może wskazać określone rozwiązania w trakcie negocjacji z firmą farma-

ceutyczną, np. dopuszczenie leku w mechanizmie dzielenia ryzyka. Firma musi być gotowa do podejmowania takiej dyskusji. Ostatnie dwa lata pokazały, że często widać wolę porozumienia: udało się udostępnić nowe leki – podkreślał Zbigniew Król, pełnomocnik ministra zdrowia ds. Narodowego Planu dla Chorób Rzadkich.

Kwestię m.in. innego podejścia do refundacji leków w chorobach rzadkich ma uregulować Narodowy Plan, którego wejście w życie jest zapowiadane już wkrótce. – Nie tylko system refundacyjny powinien się modyfikować, również być może badania kliniczne w chorobach rzadkich powinny być zmodyfikowane. Widzę tu też rolę Agencji Badań Medycznych, która mogłaby sfinansować badanie sprawdzające, czy warto podawać lek dzieciom już powyżej drugiego roku życia – mówi Zbigniew Król.

CZEKAJĄC NA ZMIANY

Nowy lek i toczące się badania kliniczne nad nowymi terapiami dają nadzieję rodzicom. Mają oni jednak dużo więcej „przyziemnych” problemów, choćby to, że steryd – defalzacort – powodujący mniejsze ryzyko przybywania na wadze, jest w Polsce niedostępny (rodzice kupują go za granicą), a leki zapobiegające kardiomiopatii nie są dla chłopców refundowane. – Proponuję takie rozwiązanie, że eksperci wspólnie ze stowarzyszeniem rodziców prześlą do NFZ informacje w tej sprawie. Przyjrzymy się i postaramy wspólnie z Ministerstwem Zdrowia pomóc – zadeklarował dr hab. Andrzej Śliwczyński.

Dużą nadzieją jest Narodowy Plan dla Chorób Rzadkich, który ma poprawić całość opieki nad osobami z chorobami rzadkimi i ich rodzinami. Każda z tych chorób jest inna, dlatego wsparcie w każdej z nich musi być indywidualne. W przypadku dystrofii Duchenne’a chłopcy powinni mieć możliwość chodzenia do szkoły, by uniknąć wykluczenia społecznego. Starszym potrzebna jest pomoc asystenta. – Rodzicom potrzebne jest to, żeby ktoś czasem ich przy dziecku zastąpił (tzw. opieka wytchnieniowa), a także wsparcie psychologiczne, ponieważ wiele rodzin rozpada się, nie są w stanie udźwignąć ciężaru choroby. Również rodzeństwo nie rozumie, dlaczego całe życie toczy się wokół choroby. Bardzo liczymy na Narodowy Plan – mówiła Izabela Wójcik.



Katarzyna Pinkosz

Hemofilia jest jedną z nielicznych chorób rzadkich, która ma efektywne leczenie. Leki chronią przed krwawieniami i powikłaniami, a najlepsze efekty przynosi leczenie profilaktyczne

Z powodu braku lub niedoboru czynników krzepnięcia – najczęściej VIII (hemofilia A) lub IX (hemofilia B) – u chorych na hemofilię krew dłużej krzepnie. Najbardziej niebezpieczne są krwawienia wewnętrzne, które mogą zdarzyć się nawet bez uchwytnej przyczyny. Krwawienia do centralnego układu nerwowego mogą spowodować zgon, dlatego leki (czynniki krzepnięcia) są lekami ratującymi życie. Powtarzające się krwawienia do stawów powodują ich uszkodzenie (artropatię hemofilową). Chorzy, którzy przez wiele lat byli w Polsce leczeni, z powodu małej ilości stosowanych czynników krzepnięcia mają trudności z chodzeniem, często wszczepiano im endoprotezy stawów kolanowych, poruszają się o kulach lub na wózku.

PROFILAKTYKA TO PODSTAWA

W ostatnich latach leczenie hemofilii w Polsce bardzo się poprawiło: pod względem ilości dostępnego czynnika krzepnięcia jesteśmy powyżej średniej europejskiej. Ważną zmianą było wprowadzenie leczenia profilaktycznego, którego celem jest utrzymywanie we krwi takiego poziomu czynnika krzepnięcia, by chronił przed krwawieniami. Leki zwykle podaje się (dożylnie) dwa-trzy razy w tygodniu. – U dzieci od 2008 r. funkcjonuje program profilaktyczny, dzięki temu nie mają one powikłań w postaci artropatii hemofilowej. Chodzą do szkoły, idą na studia, nie są osobami niepełnosprawnymi, nie muszą przechodzić na renty – mówi dr hab. n. med. Paweł Łaguna z Katedry i Kliniki Pediatrii Hematologii i Onkologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

W przypadku dzieci program profilaktyczny to nie tylko leki (dostarczane do domu), lecz także pielęgniarki, które przyjeżdżają do domu i uczą rodziców

Jaki czynnik? Jaki program?



FOT. ADAM STOLC

podawania czynnika krzepnięcia. Rodzice (lub starsze dzieci) do dzienniczków elektronicznych wpisują dawki podawanych leków, a także pojawianie się krwawień. – Na ekranie komputera w pracy widzę, jak często dziecko ma krwawienia. Mogę wtedy zareagować, poprosić o przyjazd do szpitala i sprawdzić, jaka jest przyczyna. Program profilaktyczny funkcjonuje bardzo dobrze – ocenia dr hab. Paweł Łaguna.

Leczenie dorosłych jest trudniejsze: w tej grupie znajdują się zarówno ludzie młodzi (którzy dzięki dobremu leczeniu niemal nie mają problemów ortopedycznych), jak i starsi – często

z niepełnosprawnością, potrzebujący rehabilitacji, operacji ortopedycznych. Jednak leczenie dorosłych również bardzo się poprawiło, zwłaszcza od 2014 r., od kiedy mogą również leczyć się profilaktycznie. – Nie ma obecnie barier w dostępie do profilaktyki. Każdy dorosły mający ciężką postać hemofilii, który ma wskazania, powinien mieć zaoferowane leczenie profilaktyczne. Leczenie funkcjonuje dobrze, choć niestety nie wszędzie, gdyż nadal są w Polsce miejsca, gdzie nie ma ośrodków leczenia dla dorosłych – mówi dr n. med. Joanna Zdziarska z Kliniki Hematologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie.

Powstanie ośrodków dla dorosłych jest jednym z najważniejszych celów Narodowego Programu Leczenia Chorych na Hemofilię i Pokrewne Skazy Krwotoczne na lata 2019–2023. – W ośrodku chory powinien być pod kompleksową opieką, ważne jest monitorowanie leczenia, sprawdzanie, czy nie pojawił się inhibitor czynnika krzepnięcia – mówi dr hab. Paweł Łaguna. Chory powinien mieć też opiekę innych specjalistów: ortopedy, fizjoterapeuty, stomatologa, genetyka, psychologa, pielęgniarki czy pracownika socjalnego.

KTÓRY CZYNNIK

Pod względem ilości czynników krzepnięcia Polska wyprzedza np. Norwegię, jednak ponad 95 proc. to czynniki z osocza krwi, zaledwie kilka procent to nowocześniejsze czynniki rekombinowane (w Anglii, Szwecji, Słowenii, Irlandii, na Węgrzech: czynniki rekombinowane to ponad 90 proc. leków). – Z punktu widzenia skuteczności, czyli zapobiegania czy hamowania krwawieniom, nie ma różnicy: obydwa rodzaje czynników działają tak samo. Na pewno jednak chcielibyśmy w więk-

szym stopniu móc stosować rekombinowane czynniki krzepnięcia, które są nowocześniejsze, produkowane bez kontaktu ze składnikami ludzkiej krwi, czyli ich bezpieczeństwo wirusologiczne jest pełne – mówi dr hab. Paweł Łaguna.

W Polsce czynniki rekombinowane wciąż dostają tylko dzieci z nowo wykrytą hemofilią, które wcześniej nie były leczone (taki jest zapis programu profilaktycznego NFZ). Powodem jest różnica w cenie: rekombinowane wciąż są droższe od czynników z osocza, a w Polsce kupuje się je w ramach przetargów; wygrywa tańszy. – Leki rekombinowane są przyszłością leczenia hemofilii, chcielibyśmy móc je częściej stosować, podobnie jak nowe leki, które działają w inny sposób, gdyż nie są czynnikami krzepnięcia – dodaje dr Joanna Zdziarska.

DOBRA ORGANIZACJA

Leczenie profilaktyczne dzieci jest realizowane w ramach programu NFZ, natomiast leczenie krwawień dzieci i dorosłych oraz profilaktyka dorosłych – w ramach Narodowego Programu Le-

czenia Chorych na Hemofilię i Pokrewne Skazy Krwotoczne finansowanego przez Ministerstwo Zdrowia. – Uważam, że te programy bardzo dobrze funkcjonują i nie trzeba nic zmieniać. Według mnie najważniejsze jest obecnie, żeby powstały ośrodki leczenia dla dorosłych. To problem numer jeden – mówi dr hab. Paweł Łaguna.

Zdaniem dr Joanny Zdziarskiej leczenie dorosłych w ramach Narodowego Programu finansowanego przez Ministerstwo Zdrowia jest dobrym rozwiązaniem. – Programy lekowe funkcjonujące w ramach NFZ nie przystają do charakteru hemofilii i skaz krwotocznych, gdyż te choroby są nieprzewidywalne: zapotrzebowanie na ilość czynnika krzepnięcia u każdego chorego jest indywidualne, zarówno jeśli chodzi o profilaktykę, jak i leczenie krwawień. W programie pediatrycznym NFZ dawki są ściśle określone, trudno je zmienić, dlatego dzieciom zdarzają się krwawienia. Rozwiązania, które przyjęliśmy w ramach Narodowego Programu Leczenia, są dobre, trzeba tylko je realizować – przekonuje dr Joanna Zdziarska.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PROF. MARCIN CZECH,
ekspert farmakoekonomiki,
Politechnika Warszawska,
Instytut Matki i Dziecka

Gdyby leki znalazły się w systemie refundacyjnym, komisja ekonomiczna ministerstwa mogłaby negocjować ceny i jeszcze bardziej je obniżyć, niż udaje się to poprzez przetargi.

Leki rekombinowane są bezpieczniejsze, niektóre mają przedłużone działanie, ich ceny teoretycznie są wyższe, gdybyśmy jednak mogli wejść w ścieżkę refundacyjną, moglibyśmy stosować instrumenty dzielenia ryzyka.

Producenci, którzy deklarują dużą elastyczność cenową, mogliby obniżyć ceny. Obecnie w ramach przetargów nie mogą tego zrobić, gdyż cena jest widoczna, a producenci nie chcą jej ujawniać w innych krajach.

Jeśli po zmianie procedury okazałoby się, że nie obniżymy cen i nie da to możliwości zakupu większej ilości czynników, to nadal będzie można ogłosić przetarg. Komisja ekonomiczna nie zgodzi się na podwyżkę cen leków.

Jestem przekonany, że za tę samą ilość pieniędzy kupimy leki taniej albo kupimy ich więcej. Chcemy, by chorzy mieli więcej czynników, w tym więcej rekombinowanych, chcemy lepiej dobierać dawki, żeby dzieci były jeszcze lepiej zabezpieczone przed krwawieniami.



BOGDAN GAJEWSKI,
Polskie Stowarzyszenie Chorych
na Hemofilię

W Polsce mamy bardzo dobry dostęp do czynników krzepnięcia. Stało się to dzięki hurtowym przetargom, w których ceny czynników krzepnięcia są jednymi z najniższych na świecie. Jak pokazują dane europejskiej organizacji chorych na hemofilię, system przetargów jest sprawniejszy niż negocjacje cenowe z firmami. Niedawno rozmawiałem z prof. Albertem Farrugią z University of Western Australia, ekspertem zajmującym się leczeniem chorych na hemofilię. Ze zdumieniem przyjął ceny ostatniego przetargu na czynniki rekombinowane w Polsce: wydały mu się szokująco niskie. Nie chcemy przeniesienia leczenia do NFZ, bo jeśli leki znajdą się w osobnych programach lekowych, to spowoduje to brak konkurencji i zawyży ceny. Stoi to w sprzeczności z dobrem pacjentów i budżetu państwa. Dzielenie chorych na małe grupy spowoduje wzrost cen kupowanych leków i może stanowić przykład niegospodarnego zarządzania finansami publicznymi. Takie rozwiązanie podważyłoby spójny i dobrze działający system leczenia chorych na hemofilię w Polsce, który spowodował radykalne obniżenie ceny leków dla chorych na hemofilię. Program profilaktyczny NFZ okresowo przeżywa zatory płatnicze spowodowane złą kondycją szpitali w Polsce. Brak silnej konkurencji w ramach Narodowego Programu Leczenia Chorych na Hemofilię może spowodować niewystarczające ilości leków do ratowania życia i zdrowia chorych.

RYCERZE I WARCHOŁY

Najsławniejszy karzeł z Polski



JACEK KOMUDA

Józef Boruwlaski urodził się w czasach, kiedy życie karła było na równi błogosławieństwem i przekleństwem. Jak pisał w pamiętnikach: „Mając rok, miałem cali jedenaście, w trzech latach jedną stopę, cali dwa [...] w trzydziestu trzy stopy, calów trzy”, czyli nieco mniej niż 97 cm. Przyszedł na świat w Polsce, na Pokuciu, niedaleko od miasta Halicz, w listopadzie 1739 r., w rodzinie biednego szlachcika. Jego rodzice byli normalnego wzrostu, doczekali się pięciu synów i jednej córki, z których tylko ona i jeszcze jeden brat byli małego wzrostu.

Kiedy bohater miał dziewięć lat, zmarł jego ojciec. Rodzina popadła w biedę; wówczas sąsiadka, starościna Jarlicka, uprosiła matkę, aby oddała syna na dwór, gdyż posiadanie sługi karła wzbudzało zazdrość innych wielkich panów. Jednak kiedy Jarlicka wyszła za mąż za Tarnowskiego i zaszła w ciążę, jej przyjaciółka, miecznikowa Anna Humiecka, przekonała starościny, że karzeł będzie miał zły wpływ na jej dziecko, i skłoniła do oddania go na jej dwór. Uwiozła Boruwlaskiego do Warszawy, gdzie w pokoju bawialnym urządziła mu domek dla lalek, ustawiając maleńką kanapę, stoliki, stołeczki, krzesła, a nawet stół do bilardu.

Boruwlaski trafił w szeroki świat; w 1755 r. pani zabrała go do Wiednia, gdzie pokazała cesarzowej Marii Teresie. „Miałem zaszczyt być przedstawiony cesarzowej” – pisał o tym w pamiętniku – „która mi powiedziała łaskawie, jakobym przechodził to wszystko, cokolwiek o karłach słyszała, i był jedną z najosobliwszych rzeczy, które jej się widzieć zdarzyło”. Należy nadmienić, że Boruwlaski był nie tylko wykształcony, lecz także obdarzony taktem, pokazywał cesarzowej polskie tańce, pozwalał się brać na kolana, wycelowywać i grzecznie odpowiadał na pytania.



FOT. WIKIPEDIA

Kariera dworska karła z Polski rozkręcała się, jednak Boruwlaski szybko się przekonał, że dla arystokratów znad Dunaju nie jest człowiekiem, ale żywą zabawką. „Zacząłem ja miarkować – pisał – że prawie wszyscy uważali mnie jako cacko, jako lalkę, ale przecież nigdy nie widzieli we mnie istoty równej im”. Pewnego razu zaczęto w salonie rozprawiać o karłach i któryś z gości rzucił pomysł, aby połączyć bohatera z siostrą. Prerażony Boruwlaski zapłakał gorzko, lecz nikt nie słuchał karła!

Pociechą dla niego była dalsza podróż po Europie. Przedstawiono go byłemu królowi Polski Stanisławowi Leszczyńskiemu, żyjącemu na łaskawym chlebie zięcia – Ludwika XV, który przekazał mu księstwo Lotaryngii. Władca miał własnego karła – niejakiego Mikołaja Ferry, zwanego Bebe. W obecności Leszczyńskiego doszło wówczas do swoistego pojedyńku na... wzrost i okazało się, że Boruwlaski nie tylko był mniejszy, lecz także piękniejszy. Dlatego Bebe znenawidził konkurenta i kiedy znaleźli się sami w komnacie, próbował zabić Polaka. „Ujawszy mnie znenacka i silnie za nogi, chciał wrzucić w palący się ogień na kominie”. Doszło do dramatycznego starcia dwóch karłów – na szczęście Boruwlaski uchwycił się żelaza przy kominku, a jego krzyki sprowadziły do komnaty króla

Leszczyńskiego, który rozdzielił zwaśnionych, a złośliwego karła kazał wychłostać.

Joujou, bo tak nazywano we Francji Boruwlaskiego, pojechał z panią do Paryża, gdzie wzbudził sensację. Następnie przez Holandię powrócił do Polski. W Warszawie był powszechnie znany i podziwiany, przebywał w towarzystwie magnackiej młodzieży, polubił teatr, a także romansował z aktorkami: „Wdałem się w rozpustę i nierząd, nie nocowałem nigdy w domu, przekupywałem służących pani Humieckiej, żeby mnie nie wydali”.

Boruwlaski zakochał się w dwórcy pani miecznikowej, Izalinie Barboutan, słał do niej listy, a kiedy dowiedziała się o tym jego protektorka – wyrzuciła go na bruk. Nad losem karła pochylił się wówczas król Stanisław August, przyznając mu pensję, przez przyjaciół skłonił jego wybrankę do zawarcia małżeństwa. Izalina została żoną najmniejszego Polaka, co jednak oznaczało dla obojga kłopoty. Odtąd bowiem nikt nie chciał go przyjąć na służbę, doszło do tego, że bohater wyjechał do Wiednia, gdzie próbował dawać koncerty; wreszcie pokazywał się za pieniądze. Pojechali do Anglii, gdzie Józef padł ofiarą oszusta i został okradziony przez własnego służącego, Włocha. Ostatecznie małżonkowie rozstali się – żona zabrała córki i wróciła do Polski, Józef Boruwlaski ostatnie chwile spędził zaś w Durham, gdzie zmarł 5 września 1837 r., przeżywszy 98 lat. Tragedię swego życia opisał w pamiętniku. „Mam być zawsze igraszką losu, bawiadkiem pospólstwa, niewolnikiem obecnej potrzeby?” – pytał. Lektura jego wspomnień pokazuje, że mimo małego wzrostu udało mu się pozostać przez te wszystkie lata poniżeniami przede wszystkim człowiekiem. ©©

OMÓŁKI PODKARPACKIE POLECA BOGDAN RZOŃCA

Gomółki – przysmak serowy wielkości orzecha włoskiego, w kształcie „łezki”. Jego smak i zapach zależy od dodawanych przypraw: kminku, papryki, mięty, ziół, czosnku. To tradycyjna potrawa podkarpacka, bardzo dobra przekąska do piwa.

Składniki:

- 1 kg chudego białego sera, dobrze ogrzanego
- 1 jajko
- 1 żółtko (do posmarowania)
- kminek, sól do smaku

Przygotowanie:

Ser zemiać w maszynce, wymieszać z jajkiem, dodać kminek i sól. Wszystko dokładnie połączyć. Uformować małe kulki, zrobić na nich szpic. Wierzch posmarować roztrzepanym żółtkiem. Włożyć na blachę i podgrzewać 5 min w temperaturze około 60–70 st. C. Czynność powtarzać co 3–4 godziny, aż gomółki będą suche. Ten proces może trwać 2–3 dni.

*oprac. raw
Bogdan Rzońca
jest europoseł PIS.*



FOT. JACEK HEROK/ARNDSPRAT.PL



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Moja firma sprzątająca

Nie znoszę odkurzać i sędzę, że znajdę sporo sojuszników.

Po odejściu dorosłych dzieci sami z mężem nie generujemy dużo kurzu, za to nadrabia nasze zwierzę rasy golden retriever, z którego podszerstka mogłabym mieć już niezły sweter, a przynajmniej skarpetki. Proszę się nie śmiać – ta wełna nazywa się chiengora, istnieje naprawdę, tak jak wyroby z niej, a jest o 80 proc. cieplejsza niż wełna owcza. W dodatku pozyskana w wyniku pożytecznej, przyjemnej i całkowicie bezbolesnej czynności wyczesywania psa, za czym np. nasze zwierzę przepada. Czeszemy je jednak za rzadko, wobec czego to, co mogłoby się znaleźć na moim grzbiecie jako sweter, znajduje się na dywanach i podłogach. Kłęby sierści. Jeśli się tego nie usunie, to nasi synowie oraz niektórzy znajomi po godzinie przebywania u nas wpadają w symfonię kaszlu, kichania, krztuszenia i na koniec niestety duszenia się.

Więc odkurzacz. Nie będzie lokowania produktu, więc nie zdradzę marki odkurzacza z kablem, który rzeczywiście działa. Jest wrednie ciężki, trzeba przemieszczać się z jego potężnym korpusem i szamotać z kablem. Wobec czego powzięłam pomysł, który z czasem przeobraził się w marzenie, a potem w uporczywe nagabywanie



FOT. ADRIAN STOK

męża, żebyśmy kupili odkurzacza bez kabla. Sprzęt tak lekki, że damy na reklamach odkurzają mieszkanie, jakby trzymały w ręku wachlarz, i tak skuteczny, że nie oprze się mu żaden pyłek. Okres negocjacyjny trwał kilka miesięcy, wreszcie moje działania PR-owskie poskutkowało. Aparatura została nabyta, pan Bojańczyk z mozołem przytwierdził stację dokującą do ściany, a ja ruszyłam do akcji, wymachując z dumą plastikową rurką zakończoną pojemnikiem. Przed zachwyconym wzrokiem synów, którzy przybyli na premierę w nadziei, że męki alergiczne wkrótce się skończą.

Euforia trwała jakieś 20 minut, po których (odkurzona połowa terytorium) cudowny aparat przestał działać. Jak to? Okazało się, że postąpił zgodnie z instrukcją, w której napisano, że bez ładowania działa od 30 do 40 minut, po czym należy go znów podłączyć do stacji dokującej. Czyli wszystko w porządku, tylko producenci z optymizmem przesadzili, bo działał krócej. Nie mając nic do roboty, zabrałam się do lektury instrukcji. Wynikało z niej również, że ów cudowny sprzęt może być groźny dla „niektórych dywanów”. To sformułowanie, nieprecyzyjne i enigmatyczne, zaniepokoiło mnie. A nuż nasze dywany zaliczają się do „niektórych”?

Ach, nowoczesność. Teraz czekam, żeby dywany, które nie przeszły jeszcze próby bezkablowego odkurzacza, wywalić po prostu na śnieg, najlepszy odkurzacz. ©©

SŁAWOMIR
CENCKIEWICZ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Na śmierć Bukowskiego

Zmarł Władimir Bukowski (1942–2019). To, że mogłem pożegnać Bukowskiego osobiście – i to w dodatku w imieniu polskiego ministra obrony narodowej – jest dla mnie zaszczytem. Poza tym, że chciałem spłacić Bukowskiemu dług wdzięczności za to, że stanął w mojej obronie w 2008 r., kiedy machina państwowa rządu Tuska oburzała się na książkę IPN o Wałęsie, był on dla mnie kimś bardzo ważnym. Może jednym z najważniejszych świadków i demaskatorów komunizmu odwołujących się nie tylko do własnych doświadczeń, lecz także do źródeł historycznych.

Polska w jego analizach i przemyśleniach odgrywała rolę szczególną. Nikt tyle nie zrobił co Bukowski, by ukazać ogrom fałszu postaci Jaruzelskiego i jego faktyczną rolę w czasie tzw. kryzysu polskiego lat 1980–1981. Tysiące dokumentów, które Bukowski wyniósł z sowieckich archiwów, są najlepszym jego pomnikiem! Pozostaną na zawsze niekwestionowanym źródłem wiedzy o sowieckiej podległości PRL do ostatnich dni istnienia tego państwowego potworka. Jaruzelski – w świetle dokumentów sowieckiego

politbiura – pozostanie tylko rozdygotaną marionetką i kukłą w rękach Moskwy. I te jego słowa skazujące Solidarność na zagładę, wypowiedziane jesienią 1981 r. do Breżniewa: „Zrobię wszystko jako komunista i żołnierz, Leonidzie Iljiczu, żeby sytuacja się poprawiła, żeby doprowadzić do przełomu w kraju i naszej partii [...], walcząc o zdrowie sił narodu, które zbłądziły i wstąpiły do Solidarności. [...] Będziemy atakować przeciwnika, i to naturalnie tak atakować, żeby to przyniosło rezultaty”.

Bukowski to ważna postać w całym łańcuchu strażników antykomunizmu. Idei, która jest nieustannie wyśmiewana, wyszydzana, uznawana za archaiczną, podczas gdy to antykomunizm najlepiej tłumaczy wiele zjawisk współczesnych w świecie, Kościele, Polsce... Bukowski wyznawał światopogląd antykomunistyczny – rozumiał naturę bolszewizmu, ogrom jego zła, destrukcyjną naturę ideologii niszczącej fizycznie, a potem mentalnie całe pokolenia ludzi nie tylko w Sowietach, lecz także wszędzie tam, gdzie tylko się pojawił, niezależnie od formy i rodzaju mutacji, jaką przyjął. W tym sensie był Bukowski nie tyle „rosyjskim dysydentem” (chyba jedynym o prawicowych poglądach), ile apostołem antykomunizmu światowego, co zbliża go do „naszego” Józefa Mackiewicza, dla którego antykomunizm był właśnie światopoglądem.

Pięknie mówił o tym zresztą prawosławny kapłan podczas londyńskich uroczystości pogrzebowych, co charakterystyczne, nie akcentując wcale ani rosyjskości Bukowskiego, ani nie sprowadzając jego działalności do wyzwolenia Rosji spod komunizmu i postkomunizmu. W tym sensie był

Bukowski obywatelem świata w najpiękniejszym znaczeniu tych słów. Upominał się o prawdę, której poświęcił w zasadzie cały swój żywot. Podając fakty i konkretne przykłady, rozwinął twórczo to, co pisał dawno temu Pius XI w encyklice wyklinającej bolszewizm: „Komunizm pozbawia człowieka wolności, a więc duchowej podstawy wszelkich norm życiowych. Odbiera osobie ludzkiej całą jej godność i wszelkie moralne oparcie, z którego pomocą mogłaby się przeciwstawić naporowi ślepych namiętności. Ponieważ w obliczu społeczności człowiek, według zapatrywań komunizmu, jest tylko kółkiem wtłoczonym w tryby maszyny, dlatego nie przysnaje mu się żadnych praw naturalnych. W stosunkach międzyludzkich natomiast komunizm głosi zasadę absolutnej równości, odrzucając wszelką hierarchię i wszelki autorytet ustanowiony przez Boga, także autorytet rodziców. Ich zdaniem bowiem, jeżeli istnieje jeszcze jakiś autorytet lub władza, to wpływa ona ze społeczności jako pierwszego i jedyne źródła. Jednostka zaś nie ma żadnego prawa posiadania bogactw lub środków produkcji, ponieważ są one źródłem dalszych dóbr, a to z konieczności prowadzi do władzy jednego człowieka nad drugim. Oto dlaczego komunizm twierdzi, że wszelkie prawo prywatnej własności winno być radykalnie zniszczone jako główna przyczyna niewoli gospodarczej”.

I jeśli Bukowski był krytykiem globalnych koncepcji integracyjno-ideologicznych krepujących wolność i własność, to był nim właśnie dlatego, że był antykomunistą.

Pozostanie na zawsze drogowskazem! ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Z cyklu gry i zabawy Polaków:
„Wyciąganie Banasia”



SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Potęga stołu
i martwego ciągu

Każdą formę aktywności należy pochwalić. Każdą. Uderzenie swoim stołem w cudzą głowę naturalnie również. Ja wiem, że to się może wydawać kontrowersyjne, ale nawet policja chwali, a po przeczytaniu tego materiału państwo też będą wychwalać i ćwiczyć nawet ze stołami.

Ja wiem, że ostatnio modne jest bieganie, i to oczywiście też trzeba pochwalić. Można się wyśmiewać, jak np. z Donalda wyśmiewają się Tuska, że na takim ostatnim materiale filmowym swoim, żegnając się z naprawdę godną pozazdroszczenia fuchą, biegał sobie w dresie i w butach wizytowych, które internauci nazwali lakierkami. Ludzie to są tacy podli, ech... Stwierdzić należy, że w lakierkach też można biegać, jak się tylko komuś wygodzi. I generalnie trzeba bieganie pochwalić nawet w ekscentrycznym obuwii i nawet bez stołu. A jak Jacek Saryusz-Wolski poszedł na siłownię i akurat miał koszulę z kołnierzykiem, to też się podlece podle natrzasały. A co, nie można? Z kołnierzykiem to się inaczej dźwiga? Jeśli już, to ewentualnie dźwiga się bardziej elegancko.

Właśnie teraz docho-
dzimy do pewnej
porady, którą z życia
zacerpniemy. Otóż do pew-
nej takiej pani kulturystki,
która ma 82 lata dopiero
i sobie mieszka akurat teraz
w Stanach Zjednoczonych,
zapukał pewien pan

i powiedział, że jest bardzo chory, a nie wiedział, że ona jest kulturystką dźwigającą na co dzień ciężary dla fanu. W martwym ciągu ta nasza dojrzała nastolatka dźwiga sobie (o czym świat się potem dopiero dowiedział) kwintal, znaczy się 100 kg. I ta pani poszła zatelefonować telefonem na pogotowie, żeby choremu pomóc. Lecz w tym czasie ów bezbożnik, sądząc, że ze słabą płcią ma do czynienia, wziął i drzwi wyłamał i dalej do naszej kulturystki w celach co najmniej rabunkowych. To się akurat w Stanach działo, ale w Polsce też są podziwu oraz strachu godne panie (tak tylko nadmieniam, gdyż znam parę, ale telefonów nie dam). Wtedy właśnie nasza 82-latką angażując umięśnienie pracujące zazwyczaj przy martwym ciągu, dźwignęła stół własny i bombnęła tego leszcza w głowę. Stół się rozpadł, a leszcz przewrócił. Po leżącym leszczu nasza dojrzała nastolatka jeszcze trochę poskakała i zadzwoniła na policję dopiero po tym treningu nóg.

Policja po pojmaniu
leszcza mało przytom-
nego przewiozła go
do szpitala, a kulturystkę
pochwaliła, aczkolwiek nie
za plan treningowy. Morał
z tego zdarzenia jest taki,
że lakierki są dobre i koszu-
ła z kołnierzykiem też, ale
stół w połączeniu z mar-
twym ciągiem subiektywnie
wydaje mi się najlepszy.
To co? Widzimy się na
siłowni, a potem na dziale
ze stołami? ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIĄŁ

Puchar
na zachętę

W „Misiu” w jednej
ze scen Ryszard
Ochódzki wręcza
PZPR-owskiemu
ministrowi puchar, który ma
powędrować do jego wnuka.
Ten, jak słyszymy, „garnie się
do sportu, ale żadnego nie
uprawia”. Jest to zatem puchar
„za zajęcie pierwszego miej-
sca”, przyznany „na zachętę”.
O ile w polskim kontekście
komedia Stanisława Barei wie-
lokrotnie udowodniła swoją
ponadczasowość, o tyle tym
razem okazała się prorocza
w przypadku... Złotej Piłki dla
kobiet. Nagroda przyznana
w Paryżu 2 grudnia powę-

One jednak na Złotą Piłkę
nie zasłużyły. Nie zasłużyła
również holenderka Vivianne
Miedema, która w jednym
meczu w koszulce żeńskiego
Arsenalu przeciw Bristol City
w 70 minut strzeliła sześć
bramek, dokładając do tego
cztery asysty.

Co zatem było przyczyną
zwycięstwa Rapinoe? To samo,
co decydowało o ósmym
miejscu dla Roberta Lewan-
dowskiego i trzecim dla
Cristiano Ronaldo w męskim
wydaniu plebiscytu. Pomimo
znacznie gorszych statystyk
i braku wielkich triumfów to
portugalski gwiazdor otrzymał
ponad 10 razy więcej punktów
od Polaka (476 kontra 44).
Nie w związku z formą i ze
sportem, ale z marketingiem,
osobowością, rozpoznawalno-
ścią i poczućmi, że zasłużył,
bo przecież to Ronaldo. On
nawet podając piłki zza boiska,
znalazłby się w top 10.

Ma różowe włosy,
czym zachęciła
do wyrażania siebie
wiele kobiet

drowała bowiem do Megan Ra-
pinoe. Ofensywna pomocnik,
tutaj trzeba jej oddać honor,
zdobyła w tym roku drużyno-
we mistrzostwo świata z USA,
na turnieju strzelając sześć
bramek (trzy z karnych) oraz
uzyskując dwie asysty.

Jeśli jednak spojrzymy
szerzej, choćby na występy
ligowe, to okaże się, że
w swoim zespole – Reign
FC – na pięć spotkań w tym
roku ani razu nie zapiśała
się na liście strzelców czy
asystujących. Łącznie daje
to zatem sześć trafień na
10 rozegranych meczów
w ciągu 12 miesięcy. Te same
albo lepsze statystyki na
mistrzostwach miały również
Angielka Ellen White oraz
Amerykanka Alex Morgan.

Przესadam? Wystarczy
obejrzeć film, który
organizatorzy przygo-
towali w celu uhonorowania
laureatki. Zanim powiedziano
dosłownie kilka zdań na te-
mat jej gry, wielokrotnie pod-
kreślono, że jest aktywistką,
działaczką, ma różowe włosy,
czym zachęciła do wyrażania
siebie wiele kobiet, „robi to,
w co wierzy” i jest inspiracją.
Następnie pokazano jedną
bramkę strzeloną z karnego
i wrócono do rodziców, którzy
ze łzami w oczach mówili,
jak dumni są ze swojej córki.
W końcu ogłosiła coming
out, po zwycięstwie nie
poszła odwiedzić z drużyną
prezydenta Donalda Trumpa.
Kompetencje w sam raz na
najlepszą piłkarkę globu. ©©

Wywiad z Bogiem

O co byś zapytał Stwórcę, gdybyś mógł przeprowadzić z Nim szczerzy wywiad? Siadasz naprzeciw Niego jak równy z równym. I możesz pytać o wszystko. Bez strachu, że Go rozgniewasz, bez obaw, że nie udzieli odpowiedzi bądź odpowie wymijająco. Ze wszystkich ludzi na świecie właśnie ty masz jedyną w życiu szansę na przeprowadzenie wywiadu z Bogiem.

W takiej właśnie sytuacji znajduje się Paul Asher, główny bohater filmu „Wywiad z Bogiem”. Jest ambitnym i wykonującym swój fach z wielkim zaangażowaniem dziennikarzem. Jego życie osobiste nie jest jednak takie, jakie sobie wymarzył. W małżeństwie nie układa mu się najlepiej. Trwałe piętno odcisnął na nim wyjazd na misję wojskową (w charakterze reportera) do Afganistanu. Przeżywa kryzys wiary. Można by więc pomyśleć, że nie jest najodpowiedniejszą osobą, by rozmawiać z Bogiem, ale może paradoksalnie właśnie kryzys i zwątpienie czynią go dociekliwym i najlepszym rozmówcą?



„Wywiad z Bogiem” zachęca widza do zastanowienia się nad tym, co my byśmy zrobili i jakie pytania zadalibyśmy Stwórcy, gdybyśmy byli na miejscu Paula Ashera. I do refleksji – a co, jeśli mamy taką możliwość na wyciągnięcie ręki? Czymże innym jest modlitwa niż rozmową z Bogiem? Może tylko nam się wydaje, że to monolog, że Bóg nie odpowiada. Może odpowiada, ale nie są to odpowiedzi dawane wprost i nie padają od razu.

Zmuszający do refleksji nad siłą modlitwy film wyreżyserował Perry Lang. W roli Boga wystąpił David Strathairn, znany (i nominowany m.in. do Oscara i Złotego Globu) z roli legendarnego nadawcy wiadomości CBS Edwarda R. Murrowa w filmie George’a Clooneya „Good Night and Good Luck”. W dociekliwego dziennikarza wcielił się z kolei Brenton Thwaites.

Film „Wywiad z Bogiem” będzie można kupić ze świątecznym wydaniem „Do Rzeczy” w cenie 19,99 zł. W kioskach już od 16 grudnia. (oprac. raw) ©

PODSŁUCHANE

Co robić?

Ja mam mnóstwo pomysłów, panie wicepremierze!

Do mnie... to znaczy do każdego wicepremiera mówi się „panie premierze”, pani Danuto. Nie, żebym jakoś był nadwrażliwy, tylko uprzedzam, bo niektórzy są. Tak w ogóle to Jacek jestem.

Danka, miło mi. No więc ja mam mnóstwo pomysłów, nawet sobie

już taką listę zrobiłam, o, tutaj mam. Proszę, zerknij.

Ciekawy ten pierwszy punkt, nie powiem. A ile to ma kosztować?

No... Nie wiem dokładnie, nie liczyłam jeszcze, trudno powiedzieć, ale zawodnicy ciągle narzekają, więc to jest dla nich bardzo ważne.

Tak, ważne, na pewno, oczywiście... Z tego, co pamiętam, w ministerstwie masz panią Danusię, ona od lat liczy takie rzeczy. Daj jej to, niech ci policzy. Bo jak więcej niż sto baniek, to możemy mieć problem. Wiesz, oszczędzamy.

Aha, no tak...

A sprawdzałaś, czy to jest zgodne z prawem unijnym?

U ciebie za to pan Zenek chyba odpowiada. Bo jak niezgodne, to nie przejdzie. No i później konsultacje międzyresortowe trzeba zrobić...

Tam u ciebie jest pani Krysia, ona to zna, poprowadzi cię.

To... Co ja mam właściwie tam robić?

Ty? Najlepiej nic. Na wszelki wypadek. ©

Łukasz Warzecha

DO RZECZY

„Proponuję spróbować się utrzymać w Warszawie za 6,5 tys. zł na rękę i dietę 2,5 tys. zł”.

MARCIN KULASEK, sekretarz generalny SLD, w rozmowie z Interią

fot. Jerzy Gumowski



Cyrano

Kilka (spośród około tysiąca) szermierczych rozpraw Cyrano przeszło do legendy. Jako czołową trzeba chyba wskazać bitwę przy paryskiej bramie Nesle, gdzie zbiry obrażonego pamfletowym epigramem księcia de Guiche urządziły zasadzkę na kawalera de Lignières, autora epigramu. Pechowo dla tychże skrytobójców Cyrano był przyjacielem de Lignièresa, udał się więc o zmroku pod rzezoną bramę i za pomocą dwóch pistoletów oraz dwóch szpad sprawił lotrzykom krwawą łaźnię na oczach zachwyconych gapiów. Zyskał wówczas miano „*demona bravury*” i oficjalną pochwałę wielkiego marszałka Gassiona, gdyż takiej rzezi „*czarnych charakterów*” (dwóch zabitych, siedmiu ciężko rannych, reszta czmychnęła) — i to dokonanej w pojedynkę! — dawno nad Sekwaną nie widziano.



Mijający rok 2019 przyniósł kilka „okrągłych” rocznic dotyczących wielkich ludzi (Leonardo, Napoleon, Rembrandt), czemu każdorazowo poświęcałem duże artykuły w „*Tygodniku Lisickiego*”, mam jednak wyrzuty sumienia, że takiej obszernej wspominkowej laudacji nie poświęciłem figurze czwartej, niegdyś dość sławnej (przed wojną znanej każdemu uczniakowi podstawówki), teraz wszelako wysmartfonowanej z młodych mózgowic (i nie tylko z młodych), chociaż był to szalony zuch typu Batmana czy Spidermana (fechmistrz szpady), a do tego literat klasy wysokiej. Dziśaj przynajmniej felietonem chcę uzupełnić ten rocznicowy laurkowy brak.

Równo 400 lat temu (1619) urodził się Savinien de Cyrano. Owo „*de*” było trochę na wyrost, mieszczańska familia Cyrano ledwie pretendowała do szlachectwa, ale to pretendowanie ułatwiał fakt, iż władza podparyskim zamkiem Mauvières. Gdy pełnoletni już Savinien dowiedział się, że ten zamek stanowił niegdyś własność gaskońskiej rodziny Bergerac, „*uzupełnił*” sobie godność familijną i odtąd przedstawiał się tudzież podpisywał per: Savinien Cyrano de Bergerac, reklamując swoje gaskońskie (czyli chwackie) korzenie. Z takim też nazwiskiem przeszedł do historii.

Nim zasłynął jako wirtuoz szpady, pisarz i filozof — zyskał nimb posiadacza „*wielkiego nosa*”, „*nochala*”, przy czym nie chodziło tu o metaforę piętnującą patologicznych kłamców, tylko o naturę, która dała mu gigantyczny organ węchu. Co rodziło sztyderstwa wszędzie gdzie się zjawił. W teatrze siedzący za Cyraniem żądali: „*— Pannie, schowaj pan ten kinol, bo scenę zasłania!*”. W karczmach wołano: „*— Twój nos zapowiedział twoje przybycie już kwadras temu!*”. Na ulicach, gdy padał deszcz, kramarze prosili: „*— Hej ty, nakryj moje stoisko swoim nosem!*”. Takie uszczypliwości były przyczyną rozlicznych burd, które wszczynał dla obrony swego honoru. Zazwyczaj wychodził z nich jako triumfator, bo pięści miał twarde, a szpadę szybką niczym błyskawica. Ucząc się machania klingą brał wzór z głośnego wówczas kawalera d’Andrieux, który w pojedynkach zadłgał 72 przeciwników nim skończył trzydzieści lat. Ten kunszt był o tyle konieczny, że pojedynki szermiercze pod jakimkolwiek pretekstem („*złe spojrzenie*”, „*krzywy uśmiech*”, etc.) były w tamtej Francji szlachecką manią. Dysponując nosem wielkości katedry Notre Dame nie można było uniknąć krwawych pojedynków.

Mniej szczęścia miał jako żołnierz regimentu złożonego z Gaskończyków podczas wojny przeciw Hiszpanom, którzy się wdarli do Szampanii (1639). Zrazu był to brak szczęścia przy kartach i kościach (Cyrano kochał hazard całe życie), gdyż kampania toczyła się leniwie, dając mu czas nie tylko na rozrywki, ale też na pisanie elegii i sonetów, jednak kiedy kardynał Richelieu kazał gnusnym marszałkom odbijać miasto Arras — już podczas pierwszego szturm (w którym wziął również udział inny mistrz szpady, rozślawiony później piórem Dumasa-Ojca d’Artagnan) cios szabłą przez szyję odebrał Cyranowi przytomność. Kurowały go paryskie ładacznice, jego dobre znajome, był bowiem stałym gościem burdeli (kiedy jako młodzieniaszek — student uczęszczał do szacownego kolegium Presles-Beauvais, rozprawczyła go pensjonariuszka zamtuza przy ulicy Św. Jana z Beauvais). Sądził, że

będzie zawsze obracał tylko „*poziome damy*”, czyli profesjonalistki, lecz roku 1645 zakochał się „*bez pamięci*”, tzw. „*czystą miłością*”, w pani Alexie, młodzietkiej wdowie po oficerze królewskim. Ta jakiś czas udawała skromniśnię, nie zezwalając się tknąć, zaś wreszcie tknięta — oskubała amanta z całej gotówki i zniknęła, zostawiając mu jako dar pożegnalny chorobę weneryczną. Leczył tę miłosną przypadłość Cyrano, nie bez trudu (bizmutem), „*golarz*”. Co trwało trzy miesiące, a doraźny sukces Cyrano przypisał nie bizmutowi, tylko swemu pijaństwu, czyli alkoholowi.

Gorzej było z leczeniem renomy, która mu próchniała, gdyż zaczął się wdawać w głupie awantury typu szolbiznesowego. Obrażając głośno wyzwiskami, podczas przedstawienia (teatr Hôtel de Bourgogne), sławnego aktora Montfleury’ego — rozjuszył Cyrano przeciwko sobie całą paryską publiczność. Machając po pijanemu szpadą na stołecznym moście Pont-Neuf, zepsuł występ teatru marionetek (którego gwiazdą była tresowana małpka Fagotin), za co dyrektor teatru wytoczył mu proces, a gawiedź długo kontemplowała gawrowy pokazujące „*Zacieklą walkę fechmistrza Bergeraca z małpą*”. Nim umarł (1655) wskutek ran głowy i następstw kiły, mając ledwie 36 lat, zdążył też narobić sobie wrogów swymi opublikowanymi tekstami („*Listy*”, „*Rozmowy*”, plus drobica publicystyczna). Gdy wystawiono jego sztukę „*Śmierć Agryppiny*” (1653), pełną kontreligijnych akcentów, rozeźleni jezuici wydali na niego wyrok, i któregoś nocy, kiedy wracał do domu, z dachu spadła „*karząca ręka losu*” (drewniana belka), czyniąc śmiertelne obrażenia czaszki.

Potomność wzniosła Cyranowi monument chwały jako bitnemu zawadiace (apogeum tej popularności i nowym jej rozrusznikiem stała się sztuka Rostanda „*Cyrano de Bergerac*”, 1897), lecz głównie jako filozofowi (lansował kult rozumu, szeroko pojęty kartezyjizm, liberytynizm i koncepcje naturalistyczne) oraz literatowi. Od młodości fenomenalnie odczytany („*hykał całe biblioteki*”) — miał smykałkę do pióra. Tak wysmienitą, że sam Moliere zaczerpnął całe sceny (niektóre wręcz splagiatował!) ze zjadliwej komedii Cyrana „*Wystrychnięty pedant*” (1654), będącej satyrą na J. Grangiera, szefa kolegium Presles-Beauvais. Wciąż zdejmując fachowcom kapelusze z głów najważniejsze dzieło Cyrana, wydany pośmiertnie „*Tamten świat*” (1657; część I „*Państwa i Cesarstwa Księżyca*”, część II „*Państwa i Cesarstwa Słońca*”) — obrazująca lot na księżyc i w okolicy bliskosłoneczne „*powieść utopijna*”, będąca prekursorką literatury „*fantastyczno-naukowej*” (zawierała m. in. jawną aprobata heliocentryzmu). Historycy doszukali się tam wizji niemałej liczby późniejszych wynalazków i odkryć naukowych (od spadochronu czy rakiet, po radioaktywność czy promienie Roentgena). Proszę o rocznicowe brawa dla „*człowieka z nosem jak sztyl*”. ©©

Waldemar Łysiak



Lotteria ŚWIĄTECZNA

Milion szans na miliony

Do wygrania 1 000 000
zakładów Lotto!

2 x
**Toyota
Yaris**



20 x
ASUS ZenBook



290 x
karta prezentowa
1000 zł



200 x
bon upominkowy
500 zł



Kup dowolny produkt za min. 6 zł. Wybierz grę Lotto
i dodatkowo zyskaj szansę na jeden z MILIONA zakładów Lotto.



Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!

Regulamin loterii dostępny na www.lotteriaswiateczna.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 26 listopada 2019 r. do wyczerpania puli kodów promocyjnych przewidzianych przez organizatora, nie dłużej jednak niż do 31 grudnia 2019 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl